

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA
SOBOTA

- Kto idzie z Białorusi • A kto do europarlamentu • Jak mężczyźni odkrywają nienawiść • W czym nieboszczykowi do twarzy • Student = antysemita



**WYSOKIE
OBCASY**
40-latki
odkrywają traumy
z dzieciństwa



GAZETA
wyborcza
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

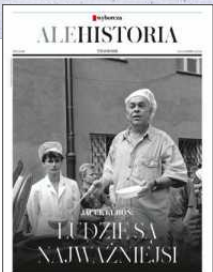
Euro 2024
ROBERT LEWANDOWSKI
**Jak to jest
być numerem 1**

FOT. BORIS STREUBEL/UEFA VIA GETTY IMAGES

wydaje Agora SA,
nr indeksu 348198



**Tu sprzedam koniak,
tam kupię dezodorant**
Głuchowski jedzie
na wakacje



**Żydowski
mafioso**
kłóci się
o Nietzschego

**Akowcy
z Wołynia**
Wymieniają się
książkami

Kuroń
Nie interesuje cię
polityka?
Nie jesteś gorszy

Agnieszka
KublikNie startowali,
ale przegrali

Andrzej Duda całym sobą wsparł przyjaciela i podwładnego Wojciecha Kolarskiego. Całym sobą i pieniędzmi podatników – pracownicy Kancelarii Prezydenta musieli brać w tym udział, organizując jego kampanijne wojaże. Dudzie tak bardzo zależało, by mieć swojego człowieka w Brukseli, że nawet głosował tam, gdzie ów startował, czyli w Ostrowie Wielkopolskim. Co było jawną agitacją. Na darmo. Zagłosowało na Kolarskiego 49 195 wyborców, co dało mu 4,79 proc. głosów w okręgu.

Sila autorytetu prezydenta okazała się słabiutka. Co ma konsekwencje dla obozu Jarosława Kaczyńskiego. Już tylko Duda mógł poważnie blokować Tuska. Wetem. Albo trybunałem Przylębskiej. Porażka Kolarskiego osłabia zatem obóz Kaczyńskiego. Duda może się puszyć, nadymać, zrobić grymasy, ale tyle w nim prezydenckości, ile śniegu latem.

Hołownia pracował na własną popularność, błędnie zakładając, że tak się tworzy nowoczesne partie

Druga spektakularna przegrana dotyczy Szymona Hołowni. Trzecia Droga z wynikiem 6,9 proc. utworzyła drogę Konfederacji (12,1 proc.) do trzeciego miejsca. PSL już zaczyna powątpiewać w sens koalicji z PL2050.

Więc co dalej z Polską2050? Miała doprowadzić marszałka Sejmu do prezydentury w 2025 r. Ale można zadać pytanie, dla kogo jest ta partia. Dla Hołowni czy wyborców? CBOS tuż po październikowych wyborach przeanalizował, kto głosował na Trzecią Drogę (ugrała wtedy 14,4 proc.). Wnioski były dla Hołowni pesymistyczne: to „elektorat in statu nascendi, który dopiero wymaga zbudowania jego politycznej tożsamości”.

Sondaż pokazał, że Trzecia Droga dostała głosy taktyczne, w wyniku decyzji podjętej tuż przed wyborami, kiedy wiadomo było, że jej słaby wynik może być zagrożeniem dla całego obozu demokratycznego. W elektoracie Trzeciej Drogi więcej niż wśród wyborców pozostałych ugrupowań było tych, którzy głosowali, aby zmniejszyć szanse na dobry wynik ugrupowania, któremu są przeciwne (41 proc.).

Dziś widać, że Hołownia tego październikowego elektoratu nie utrzymał. Pracował na własną popularność, błędnie zakładając, że tak się tworzy nowoczesne partie.

Przed zeszłorocznymi wyborami to on najmocniej kwestionował potrzebę skonstruowania jednej listy, którą podpowiadały sondaże. Lękał się, że nie ugra tyle mandatów, co osobno. W ten sposób osłabił obóz demokratyczny. A przy tak wielkiej mobilizacji po stronie opozycji jak w październiku większość do obalania prezydenckiego weta – 276 foteli – nie była niemożliwa...

To wszystko stawia pod znakiem zapytania marzenia o prezydenturze. Czy Hołownia mimo to będzie dalej stawiał tylko na Hołownię? Czy możliwe, by poparł wspólnego kandydata Koalicji 15 Października?

Hołownia lubi powtarzać, że trzeba się uczyć na historycznych błędach. No to proszę się uczyć, panie marszałku. ●

Andrzej rysuje

Londyn
Wiatr we...

FOT. REUTERS/CHRIS J. RATCLIFFE

Uczestnicy World Naked Bike Ride docierają pod pałac Buckingham. Rajd odbywa się już od 23 lat. W tym roku wszyscy, którym leżą na sercu przyroda, klimat oraz pokój, jechali już przez Sydney, Toronto, Meksyk i San Francisco. Kto chciałby dołączyć, ma szansę w tę sobotę w Brukseli i Cambridge. Znak czasów – agencje fotograficzne oznaczyły tegoroczne zdjęcia z imprezy jako „materiał wrażliwy, może urazić”.

Kod dostępu
do Wyborcza.plRod Stewart
Dinozaur, ale nadal seksowny

Myślisz, że jestem sexy?” – pytał Rod Stewart w tytule słynnego przeboju. Wtedy, pod koniec 1978 roku, miliony pań i panów odpowiadały twierdząco, nie tyle doceniając blond czuprynę, z której Anglik zawsze był dumny, i nawet nie tak chętnie eksponowany na scenie nagi tors. Chodziło o chrypkę. I wtedy, i dziś – największy atut Roda.

Z takim głosem urodził się – 79 lat temu! – do śpiewania rock’n’rolla. Zaczynał na ulicy, akompaniując sobie na harmonijce. Przepustką do kariery był angaż do zespołu Jeffa Becka, młodego boga gitary, który montował skład po odejściu z The Yardbirds.

Zawsze ambitny, pracowity i artystycznie... fani powiedzą, że wszechstronny, krytycy, że niezdecydowany. Nie ograniczał się do bluesa i rocka, chętnie śpiewał folk, soul i pop, zanurkował nawet w estetykę disco. Pokolenie MTV kojarzy go z „Young Turks” (pierwszy teledysk ze sceną breakdance’u)



FOT. REUTERS/KIRSTY WIGGLESWORTH

i pompatycznej ballady „All for Love” śpiewanej z Bryanem Adamsem i Stingiem.

W latach 90. porzucił pisanie piosenek, przytomnie obwieszczając, że jest lepszym wykonawcą niż autorem. To doprowadziło go do serii albumów „Great American Songbook”, ze standardami muzyki popularnej, z którą wszedł w nowe stulecie i wiek emerytalny. Ponad dekadę temu udaną płytą „Time” wrócił nie tylko do autorskiego materiału – również, po 37 latach, na szczyt brytyjskiej listy najchętniej kupowanych płyt.

Głos ma wciąż ten sam – o czym szczęśliwcy, którzy upolowali bilety, przekonają się we wtorek w łódzkiej Atlas Arenie. ● **Jarek Szubrycht**

Cytat tygodnia

Większe poczucie bezpieczeństwa zapewnia ugrupowanie mówiące o silnej armii i silnej władzy



POLITOŁOŻKA ANNA MATERSKA-SOSNOWSKA o tym, dlaczego w eurowyborach więcej Polek zagłosowało na Konfederację niż na Lewicę
Rozmowa ► Wysokieobcasy.pl

Matka Polka ukarana



FOT. SHUTTERSTOCK

• **Wskaźnik „child penalty” określa różnicę w dochodach pomiędzy młodymi matkami i ojcami oraz nimi a osobami bezdzietnymi.**

25 proc. to średnia dla pierwszych 4 lat macierzyństwa – w roku narodzin polska matka traci 20 proc. pensji, w kolejnym aż 35 proc. Polka może poczuć się pełnoprawną Europejką – w Skandynawii „kara za dziecko” to 21-27 proc., w Austrii i Niemczech dobija do 61 proc. • **Więcej ► Wyborcza.biz**

Bliski Wschód, czyli wszystko po staremu

W Jerozolimie umieją liczyć

Izrael, Iran, Biden, Saudowie – wojnę w Gazie przetrwają w niezłym stanie wszyscy. Z wyjątkiem Palestyńczyków

Stefanicki



Atak Hamasu 7 października zburzył spokój na Bliskim Wschodzie, ale nie czarujmy się: w tym regionie każda ci-sza jest przed burzą. Był taki moment, kiedy udało się pokonać tzw. Państwo Islamskie, wygasły wojna w Syrii oraz nadzieje na zmiany w krajach Arabskiej Wiosny. Trochę pod naciskiem admini-stracji Trumpa, trochę we własnym in-teresie kolejne kraje arabskie nawiązy-wały relacje z Izraelem, co zwiększało perspektywy stabilności.

Hamas rzucił granat - masakrując 1,2 tys. Izraelczyków 7 października - by przerwać proces, który nierozwiązany problem palestyński czynił coraz mniej znaczącym. Od tego czasu nie było ty-godnia bez doniesienia o kolejnej ma-sakrze na Palestyńczykach, o raketach spadających w Izraelu, w Libanie, Syrii, Iranie, o atakach jemeńskiej milicji na statki handlowe na Morzu Czerwonym. Nagłówki straszą wybuchem beczki prochu, rozlaniem się wojny na kolej-ne kraje, zatrzymaniem handlu świato-wego. Napięcie rośnie i rośnie, kolejne czerwone linie są przekraczane...

I co? Nic, poza tym, że Palestyńczy-ków ubywa. Zginęło już mniej więcej 0,7 proc. zsumowanej populacji Stre-fy Gazy i Zachodniego Brzegu. 0,7 proc. to tyle, ile umarło na COVID w krajach najsilniej dotkniętych pandemią. Z de-mograficznego punktu widzenia to jeszcze nie katastrofa. Ale pandemia się już skończyła, a wojna w Gazie trwa i końca nie widać.

Wiele analiz stwierdza, że Hamas wy-grywa. Owszem, wyrócił stolik, zaha-mował normalizację stosunków państw arabskich z Izraelem – przede wszystkim z Arabią Saudyjską. Lecz wyrócony sto-lik można podnieść.

Książę koronny Arabii Muhammad bin Salman czeka na zawieszenie broni w Gazie i ożywienie – niechby i fałszy-we – procesu pokojowego z Palestyń-czykami. Niedługo umrze ciężko chory 88-letni król Salman (niedawno naba-wił się zapalenia płuc), wówczas książę będzie nie tylko faktycznym, ale i for-malnym władcą. Leciwy monarcha po-wstrzymywał kilka punktów z reforma-torskiej agendy syna, jak legalizacja al-koholu czy właśnie normalizacja sto-sunków z Izraelem.

Wśród 35 tys. palestyńskich ofiar są też tysiące członków Hamasu, co trud-no uznać za jego zwycięstwo. Organi-zacja nie doceniła determinacji Izraela, który opiera się naciskom, aby prze-rwać wojnę. Wciąż toczą się negocjacje przez pośredników i jeśli rozejm nastą-pi, premier Netanjahu będzie twierdził, że udało mu się zniszczyć Hamas – ale w przeszłości palestyńska grupa potra-fiła się odbudować.

Jest teoria, że Hamas zaatakował Izrael, bo postanowił zostać palestyńskim od-powiednikiem Hezbollahu: oddać ciężar

rządzenia Gazą, ale kierować nią zza ku-lis jako najsilniejsza organizacja zbrojna i polityczna. Tak jak szejik Nasrallah ani-muje wydmuszkę państwa libańskiego.

To się raczej nie zdarzy. Trudno so-bie wyobrazić, żeby po wojnie Hamaso-wi pozostawiono takie aktywa i wpły-wy, jak ma Hezbollah w Libanie. Izra-el nie pozostawi Gazy w dryfie. Hamas będzie istniał, bo całkiem zniszczyć się go nie da, ale może pozostać (tylko lub aż) podziemnym ruchem oporu.

Jako dowód na zwycięstwo Hamasu przytacza się wyniki marcowego son-dażu Palestyńskiego Centrum Badań Politycznych i Ankietowych, który wy-kazał, że poparcie dla Hamasu w Gazie i na Zachodnim Brzegu sięga 71 proc., czyli znacznie więcej niż przed paź-dziernikiem. Pomijając kwestię wiary-godności sondażu robionego na tery-torium w totalnym chaosie, takie skoki poparcia podczas konfliktu są tymcza-sowe i należy je uznać za wyraz wście-kłości na Izrael, a nie pragnienia Pale-styńczyków, by rządził nim Hamas.

Izraelowi najbardziej zagraża sam Izrael. Choćaż podjęcie działań militarnych po ataku Hamasu było uzasadnione, to spo-sób, w jaki to zrobił, spowodował ogrom-ne szkody dla jego pozycji na świecie. Jesz-cze nigdy Izrael nie był tak powszechnie potępiany. Wisienką na torcie jest wyda-ny przez Międzynarodowy Trybunał Kar-ny nakaz aresztowania Netanjahu i sze-fa armii Joawa Gallanta za domniemane zbrodnie wojenne.

Izrael jest bardziej podatny na boj-kot, sankcje i dezinvestycje niż który-kolwiek inny kraj będący na celowniku MTK. Jest państwem bogatym, ale ma-łym, zależnym od importu. Handel za-graniczny stanowi 61 proc. PKB. Sektor zaawansowanych technologii, motor wzrostu gospodarczego, istnieje jedynie w ramach zglobalizowanej gospodarki.

Jednak globalny wzrost niechę-ci do Izraela ma na razie znaczenie je-dynie wizerunkowe. Zwłaszcza dla Ne-tanjahu, którego MTK ustawił na rów-ni z Putinem i krwawymi watażkami z Afryki. Reakcja przedstawicieli Izra-eła jest zresztą adekwatna: oskarżają krytyków o antysemityzm i wspieranie terroryzmu i robią sceny, takie jak pu-bliczne podarcie statutu ONZ.

Praktyczny wymiar tej awantury jest niewielki. Sankcje i bojkoty są nie-znaczące. Przez dekady izraelska go-spodarka stała się odporna na konflik-ty. Po mocnym załamaniu na jesieni wskutek powołania dużej liczby rezer-wistów i wyeliminowania z rynku pra-cy Palestyńczyków, wskaźniki odbiły. Nie ma tam gospodarki wojennej lub poczucia niedoboru, jak po wojnie Jom Kippur w 1973 r.

Rozważmy najgorszy scenariusz: wstrzy-manie pomocy USA. Izrael otrzymuje w normalnych czasach około 3,8 mld dol. rocznie, z czego większość musi wykorzy-stać na zakup amerykańskiego sprzętu wojskowego. Te 3,8 mld stanowi mniej niż 1 proc. izraelskiego PKB – i około jed-nej piątej budżetu obronnego. Sporo, ale izraelska armia może się bez tego obyć.

A USA i tak nie zdecydują się na ob-cięcie pomocy. Ameryka stoi murem za Izraelem bez względu na to, kto rzą-dzi. Polityka Trumpa wyglądała tak, jak

by doradzał mu Netanjahu. Biden ham-letyzuje, ale utrzymuje wsparcie. Do-szło do absurdalnej sytuacji: Waszyng-ton zrzucał żywność wysiedlonym mieszkańcom Gazy, następnie wybudo-wał port, żeby im dostarczyć pomoc, bo Izrael nie pozwalał na przejazd cięża-rówek, a jednocześnie wysłał Izraelowi broń, którą ten zmusza Palestyńczyków do ucieczki i naraża na śmierć głodową.

Obrona państwa, które stoi w obli-czu wiarygodnych oskarżeń o zbrodnie wojenne, nie jest łatwa ani przyjemna. Poparcie dla Izraela kruszeje również w USA. Wśród młodych ewangelików – to fundament lobby proizraelskie-go – spadło o ponad 50 proc. w trzy la-ta. Nawet republikański senator Chuck Schumer, jeden z najzagorzalszych obrońców Izraela, w Senacie powie-dział, że polityka Netanjahu jest zła.

Liczyby wojny

3,8

MLD DOL ROCZNIE

• **wynosi pomoc USA dla Izraela. To mniej niż 1 proc. izraelskiego PKB**

0,7

PROC.

• **populacji Gazy i Zachodniego Brzegu zginęło od początku interwencji Izra-eła. To tyle, ile ofiar COVID w krajach najsilniej dotkniętych pandemią**

Niemniej lobby izraelskie pozosta-je silne. Partia Republikańska w więk-szości stoi za Izraelem, Demokratycz-na jest podzielona. Biden traci głosy arabskich i lewicowych wyborców, ale wciąż liczy, że uda mu się przed wybo-rami wypracować zawieszenie broni, co pozwoli mu odrobić straty.

Niewiadomą pozostaje Iran. Śmierć pre-zydena Ebrahima Raisiego i szefa MSZ Hosseina Amira-Abdollahiana w kata-strofie helikoptera 19 maja dodała kolej-ny znak zapytania. Ale to nie oni byli ar-chitektami polityki Iranu, lecz najwyższy przywódca Ali Chamenei, który w ostat-nich latach (z pomocą Trumpa, który zniszczył międzynarodowe porozumie-nie nuklearne z Iranem) wyeliminował z gry frakcje umiarkowane. Kto by nie za-stąpił Raisiego, Iran będzie wspierać bo-jówki w regionie, budować broń atomo-wą i zacieśniać więzi z Rosją i Chinami.

Dopiero śmierć Chameneiego mo-że – ale nie musi – spowodować prze-silenie. Najbardziej realną opcją jest wzmocnienie władzy Gwardii Rewolu-cyjnej, co źle wróży relacjom z Izraelem.

Wpływy Iranu urosły w ostatnich dwóch dekadach dzięki zażegnaniu konfliktu z Saudami, podporządkowa-niu Libanu, Syrii, Iraku i części Jemenu rządzonej przez Huti, którzy pokaza-li, że za pomocą irańskiej broni potrafią zakłócać żeglugę na jednym z najważ-niejszych szlaków. Lecz projekcja irań-

skiej siły ma granice. I kosztuje, co jest istotne dla gospodarki wyniszczonej amerykańskimi sankcjami. Iran unika starcia. Honorowo oddaje ciosy zada-wane przez Izrael, ale nic ponad to.

W Teheranie nie rządzą fanatycy dążący do zniszczenia Izraela i nawró-cenia Zachodu na islam. Republika Is-lamska to nie Państwo Islamskie. Pró-by eksportu rewolucji Chomeiniego by-ły równie nieudane, jak panarabska re-wolucja Kaddafiego. Celem reżimu jest trwanie reżimu. Wojna w Gazie cieszy ajatollahów, bo widzą, jak Izrael się po-grąża, ale dla Iranu ma to niewielki wy-miar praktyczny.

Chociaż Iran jest głównym zwo-lennikiem Hamasu, to jest też jedy-nym krajem muzułmańskim na Bli-skim Wschodzie, gdzie nie ma entuzja-zmu dla sprawy palestyńskiej. Gdy pro-testy przeciwko Izraelowi w stolicach zachodnich i arabskich były naprawdę masowe, w największym zgromadze-niu w Teheranie wzięło udział marne 3 tys. osób. Wśród przyczyn jest nieza-dowolenie społeczeństwa z klerykalne-go reżimu i pogarszającej się jakości ży-cia. Wielu Irańczyków postrzega zwy-cięstwo Hamasu jako zwycięstwo nie-nawidzonego przez nich Chameneiego.

Podziały wewnętrzne ogranicza-ją zapędy Teheranu, bo musi w pierw-szej kolejności pilnować własnego po-dwórka. Podobnie jak libański Hezbol-lah, który wysłał na północny Izrael ra-kiedy jako skromny wkład w sprawę pa-lestyńską, ale pilnuje, żeby nie przesadzić i nie sprowokować ostrzejszej in-terwencji armii izraelskiej.

Izraelczyków podzieliły sądy i praworządność, teraz dzieli ich wojna

Układ sił w świecie nie zmienia się łatwo. Nieustannie pojawiają się zakłócenia, ale sytuacja ma naturalną skłonność do po-wrotu do punktu wyjściowego, bezwład-nie ciąży w stronę status quo.

Polem do potencjalnie największych zmian są Strefa Gazy i Izrael, lecz nie jako wynik działania sił zewnętrznych, ale wewnętrznych. Izrael imploduje – to proces powolny, rozpoczęty jeszcze przed atakiem Hamasu, który wciąż nie osiągnął punktu krytycznego i nie jest pewne, czy to nastąpi.

Po ataku Hamasu wydawało się, że Izraelczycy odłożyli na bok dzielą-ce ich różnice, poparcie dla izraelskich sił zbrojnych było silne. Jednak w miarę trwania wojny podziały znów biorą górę. Poparcie dla inwazji na Gazę nie przełożyło się na poparcie dla rządu. Wcześniejsze spory dotyczące systemu sądownictwa zastąpił gniewem na po-lityków, którzy traktują wojnę jak prze-dłużenie polityki i nie potrafią określić jej celów. Wydaje się, że celem wojny jest trwanie rządu Netanjahu.

Nie wiemy, jak się to skończy, choć jest pewne, że się skończy – choćby dla-tego, że żadna wojna nie trwa wiecznie. Netanjahu jest między młotem a ko-wadłem – między naciskiem Bidena, aby przystał na rozejm, a groźbą par-tii skrajnej prawicy, które grożą wyj-ściem z rządu, gdyby się na to zgodził. Status quo jest dlań najwygodniejsze, więc obecna sytuacja może trwać jesz-cze długo.

Tak czy owak, Izrael nie upadnie. USA i inne mocarstwa zachodnie do te-go nie dopuszczą. ● **Robert Stefanicki**

Przystawki WJEŹDŹAJĄ NA STÓŁ

Kaczyński na Morawieckiego, PSL na Hołownię, Lewica na Lewicę. Wszyscy są wściekli na wszystkich, tylko Tusk się cieszy.

Kaczyński wściekły, bo ludzie Morawieckiego wypchnęli z Brukseli prezesowskich faworytów. Tusk zadowolony, bo przyszedł pierwszy na metę. Lewica w stanie wrzenia z powodu wzajemnych oskarżeń o nepotyzm. A ludowcy próbują Szymona Hołownię obarczać winą za słaby wynik w ostatnich wyborach.

Wynik wyborów do Parlamentu Europejskiego potwierdza starą tezę, że PiS oraz Koalicja Obywatelska mają największy twardy elektorat, który głosuje zawsze na swoją partię, niezależnie od tego, jacy kandydaci pojawiają się na listach. Ma to kluczowe znaczenie w wyborach, w których frekwencja jest niska (tym razem zaledwie 40 proc.). Pozostałe ugrupowania nie mogą się pochwalić taką zwartą grupą.

A że KO wysforowała się – nieznacznie – przed PiS? To wynik błędów samego prezesa związanych z układaniem list. Kandydaci otwarcie zwalczały się nawzajem. Czegoś takiego nie było widać na listach KO i zasadniczo na listach Koalicji 15 Października. Poza tym KO rękami posła Romana Giertycha z powodzeniem przeprowadziła operację „Demaskowanie Funduszu Sprawiedliwości”. Nic tak nie działa na wyobraźnię jak nagrania rozmów cynicznych polityków wykorzystujących publiczne pieniądze.

Czy na wynik miały wpływ ostatnie wydarzenia tuż przed ciszą wyborczą? Artykuł Onetu o zatrzymaniu żołnierzy oskarżonych o nadużycie uprawnień na granicy polsko-białoruskiej wywołał oburzenie części opinii publicznej. Użyto kajdanek, więc odczucie ludzi było takie: państwo tak traktuje wojskowych, co narażają życie i zdrowie!

W dodatku media podały uproszczoną wersję wydarzeń, wedle której powodem zatrzymania były strzały ostrzegawcze w związku z natarciem grupy migrantów na plot graniczny. Tymczasem na granicy bardzo często padają strzały ostrzegawcze i nikt nikogo za to nie zatrzymuje. W tym przypadku chodziło o to, że żołnierze strzelali, choć migranci cofnęli się na terytorium Białorusi i nie stanowili zagrożenia dla Polaków. Straż Graniczna, która ma nagrania, zgłosiła sprawę do odpowiednich służb. I pogranicznicy, i dowódca żołnierzy uznali, że stało się coś niedobrego, dlatego sprawą zajęła się prokuratura.

Nastrój oburzenia na działania Żandarmerii Wojskowej spotęgowała smutna wiadomość o śmierci młodego żołnierza zaatakowanego przez migranta nożem. Rząd się wystraszył, że taka sekwencja zdarzeń osłabi wynik Koalicji 15 Października. Stąd pokazówki ze wzywaniem ministrów na dywanik, dymisja zastępcy prokuratora generalnego ds. wojskowych Tomasza Janeczka, człowieka Zbigniewa Ziobry. Pohukiwania, że żandarmeria, zakuwając żołnierzy w kajdanki, wykazała się nadgorliwością.

To napięcie związane z kampanią wyborczą wpłynęło na wewnętrzne relacje w rządzie. Niektórzy politycy Trzeciej Drogi podejrzewali, że to KO wypuściła informację o zatrzymanych żołnierzach, aby osłabić szefa MON Władysława Kosiniaka-Kamysza. Bo to on głównie musiał się tłumaczyć na konferencjach prasowych. W związku z tym kryzysem wizerunkowym z TD płynęły pomysły, aby zamiast się bronić i lawirować, po prostu ujawnić taśmy Straży Granicznej i pokazać, że zatrzymanie było zasadne.

Jednak Tusk, Hołownia i nawet Kosiniak-Kamysz byli temu przeciwni. Mieli rację, bo ujawnienie taśm by rządzącym nie pomogło, a wręcz zaszkodziło. Polacy, z których większość jest za tym, by zdecydowanie bronić granicy, uznaliby manewr za nagonkę na żołnierzy i kolejną odsłonę prześladowań. Sympatia społeczna i emocje wyborców były po stronie wojskowych, zwłaszcza po śmierci młodego szeregowego. A Tusk ma słuch społeczny.

Teorie, że to KO wypuściła informację o zatrzymaniu w armii, nie za bardzo mają sens. Ta opowieść uderza w cały rząd, a nie tylko w Trzecią Drogę. Inna sprawa, że to Kosiniak-Kamysz musiał to wszystko wziąć na klatę, choć Straż Graniczna podlega szefowi MSWiA, którym był w marcu, gdy doszło do zdarzenia na granicy, Marcin Kierwiński. A zastępca prokuratora krajowego ds. wojskowych to podwładny ministra sprawiedliwości Adama Bodnara. Dlaczego Kierwiński i Kosiniak-Kamysz nie ujawnili po prostu tego zdarzenia już w kwietniu? Kierwiński twierdzi, że o sprawie nie wiedział, ale to kiepskie wytłumaczenie, bo powinien wiedzieć. I z tego powodu Tusk może być na niego wściekły.

A dlaczego nie wiedział wiceminister obrony narodowej z KO Cezary Tomczyk? Kosiniak-Kamysz wiedział, ale nie znał szczegółów. Nikt w ekipie rządowej nie wykazał się wyczuciem politycznym i wyobraźnią w tej sprawie. Gdyby ujrzała światło dzienne w kwietniu, to napięcie można by szybko rozładować.

Oczywiście po wyborach nastąpiła gwałtowna zmiana w narracji. Oburzenie w związku z zakuciem żołnierzy w kajdanki wyparowało. Pojawiła się za to informacja podawana przez Tuska i Kosiniaka-Kamysza, że żandarmeria zatrzymywała wojskowych w ten sposób wielokrotnie, także za rządu PiS. I także za przewinienia na granicy białoruskiej. Nagle się okazało, że procedura jest zgodna z prawem i powszechnie stosowana ze względu na to, że zatrzymywani mogą mieć broń. Szef MON w wyniku cudownej przemiany ogłosił, że jednak nadużycie uprawnień zgłosiła Straż Graniczna, a nie – dajmy na to – aktywiści, więc mogło być coś na rzeczy. Żeby jednak ten nagły zwrot nie rzucił się nadmiernie w oczy, to minister poinformował, że będą doprecyzowane zasady użycia broni na granicy i procedury zakuwania w kajdanki. I będzie biuro prawne, które w razie czego będzie reprezentować żołnierzy przed sądem.

Ironizując, ale najważniejsze jest to, że nastąpiło odwrócenie wektorów i teraz możemy mieć pewność, że władza nie będzie pod publiczność czynić kozłów ofiarnych z pograniczników czy żandarmów. I nie będzie tworzenia atmosfery, że nie oplać się ujawniać nadużyć w armii, bo potem ma się same kłopoty.

Charakterystyczne, że także Andrzej Duda zmienił rozkład akcentów w sprawie zatrzymania żołnierzy. Wielkie oburzenie sprzed wyborów zamieniło się w tonowanie nastrojów. Na szczycie państw Bułgarskiej Dziewiątki prezydent mówił: „Pojawia się wiele plotek wokół sprawy zatrzymania trzech żołnierzy przez Żandarmerię Wojskową”. Apelowal o rozagę i zaznaczył, że do tej pory jeszcze nikt nie złożył zażaleń na czynności wykonane przez Żandarmerię Wojskową.

A więc to nie wydarzenia na granicy dały Trzeciej Drodze dwa razy gorszy wynik niż w wyborach samorządowych czy parlamentarnych. Wynik PSL i Polski 2050 jest po prostu efektem bardzo słabej frekwencji.

To formacja, która ma mały twardy elektorat. Jej wyborcy są niezwykle mobilni i aktywni głównie wtedy, gdy czują, że ma to zdecydowany wpływ na bieg

wydarzeń w kraju. Wysoka pozycja TD w październikowych wyborach parlamentarnych to efekt bardzo dużej frekwencji i determinacji Polaków, by odsunąć PiS od władzy, co mogłoby się nie udać, gdyby TD znalazła się pod progiem. Z kolei na wynik w wyborach samorządowych zapracował przede wszystkim PSL, bardzo dobrze zakorzeniony w strukturach samorządowych niższego szczebla. Ludowcy zawsze mieli lepsze rezultaty w wyborach samorządowych niż parlamentarnych. I wybory do PE obnażyły te oczywiste prawdy.

PSL nigdy nie miał spektakularnych sukcesów w europejskim głosowaniu, więc wyniki z 9 czerwca nie powinny być zaskoczeniem. Mimo to wśród ludowców odzywiają się głosy, by zakończyć pożyacie z Polską 2050. To efekt emocji, a nie racjonalnej kalkulacji. Dziś taki ruch niewiele by dał, wiara, że bez Hołowni PSL wypadłby lepiej, to mrzonki. Każdy nerwowy ruch raczej zaszkodzi obu formacjom, niż pomoże.

Lewica także nigdy nie miała dobrych europejskich wyników. Dlaczego więc tym razem w partii wrze? Można usłyszeć, że układ list wyborczych był sprytnie przemyślaną koncepcją Roberta Biedronia, który chciał zapewnić mandat swojemu partnerowi Krzysztofowi Śmiszkowi oraz koleżance Joannie Scheuring-Wielgus. Aby to mogło wypalić, należało pozbyć się z list osób, które mogłyby jeden mandat tej trójce urwać.

– Wszystko było dokładnie policzone – mówią na Lewicy. A senator Lewicy Maciej Kopiec publicznie opowiada, że chodzi o wycięcie z listy Łukasza Kohuta, bardzo popularnego na Śląsku. Kohut poszedł więc na listy KO. I zrobił świetny wynik. Gdyby startował z Lewicy, prawdopodobnie Śmiszek nie wszedłby do europarlamentu. Kopiec na platformie X skomentował: „Wynik Lewicy w województwie śląskim to 61 tysięcy głosów. Wynik wyrzuconego z Lewicy przez Biedronia Kohuta, startującego z 3. miejsca z list KO, to prawie 110 tysięcy głosów. Wynik Biedronia to 65 tysięcy głosów. Dzień dobry? Sabotaż polskiej Lewicy udany”. Miejsce Kohuta na Śląsku oddało Maciejowi Koniecznemu z Razem, którego urobek był słaby jak na to województwo. W czasie kampanii tłumaczono, że Razem musi dostać jakieś jedynki. Ale to, co odpowiada Kopiec, jest opinią bardzo wielu osób w Lewicy i niewykluczone, że główna awantura jeszcze przed nami.

Trzeba też pamiętać, że owszem, Lewica zanotowała słabszy wynik niż w wyborach parlamentarnych, ale spadek to 2 pkt proc. Trend jest zaś ogólnoeuropejski. Traciły ugrupowania lewicowe, zyskała radykalna prawica. Dzieje się tak – i dotyczy to także Polski – w wyniku kryzysu migracyjnego, którego Europejczycy obawiają się coraz bardziej.

Ale polska Lewica ma tę dodatkową trudność, że u nas elektorat socjalny przejął PiS. To ta partia na trwałe zapisała się w pamięci mniej zarabiających Polaków jako gwarant ich interesów. Z drugiej strony większość postulatów Lewicy przejęła Koalicja Obywatelska, oddając skrzydło konserwatywne PSL. Symbolicznym manewrem było zarządzanie prezydenta Warszawy Rafała Trzaskowskiego o tym, że krzyże nie powinny wisieć w urzędach podległych ratuszowi. Lewicy pozostaje tylko podkręcać postulaty światopoglądowe – ale zbyt radykalna opowieść nie cieszy się nadmiernym powodzeniem we wciąż dość konserwatywnym społeczeństwie.

Wynik Trzeciej Drogi i Lewicy będzie pretekstem do odchudzenia rządu. Zmiany kadrowe nie będą spektakularne i nie dotyczą ministrów. Ale Tusk może się pozbyć

DOMINIKA WIELOWIEYSKA





FOT. ADAM STĘPIEN / AGENCJA WYBORCZA.PL



FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL



FOT. DAWID ZUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL



FOT. KUBA ATYS / AGENCJA WYBORCZA.PL

Półowiczny sukces KO:
wygrana europejska jest symbolicznie ważna, ale okazało się, że obóz PiS-Konfederacja ma poparcie zbliżone do Koalicji 15 Października

Mieszane uczucia w PiS:
Kaczyński jest zły, bo przepadli jego ulubieńcy, ale upokorzono Dudę i nadarza się okazja do polknięcia partii Ziobry

Porażka Trzeciej Drogi:
wyborcy Polski2050 są aktywni, gdy mogą mieć zdecydowany wpływ na bieg wydarzeń w kraju, a wyborców PSL bardziej obchodzą samorządy, niż europarlament

Kłapa Lewicy:
socjaliści tracą w całej Europie w wyniku kryzysu migracyjnego, a w Polsce dodatkowo elektorat socjalny przejął PiS

niektórych wiceministrów. Jednak najbardziej bolesne będzie co innego: nastąpi korekta nominacji w wielu innych instytucjach zależnych od rządu i spółkach skarbu państwa, gdzie wpływy mniejszych koalicjantów zostaną mocno ograniczone. To też może wywołać wrzenie w samej Lewicy, bo aktyw straci trochę stanowisk.

Z drugiej strony mniejsi koalicjanci będą się bardziej awanturować w sprawie realizacji ich postulatów programowych. To z kolei może podnieść napięcie w koalicji i poszukiwanie kompromisu w sprawach gospodarczych czy światopoglądowych, np. w kwestii związków partnerskich, może być poważnie utrudnione.

Spadek PiS na drugą pozycję mógł być spowodowany kilkoma czynnikami.

Nie bez znaczenia jest ujawnianie kolejnych afer z czasów premiera Mateusza Morawieckiego, skłócenie wewnętrzne i ostra rywalizacja pomiędzy politykami różnych frakcji, a także odpływ wyborców do Konfederacji. Której posłużył lęk Polaków przed falą migrantów oraz zaostrzający się konflikt na granicy białoruskiej. A komisja śledcza ds. afery wizowej nie dała ludziom zapomnieć, że co prawda w sprawie migrantów PiS jest bardzo mocny w gębie, ale wpuszcł do Polski mnóstwo obywateli z Azji i Afryki, w dużej mierze z państw muzułmańskich, co dla PiS-owskiego elektoratu było trudne do zaakceptowania.

Ciekawe są szczegółowe wyniki PiS. Bardzo często przepadały jedynki i dwójki na listach. A mandaty brały osoby z odległych miejsc. Mimo osobistego poparcia Kaczyńskiego i wciąż popularnej Beaty Szydło mandatu nie zdobyły takie żelazne nazwiska jak: Jacek Kurski, Ryszard Czarnecki, Karol Karski czy Joanna Lichocka. Przepadła też Beata Kempa. Za to do europarlamentu dostała się czwórka z ekipy Morawieckiego, która miała trzecie i dalsze miejsca. Szczególnie spektakularna jest porażka Kurskiego. Na liście mazowieckiej był drugi, a zrobił dopiero szósty wynik. Wypredzili go nie tylko Adam Bielan, ale także mało znani zwyklemu wyborcy Jacek Ozdoba, Maria Koc, Anna Kwiecień, a nawet Daniel Milewski z ostatniego miejsca.

W PiS mówi się, że jest to efekt dużego elektoratu negatywnego Kurskiego. Ale też były szef TVP i odwieczny harcownik Kaczyńskiego nie wziął pod uwagę, że posłowie PiS mieli za sobą kampanię do Sejmu, w której gra szła o wszystko, więc tak rozpędzili osobistą maszynę wyborczą, iż pozostali w pamięci wyborców. Natomiast Kurski jako spin doktor stał się dowodem na prawdziwość porzekadła „szewc bez butów chodzi”. Jego kampania była słaba. Jego klipy nieprofesjonalne, bo co z tego, że występował z samym Zenkiem Martyniukiem, największą gwiazdą disco polo, skoro na filmiku było widać głównie jego plecy. Nie potrafił zrobić kampanii w internecie.

Ale przede wszystkim Kurskiemu szkodzą wydarzenia z jego życia prywatnego. Było to widać na długo przed finałem kampanii. PiS zrobił wewnętrzne badania popularności Daniela Obajtka, Mariusza Kamińskiego, Macieja Wąsika oraz Kurskiego. Pierwsza trójka wypadła względnie dobrze, „Kura” miał poparcie dwa razy mniejsze niż pozostali.

Były prezes TVP afiszował się z unieważnieniem pierwszego małżeństwa, a potem ślubem z kolejną wybranką. To wyborcom konserwatywnym się nie podobało. Jakim cudem udało się Kurskiemu tak szybko zorganizować drugi ślub? Jak to się stało, że tak szybko unieważniono śluby jego i jego obecnej żony, gdy zwykli ludzie czekają bardzo długo? Oliwy do ognia dodał wywiad Kurskiego dla Żurnalisty. Internetowy celebryta spytał o spór Kurskiego z byłą żoną o opiekę nad małoletnim Olgiem. Kurski stwierdził, że właśnie przez brak porozumienia w kwestiach wychowawczych jego małżeństwo z pierwszą żoną Moniką nie przetrwało. „Ja chciałem go wychowywać, bo powodem rozstania, wypalenia tego związku, była krytyczna moja ocena co do roli matki mojej poprzedniej cywilnej żony. I chciałem to jedno dziecko, bo pozostała dwójka była dorosła, wychowywać i mieć wpływ na niego”.

W sieci zawrzało. „Nie popisał się zbyt dużą wrażliwością” – skwitował popularny plotkarski serwis Pudelek. Atak na byłą żonę wywołał falę współczucia dla niej. – I zaszkodził Kurskiemu – powtarzają moi rozmówcy z PiS.

Wielu obserwatorów zaskoczyło, że mandat dostała czwórka osób związanych z Morawieckim, choć startowały z odległych miejsc. Marlena Małąg, w rządzie Morawieckiego minister pracy i polityki społecznej, a następnie technologii, była w Wielkopolsce trzecia, podobnie jak były szef kancelarii premiera i bohater

słynnej, ośmieszającej państwo PiS afery mailowej Michał Dworczyk na Dolnym Śląsku. Znany raczej z drugiego rządowego szeregu Waldemar Buda był jeszcze dalej – na piątym miejscu, a z ponad 100 tys. głosów przeskoczył znane postaci: byłego szefa MSZ Witolda Waszczykowskiego czy nazywaną „kapłanką smoleńską” Joannę Lichocką. Piotr Muller, rzecznik rządu Morawieckiego, znalazł się dopiero na czwartym miejscu na liście, a jednak zdystansował Jarosława Sellina, konserwatystę zasłużonego dla prawicy od wczesnych lat 90., i samą Annę Fotyge. W zamierzeniu Kaczyńskiego to pisowska nestorka, szefowa MSZ za „pierwszego PiS”, miała mieć mandat.

– No i Morawiecki teraz będzie musiał się tłumaczyć na Nowogrodzkiej. Jego ludzie mieli być wsparciem faworytów prezesa, a zamiast ich wspierać, to sami zgarnęli mandaty – śmieje się polityk PiS. – Prawda jest banalna – dodaje. – Zarówno ludzie Morawieckiego, jak i Jacek Ozdoba [związany z Szydło, później z Morawieckim, wizerunkowo wybił się w ostatnich miesiącach w komisji ds. Pegasusa] oraz Patryk Jaki zrobili dobrą, profesjonalną kampanię w sieci, dobre targetowanie, precyzyjne adresowanie przekazu. Przecież szefem kampanii internetowej był inny człowiek Morawieckiego, Janusz Cieszyński, były minister cyfryzacji – konkluduje.

Ciekawe są szczegółowe wyniki PiS. Bardzo często przepadały „jedyńki” i „dwójki”, a mandaty brały osoby z odległych miejsc

Frakcja Morawieckiego odrzuca zarzuty o faworyzowanie konkretnych kandydatów w kampanii internetowej. „Cieszyński odpowiadał za kampanię ogólnopolską z udziałem liderów Jarosława Kaczyńskiego, Beaty Szydło, Mateusza Morawieckiego. Nie zajmował się promowaniem – w ramach swoich obowiązków – konkretnych kandydatów. Nikt nie mu nie może tu zarzucić” – powiedział jeden z członków frakcji Morawieckiego. Co nie zmienia faktu, że obok kampanii centralnej Cieszyński pomagał kolegom prowadzić kampanię w sieci.

Także mandat dla Ozdoby, startującego z odległego miejsca, jest tłumaczony świetną reklamą w internecie. Cieszyński na platformie X napisał: „Co stało za wynikami kandydatów PiS, którzy zdobyli więcej głosów niż liderzy list? W przypadku Patryka Jakiego, Piotra Mullera, Waldemara Budy i Michała Dworczyka obstawiam «pozamiatanie» okręgu, jeśli chodzi o płatną kampanię w internecie. Bardzo dobry wynik z podobnych przyczyn ma Jacek Ozdoba. Przy obecnej dominacji opcji rządowej w tradycyjnych mediach, jako prawica musimy być najlepsi w sieci”. Między wierszami Cieszyński ma na myśli to, że „jego” kandydaci wydali na ten kanał promocji sporo pieniędzy, zwłaszcza w porównaniu z niewielkimi wydatkami kontrkandydatów.

Także dobry wynik uparcie podgryzającej obóz Kaczyńskiego Konfederacji to efekt jej mocnej obecności w sieci – choćby Ewa Zajączkowska-Hernik, która zdobyła mandat, ma bardzo znaczące zasięgi na YouTube.

Nic dziwnego, że na środowym posiedzeniu klubu parlamentarnego PiS Mariusz Błaszczak przyznał, że teraz rządzi internet. Szczególnie w okręgach, gdzie PiS nie jest zbyt silny.

Na Nowogrodzkiej mówi się też, że nadciąga zmiana pokoleniowa, bo młodzi po-

litycy przeskoczyli partyjnych weteranów. Ale ta zmiana głównie polega na tym, że niektórym chce się robić kampanię, a inni sądzili, że z racji zasług, rozpoznawalności i dobrego miejsca na liście mandat mają w kieszeni.

Wielką porażką jest wynik prezydenckiego ministra Wojciecha Kolarskiego, który startował jako jedynka w Wielkopolsce. Mimo najlepszego miejsca i osobistego wsparcia Andrzeja Dudy nie zdobył mandatu. To także osobista porażka szefa gabinetu prezydenta Marcina Mastalerka, który pomagał w tej kampanii. Sieć obiegił filmik z Mastalerkiem na poniedziałkowym posiedzeniu Rady Bezpieczeństwa Narodowego. Nie jest w zbyt dobrej formie. Jego wrogowie w PiS z satysfakcją zauważają, że chwalił się kampanijną skutecznością, krytykował Nowogrodzką za złą strategię i fatalne decyzje personalne przy układaniu list. A teraz sam przegrał. Przed wyborami europejskimi snuł opowieść, jak ważną postacią w obozie prawicy jest Andrzej Duda i że bez jego zaangażowania w jakąkolwiek kampanię PiS ma mniejsze szanse na dobry wynik.

Ta narracja właśnie upadła z wielkim hukiem. Kolarski zyskał niecałe 50 tys. głosów. Przeskoczył go nawet skompromitowany wyłudzeniem kilometrów Czarnecki z wynikiem 66 tys. A wszystkich pobila Marlena Małag, w końcówce rządów PiS firmująca wydatki socjalne jako ministra. To ona – obok premiera – była główną postacią na piknikach pod hasłem 800+ jeszcze w kampanii parlamentarnej. I teraz dostała 115 tys. głosów.

Czy scenę polityczną czekają jakieś znaczące zmiany po wyborach europejskich? Onet napisał o szykowanym zjednoczeniu Suwerennej Polski z PiS. Rzeczywiście to możliwe. Od samego początku Zbigniew Ziobro chciał wejść do PiS, ale Kaczyński go nie wpuszczał, bo obawiał się, że ziobryści będą knuć i próbować przewrotu w jego partii. Nielojalności Ziobry bał się nie tylko on – także zakon PC, czyli działacze z najdłuższym stażem partyjnym, jeszcze z Porozumienia Centrum, pierwszej własnej partii Kaczyńskiego z początku lat 90., a nawet Beata Szydło, uważana za sojuszniczkę Ziobry.

Teraz jednak sytuacja jest inna: Ziobro jest poważnie chory i nie stanowi zagrożenia, knuć nie będzie, a zastępujący go na stanowisku lidera SP Patryk Jaki zawsze ciążył ku PiS. Operacja „Zjednoczenie” wydaje się więc prawdopodobna. Tym bardziej że w związku z aferą z setkami milionów wypompowanymi za pomocą Funduszu Sprawiedliwości i prawdopodobnymi procesami sądowymi szyld Suwerennej Polski może raczej szkodzić, więc lepiej go zlikwidować.

Koalicja Obywatelska wygrała wybory europejskie i symbolicznie to ważne. Niemniej wyniki wskazują, że obóz Koalicji 15 Października i obóz PiS oraz Konfederacji mają zbliżone poparcie. Pierwszy zyskał zbiorczo około 50 proc. głosów, drugi 48 proc. K15P ma tylko o jeden mandat więcej niż prawica.

Jednak nie ma sensu porównywać tego wyniku z zeszłorocznymi wyborami parlamentarnymi ze względu na olbrzymią różnicę we frekwencji. 15 października głosowało ponad 70 proc. Polaków, 9 czerwca 40 proc. A proste przeliczenie wyników europejskich na mandaty w Sejmie jest w ogóle absurdem i niczego o nastrojach społecznych nie mówi. Na poziomie ogólnopolskim nadal aktualne jest to, że w liczbach bezwzględnych obóz PiS i Konfederacji zbiera w wyborach parlamentarnych ponad 9 mln głosów, a Koalicja 15 Października – ponad 11,5 mln. Tu różnica jest, jak była, znacząca.

Prawdziwym testem kondycji rządzących i opozycji będą dopiero przyszłoroczne wybory prezydenckie. ●

Chcemy się bić, a nie przeglądać papiery

Polski żołnierz, jak polski policjant, ma przestrzegać prawa.



Marcin Matczak

Dochodzę do wniosku, że u nas naprawdę toczy się wojna hybrydowa. Ale nie ta, o której przekonywał nas swoją propagandą PiS. Toczy się u nas groźniejsza, niekonwencjonalna wojna o wschodnią granicę, wojna nie polsko-ruska czy białoruska, ale polsko-polska. Bo to, co się tam dzieje, bardziej zabija nas od wewnątrz, niż zagraża od zewnątrz.

Przepis na taką wojnę jest prosty. Znajdź temat, co do którego Polacy głęboko się nie zgadzają. Najlepiej, jeśli będzie to kwestia, która dotyka poczucia bezpieczeństwa i wizji człowieka: tego, czy co do zasady jest dobry, czy zły, czy można mu zaufać, czy raczej podejrzewać. I pozwól ludziom o to rzucić się do gardel.

Konserwatyści mają mniej optymizmu i ufności do świata, liberalowie i lewica więcej. Widać to na granicy – kiedy jedna strona dehumanizuje tych, którzy tam koczują, inna chciałaby ich nadhumanizować (gdymby istniało takie słowo). Ci widzą w nich tylko zbirów, którzy zabijają naszych żołnierzy i zniszczą naszą kulturę. Tamci widzą w nich wyłącznie kobiety i dzieci, lekarzy i inżynierów. Żadna z tych wizji nie jest prawdziwa. Ale różnica między nimi świetnie nadaje się na wielki konflikt.

Ostatnio na tej granicy zginął polski żołnierz. Krzysztof Stanowski i Robert Mazurek są słusznie wstrząśnięci – nikt wobec tej tragedii nie może przejść obojętnie. Lecz skrajne emocje powodują, że widzą nieistniejący związek przyczynowo-skutkowy między śmiercią Mateusza a aktywnością „celebrytów”. Dostaje się Barbarze Kurdej-Szatan i Agnieszce Holland.

I tu widać, jak skuteczna jest ta hybrydowa wojna: pojawia się absurdałna teza, że żołnierze nie strzelali, a politycy nie zmieniali prawa, bo jak Obajtek audytu bali się celebryckiej krytyki. Naprawdę? Programowo antycelebrycka partia, która prowadziła postępowania karne przeciwko pomagającym na granicy, bała się filmu i opinii aktorki? Niby nie chodzi o szukanie winnych, ale się znajdują. Wielką tajemnicą pozostaje, dlaczego w programie Stanowskiego i Mazurka winnym braku przepisów o skutecznym użyciu broni jest rząd, który rządził od ośmiu miesięcy, a nie PiS, który rządził osiem lat, potrafił sześć razy w roku zmieniać tę samą ustawę i wprowadzać nowe prawo w kilka godzin, lecz akurat przepisów chroniących życie żołnierzy zmienić nie dał rady. Ale fakty na bok, bo jest świetna okazja, żeby podgrzać konflikt.

Tracimy resztki racjonalności. Nie oburzaliśmy się, kiedy prokurator badał nadużycia policji wobec Igora Stachowiaka. Teraz się oburzamy, bo ktoś śmie sprawdzić, czy inne służby mundurowe działały zgodnie z prawem. A może po prostu trzeba nie tylko osądzić zabójcę polskiego żołnierza, ale też sprawdzić, czy inni żołnierze nie nadużyli uprawnień? A sprawdzić nie oznacza potępić.

Polski żołnierz jak polski policjant ma przestrzegać prawa. Dlaczego? Bo służy Rzeczypospolitej, a nie swoim instynktom. Bo ma broń i może spowodować śmierć. Tak jak policjant, który ma zwalczać zło, ale nie ma prawa zabić podejrzanego paralizatorem. Tym się cywilizacyjnie różnimy od zwierząt i despotów, że mamy PRAWO – a ono nie pozwala na dawanie upustu emocjom.

I nie jesteśmy w stanie prawdziwej wojny. Do realnego sukcesu operacji „Śluzą” – destabilizacji Unii – Łukaszenka według ekspertów ma za mało uchodźców. Odnosi jednak zwycięstwo psychologiczne, bo u nas niektórzy bardzo chcą, byśmy zostali wojnę w głowach. Wtedy łatwiej zapomnieć o hamulcach.

Powstrzymajmy te sny o braku ograniczeń i módlmy się, żeby one nigdy nie prze stały obowiązywać. Bo jeśli uwolnimy się od tych ograniczeń prawa po swojej stronie, inni także się uwolnią. I wtedy będziemy mieć swoją wojnę, w której wszystko będzie śmiertelnie jednoznaczne.

Stanowski i Mazurek, którzy oskarżają „celebrytów” o naiwność i to, że dają się wpuszczać w maliny Putinowi, sami robią dokładnie to samo. Symbolem sukcesu tej wojny hybrydowej jest rozbrzmiewająca nad Polską empatyczna „kurwa”. Kiedyś wykrzyczała ją Kurdej-Szatan, teraz krzyczą oni. Ona krzyczała z powodu śmierci 217 ludzi – nie wszyscy byli przestępcami, na pewno nie roczne dziecko, które także było wśród ofiar. Oni krzyczą z powodu śmierci Mateusza. I normalnie wszyscy mieliby rację, bo nikt nie ma prawa twierdzić, że jedna „kurwa” jest zdradziecka, a druga patriotyczna. Ale w czasie wojny hybrydowej obie strony racji mieć nie mogą – na tym ona polega, żeby ludzie, którzy troszczą się o bezpieczeństwo innych, nie mogli się ze sobą dogadać.

A może by przeciąć ten wrzód, zamiast patrzeć, jak ropieje? Jest na to sposób – trzeba zgodnie z konwencją genewską zająć się uchodźcami. W roku jest ich 20-30 tysięcy, a pokazaliśmy, że jak trzeba, potrafimy poradzić sobie z milionami. Może by wybudować nowoczesny ośrodek za murem – przydałyby się na to te 280 milionów, które dostał od rządu PiS właściciel Red is Bad. Może by nielegalnie nie wypychać tych ludzi? Przestać robić sobie przy granicy miniaturkę wojny, która najwyraźniej jest komuś politycznie potrzebna?

Może w tym pomóc prawo, które zakazuje pushbacków. To nie naiwne, głupie prawo samobójców, którzy wpuszczają zmię do własnego domu. To prawo, które obniża napięcia, a nie je eskaluje, co jest celem Putina i Łukaszenki. Nakazuje przeanalizować prawną sytuację uchodźców, pomóc tym, którzy tego potrzebują, i wydalić tych, którzy mogą nam zagrozić.

Ale patrioci wolą strzelać. Może dlatego, że ten przestępczo prosty sposób trafia do wyobraźni konserwatystów, podczas gdy procedury kojarzą im się tylko z flakami i olejem. I ktoś to wie, i woli politycznie grać szeryfa niż księgowego. Chcemy się bić, a nie przeglądać papiery! Bo wielu z nas jest kowbojami i chce pojedynku.

Gdyby Polska stosowała prawo, nikt nie musiałby przy granicy biegać z pizzą, nikt nie musiałby rzucić kurwami, ale też nikt nie musiałby oplakiwać Mateusza. Ale polska, ulańska fantazja wołająca: „Śmierć wrogom ojczyzny!”, nawet jeśli są to kobiety w ciąży i roczne dzieci, jest dla wielu z nas droższa niż racjonalność.

I ktoś to wie, i rozgrywa nas, jak chce. ●

Czołg

Numer na liście był dla Patryka Jakiego tak ważny, że został umieszczony za miast imienia, mogliśmy odnieść wrażenie, że do europarlamentu kandydują „2 Jaki”.



Michał Rusinek

Kampania wyborcza do europarlamentu nie była może tak spektakularna jak samorządowa, ale warto zwrócić uwagę na kilka plakatów i spotów wyborczych, które pojawiły się w przestrzeni publicznej.

Zacznijmy od kategorii słabo obecnej w tej kampanii, ale zawsze smacznej, to znaczących gadżetów kampanijnych. Witold Pahl (KO) postanowił rozdawać wyborcom „PAHLuszkę”, przy okazji przypominając im, że w jego nazwisku „h” jest nieme. Aury tajemniczości i szczypty orientalizmu dodaje tu fakt, że były to pahluszki z sezamem. W przeciwieństwie do tego tajemniczego kandydata Arkadiusz Mularczyk (PiS) postanowił odkryć wszystkie karty, a ściślej: jedną kartę. Hasło na jego plakacie – „Reparacje wojenne dla Polski” – sugeruje, że w ten sposób będzie kończył wszystkie swoje przemówienia w europarlamencie, na wzór Katona Starszego Cenzora w czasie wojen punickich.

Piotr Polak (PiS) jest Polakiem w dwóch nasób, dzięki czemu trawestacja cytatu z Dmowskiego: „Jestem Polakiem – mam obowiązki polskie” brzmiała na jego plakacie podwójnie dobitnie i podwójnie przekonująco. Obok dumnego oblicza Patryka Jakiego (PiS) widniało hasło: „Dumna Polska w Europie”, więc znowu mieliśmy do czynienia z dumą podwójną: mimiczną i słowną, a podwójność tę wzmacniał jeszcze numer na liście tegoż kandydata, czyli 2. Numer ten był dla niego tak ważny, że został umieszczony zamiast imienia, przez co mo-

gliśmy odnieść wrażenie, że do europarlamentu kandydują „2 Jaki”. Andrzej Tarkowski-Kiliszewski (Polexit) natomiast dość kategorycznie stwierdził, że: „Nadszedł czas zadbać o polski interes”. To jednak wygląda na literówkę. Powinno być: rosyjski.

W tym kontekście wysoce ryzykowne wydawać się mogło hasło Urszuli Wiadrowskiej (Lewica): „Moim programem są twoje marzenia”, bo nie wyklucza ono marzeń Andrzeja Tarkowskiego-Kiliszewskiego oraz jego kolegów i koleżanek. A przy okazji sugeruje ono, że Urszula Wiadrowska nie ma jeszcze swojego programu; stworzy go, kiedy wysłucha, o czym marzymy. Wtedy może się zdziwić. Gabriel Janowski (PiS) startował pod hasłem: „Nie Rzucim Ziemi”. Gdyby nie posłużył się na plakacie wielkimi literami, moglibyśmy sądzić, że jest to cytata z „Roty” Marii Konopnickiej. Zapis sugeruje jednak, że chodzi o deklarację pozostania na trzeciej w kolejności planecie od Słońca i niechęć do wybierania się w kosmos, a więc także – co przyjąć należy z ulgą – do daleko idącego polexitu.

Niezwykle elegancko prezentowała się na plakacie Ewa Zajączkowska-Hernik (Konfederacja Wolność i Niepodległość), sfotografowana w pozie Elżbiety Jaworowicz i deklarująca: „Chcemy żyć normalnie”. Co oznacza normalność dla polityczek i polityków Konfederacji mniej więcej wiemy i elegancka poza kandydatki nie powinna była jednak nas zwiść. Magdalena Peterson z domu Pokorska (bezpartyjni) zdecydowała się na podanie nazwiska panińskiego, co nadało jej plakatowi charakteru cmentarnej klepsydry. Głosując na nią głosowaliśmy zarazem na „niezależność i wolność”, a także: „normalną Polskę w normalnej Europie”. Trudno określić, jak rozumie ona obecną Polskę i obecną Europę, ale jeśli któraś z nich wykazuje cechy nienormalności, to była szansa, że to się zmieni.

Dariusz Olech (Konfederacja Wolność i Niepodległość) postawił na komunikat słowno-wizualny. Plakat przedstawia go bowiem w trzech odsłonach: 1) jako mężczyznę długowłosego, 2) jako klienta zakładu fryzjerskiego w czasie golenia głowy i 3) jako mężczyznę łysiego. Na łysinie kandydata widnieje hasło: „Nie dajmy się Unii zrobić na łyso”. Kłopoty są tu dwa: z tego ko-

miksu wynika, że, po pierwsze, kandydat dał się już zrobić na łyso i to z własnej woli i, po drugie, że wyszło mu to na dobre, bo naprawdę o wiele korzystniej wygląda z samym zarostem. Młodzieżowym słowem roku 2018 postanowił posłużyć się Jan Filip Harasymowicz (Lewica Razem), a w dodatku hasło swoje uczynił chwytliwszym za sprawą rymu: „Jeśli nie chcesz wysłać do Brukseli dzbana, zagłosuj na Harasymowicza Jana”. Rym wyszedł mu nieco częstochowski i mimo że na wszelki wypadek pod swoim zdjęciem umieścił zapewnienie, że „to nie jest dzban”, to tak do końca nie jesteśmy przekonani. O palącej potrzebie feminatywów przypominało nam natomiast hasło Izabeli Kloc (PiS): „Europosel – jedyna ze Śląska!”.

Częstym motywem graficznym na plakatach wyborczych były w tym roku marionetki. Wspomniana już Magdalena Peterson z domu Pokorska umieściła rysunek marionetki z podpisem: „To nigdy u nas”, natomiast dr Sławomir Ozdyk (Konfederacja Wolność i Niepodległość) przedstawił na plakacie stworzoną przez sztuczną inteligencję Ursulę von der Leyen trzymającą w dłoniach sznurki od marionetek podpisanych PiS, KO, Trzecia Droga i Lewica. Towarzystwo im nieco skomplikowane poznał, co hasło: „Cel uświęca środki”.

Lepiej zrozumiały był inny plakat tego kandydata przedstawiający niemowlę, które ktoś usiłuje karmić żywym robactwem. Podpis brzmiał: „Zamiast kurczaka zjedz robaka”. Dr Ozdyk zmusił sztuczną inteligencję do wielu zadań, bo na kolejnym plakacie widnieje kombajn z flagą Unii tratujący szarych ludzi i złowroźne hasło: „Czas żniw zielonego wału”.

A na jeszcze kolejnym pojawia się żółtoniebieski pociąg z pytaniem językoznawczym i zarazem przemysłną grą słów: „Pociąg do Ukrainy czy na Ukrainę?”.

Na jeszcze kolejnym widzimy otwarte drzwi, wokół których znajdują się unijne gwiazdki. Za nimi – piękny krajobraz polskiego miasta nad rzeką. Nad nimi – napis: „EXIT” i hasło: „Nasze jedyne wyjście”. Nie zmieściła się tu tylko informacja, że miasto zza drzwi zostało odnowione za pieniądze unijne.

Spotów telewizyjnych było niewiele. Warto odnotować produkcję filmową Bog-

dana Rzońcy (PiS), który zapewnia w swoim spocie, że jest „stać” (a nawet „Stać”, bo prawica lubi nadużywać wielkich liter), ale potem zaczyna wymieniać: „z Bieszczadów, Roztocza, Przemyśla, Jarosławia, Mielca, Rzeszowa”. Pomijając fakt, że dopełniacz od „Bieszczady” brzmi jednak inaczej, zadumajmy się nad obszarem, z którego wywodzi się kandydat.

Ale że historie rodzinne bywają zmagmatwane, więc nie będziemy snuć domysłów. Choć to kuszące. Nic jednak nie było w stanie przebić kampanii prof. Karola Karskiego (PiS). Oprócz tradycyjnej już piosenki wyborczej („Karol Karski to nasz wybór/ w europarlamencie znany/ Z nim nas czeka lepsze jutro./ to nasz człowiek zaufany [...]./ Głosujemy na Karola,/ troszczy się o nasze sprawy./ Od dziesięciu lat w Brukseli/ dzielny, dumny, zawsze prawy”), otrzymaliśmy od jego sztabu filmik, w którym profesor Karski, stojący w szczerym polu na szeroko rozstawionych nogach, zatrzymał pędzący czołg. Mówił coś o tym, że zatrzymaliśmy zło już wiele razy, zatrzymamy i teraz. Ale nie zwracaliśmy uwagi na jego słowa, bo pochłonęło nas uczucie głębokiego zażenowania ze względu na ewidentne skojarzenie z fotografią studenta stojącego naprzeciw czołgu w czasie masakry na placu Tiananmen w 1989 roku.

A przy okazji: trudno było nam pozbyć się także groteskowych skojarzeń z tzw. in-cydentem cypryjskim z 2008 roku, w którym uczestniczył pan profesor jeżdżący meleksem. Na jego miejscu unikałbym wykorzystywania w spotach wyborczych wszelkich pojazdów dwuśladowych.

Tak czy owak, w porównaniu z nieokielzną inwencją polityków i polityczek biorących udział w wyborach samorządowych, pomysłowość w tej kampanii była raczej okielznana i wręcz powściągliwa. Z jednej strony może to cieszyć; z drugiej – może być znakiem umiarkowanego zainteresowania tymi wyborami tak polityków, jak i wyborców. Może też zadziało tutaj przeświadczenie, że w Europie trzeba się zachowywać powściągliwiej niż na własnym podwórku. No i rzeczywiście do europarlamentu dostali się ci politycy, którzy zbytnio nie szarżowali w kampanii. Całej klasie politycznej powinno to dać do myślenia. ●

A to ja zadzwonię do proboszcza

Profesor prawa zapytał episkopat o baner wyborczy PiS na płocie parafii

Magdalena Czyż

Tuż przed eurowyborami do stałam od zaprzyjaźnionego profesora prawa, znanego jako „terapeuta konstytucyjny”, SMS ze zdjęciem baneru wyborczego kandydatki PiS Marii Zofii Koc na płocie parafii w Klukowie w diecezji plockiej.

Profesor pytał mnie, czy można coś z tym zrobić. Baner wisi w takim miejscu, że kiedy wychodzi się z kościoła, nie można go nie zauważyć.

Odpowiedziałam, że żyjemy w wolnym kraju i każdy ma prawo na swoim płocie wieszać, co chce. To nie jest przestępstwo.

Profesor prawa przyznał mi rację, że to nie przestępstwo, tylko czy tak należy?

I zaczął dążyć. Zadzwonił do Episkopatu, aby się dowiedzieć, jakie jest stanowisko kierownictwa Kościoła w Polsce w takich sytuacjach.

Rozmowa przebiegła następująco: zgłosiła się siostra dyżurna, profesor przedstawił się wyraźnie i powiedział, że ma dwie sprawy: pierwsza to prośba o numer telefonu do biskupa diecezji plockiej, bo na stronie diecezji nie może znaleźć żadnych danych kontaktowych. Tę informację otrzymał.

I druga, prośba o połączenie z kimś, komu mógłby przedstawić sprawę. Połączono go z ks. Piotrem, bo ów tylko tak się przedstawił. Profesor pyta ks. Piotra o stanowisko episkopatu.

W odpowiedzi słyszy: „Nie wiem, ja się tym nie zajmuję i proszę zgłosić się do diecezji plockiej”.

Profesor zadzwonił pod wskazany numer. Po drugiej stronie przedstawił się osobisty sekretarz biskupa. Wykłada sprawę se-

Księża, proboszczowie, biskupi, siostry zakonne wiedzą, że agitacji politycznej nie powinni praktykować. Robią to, bo wierni im pozwalają

retarzowi i słyszy: „Nie nie, proszę pana, to trzeba skontaktować się z proboszczem”. No więc profesor odpowiada, że już raz w innej sprawie próbował się kontaktować i z tym proboszczem nie jest możliwa jakakolwiek komuni-

kacja. Wtedy chodziło o zniszczony pomnik poprzedniego proboszcza. Profesor gotów był wręcz sfinansować renowację, ale obecny proboszcz i tak odmówił.

Na to sekretarz biskupa: „To proszę zadzwonić do Episkopatu”.

Profesor: „Od Annasza do Kajfasza, ja już tam dzwoniłem i skierowano mnie właśnie tutaj!”.

– A z kim pan w Episkopacie rozmawiał?

– Wie pan, wy nie macie w zwyczaju się przedstawiać z imienia i nazwiska, ale rozmawiałem z ks. Piotrem.

– A, to ja zadzwonię do proboszcza.

Profesor uprzejmie podziękował i poprosił o telefon z informacją zwrotną o rezultacie rozmowy z proboszczem. Sekretarz obiecał oddzwonić.

Po dwudziestu minutach profesor dostaje telefon od sekretarza z informacją, że jeszcze w tym dniu plakat zostanie zdjęty.

Nie mija godzina, gdy jadąc do Nasielska, przejeżdża obok parafii. Baneru Marii Zofii Koc na płocie nie ma.

Przytaczam tę historię z dwóch powodów: pierwszy, bo to namacalny dowód na to, że presja ma sens! Księża, proboszczowie, biskupi i ich sekretarze, a nawet siostry dyżurne w Episkopacie wiedzą, że agitacji politycznej nie powinni praktykować. Robią to, bo wierni im na to pozwalają. Gdy znajdzie się jeden odważny, który wyrazi niezadowolony z politycznego zaangażowania konkretnego księdza, to wyraz tego zaangażowania znika w ciągu godziny.

A drugi powód: po raz kolejny przekonuję się, że Kościół jest i będzie taki, jakim pozwolą mu być jego praktykujący czy też niepraktykujący wyznawcy.

Postscriptum z Państwowej Komisji Wyborczej: Maria Zofia Koc nie uzyskała mandatu europosła. ●

Bartosz T. Wieliński

Ursula von der Leyen, szefowej Komisji od 2019 r., uśmiech nie schodził z twarzy, gdy w niedzielny wieczór ogłaszała zwycięstwo w wyborach do europarlamentu. Nie doszło do wieszczonej katastrofy. Skrajna prawica jest na wznoszącej, ale jej sukces jest ograniczony. Wybory wygrała Europejska Partia Ludowa, której von der Leyen była spitzkan-didatką, czyli lokomotywą wyborczą.

I choć na wynik pracowali przywódcy chadecji w poszczególnych krajach (do EPL należą m.in. PO i PSL), to wynik całości poszedł na jej konto. Stan posiadania utrzymali też europejscy socjaldemokraci i liberalowie. Trójczłonowa koalicja, która rządziła liczącym 720 posłów parlamentem, osłabła, ale się utrzyma.

Ale radość von der Leyen może być przedwczesna, bo to, czy zostanie szefową Komisji na kolejne pięć lat, jest dalekie od rozstrzygnięcia. Ciągłe nie wiadomo, ilu w unijnych instytucjach 65-letnia polityk ma wrogów. I co w jej sprawie zrobią ludzie, którzy mają być po jej stronie.

Jeden z jej wrogów już od dawna jest znany z imienia i nazwiska. To Charles Michel, były premier Belgii, obecnie kończący w tym roku drugą kadencję szef Rady Europejskiej, w skład której wchodzi szefowie krajów UE. Jego funkcja (przed nim pełnił ją Donald Tusk) potocznie nazywana jest unijnym prezydentem, a Michel, polityk z kompleksem małego kraju, chciał być prezydentem w pełnym tego słowa znaczeniu. A zwłaszcza twarzą wspólnoty na zewnątrz.

Problem w tym, że von der Leyen, rozpychająca się Niemka, na dodatek Wessi, rolę przywódczyni wspólnoty przypisała sobie i nie zamierzała odpuszczać. Wszak, obejmując urząd, zapowiedziała, że pod jej kierownictwem Komisja będzie miała geopolityczny charakter.

I taki charakter miała. Gdy Putin najechał Ukrainę, von der Leyen stała się jedną z najzagorzalszych orędowniczek wspierania Kijowa i torowania Ukraincom drogi do członkostwa w Unii. Traktaty nie przewidziały sytuacji, że sąsiadujące z Unią państwo w tak rażący sposób złamie prawo międzynarodowe, dopuści się zbrodni przeciwko ludzkości, a widmo wojny zawisnie nad całą wspólnotą.

Unijna polityka obronna rozwijała się powoli i głównie na papierze, dotyczyła w zasadzie misji pokojowych. Von der Leyen pchnęła sprawę do przodu. Unia zaczęła zbroić Ukrainę i zajmować się europejskim przemysłem zbrojeniowym. Już wkrótce ma finansować inwestycje obronne, w tym na granicy z Rosją czy Białorusią. Ludzie von der Leyen w imieniu Europy negocjowali z USA nakładane na Rosję sankcje. Z Bidenem mimo unijno-amerykańskich sporów handlowych wypracowała sobie bardzo bliskie relacje. Sama wielokrotnie jeździła pociągiem z Przemysła do Kijowa, torując Ukrainie drogę do wspólnoty. Ukraina w nadzwyczajnie szybkim trybie stała się kandydatem do członkostwa i jeszcze w tym miesiącu rozpocznie negocjacje akcesyjne.

Michel też jeździł na Ukrainę, negocjował, rozbijał przeszko-dy. Ale zasługi zgarnęła ona. Tak jak podczas pandemii, gdy też weszła na niewytłumaczone w traktatach terytorium i zajęła się zabezpieczeniem szczytów dla krajów wspólnoty. To Komisja, a nie każde państwo z osobna, negocjowała z koncernami farmaceutycznymi dostawy. Wyszczepienie 84 proc. unijnej populacji było sukcesem, choć potem się okazało, że Komisja zamówiła za dużo szczepionek i 250 mln dawek preparatów trzeba było zutylizować.

Belg chciał błyszczeć, ale nie miał jak. Zimna wojna między nim a szefową Komii-

WYBIERZMY NASZĄ EUROPE



Co dalej z przewodniczącą UE

URSULA WRESZCIE SIĘ UŚMIECHA

Timmermans jej nie wybaczył, z unijnym prezydentem toczy zimną wojnę, liberalni i lewicowi europosłowie mają jej za złe, że wycofuje się z Zielonego Ładu. Ale cieszy się poparciem Tuska

sji zaczęła się w kwietniu 2021 r. po wizycie w pałacu prezydenta Turcji Recepta Tayyipa Erdogana. Dla gości gospodarze przewidzieli jedno krzesło koło krzesła przeznaczonego dla prezydenta. Był to zapewne celowy zabieg, by upokorzyć unijną delegację.

Michel po wejściu do sali pośpiesznie usiadł na wyznaczonym miejscu. Dał się Turkom ogrzać jak dziecko, a może chciał pokazać koleżance jej miejsce? Von der Leyen została kanapa. Efekt był koszmarny, kompromitujące zdjęcia poszły w świat. Lecz Niemka na upokorzeniu tylko zyskała, prezentując się jako ofiara tureckiego mizogina, Michel zaś wizerunkowo stracił, bo do tego dopuścił. Wizytę przygotowywali bowiem jego ludzie od protokołu dyplomatycznego, którzy powinni zadbać o wszystkie detale.

Odtąd między Michelem a von der Leyen trwa zimna wojna, kanały komunikacji między przywódcami zostały zerwane, a wrogość przełożyła się nie tylko na współpracowników, ale również na instytucje. Rada o planach Komisji dowiadywała się od dziennikarzy. Sztabowcy planujący zagra-

niczne wizyty koncentrowali się na tym, by szefowa Komisji i szef Rady nigdzie na siebie nie wpadali.

W 2022 r. na szczycie G-20 Michel nie zaprosił von der Leyen na spotkanie z prezydentem Chin. Była to zemsta za to, że von der Leyen kilka miesięcy wcześniej nie dopuściła do spotkania Michela z premierem Indii w kularach szczytu G-7.

Brukselska prasa alarmowała już dwa lata temu, że ten konflikt przekłada się na efektywność całej unijnej maszynierii. Mimo to von der Leyen i Michel się nie pojednali, choć w mediach społecznościowych szefowej komisji ostatnio pojawiło się parę wspólnych fotografii. Ale to tylko PR-owe pozory. Pod koniec czerwca Michel będzie przewodniczyć rozmowom przywódców UE, którzy podczas kolacji ustalą kształt przyszłych władz Europy. I już na początku miesiąca otwarcie uderzył w koleżankę, publicznie krytykując ją za rzekomo szkodliwą działalność w polityce międzynarodowej, co poparł raportem. Głównie chodzi o jej proizraelskie stanowisko w sprawie Strefy Gazy, które

według Michela podkopało w świecie reputację wspólnoty.

Belg nie tylko pała żądzą zemsty, ale też chce coś ugrać dla siebie na powyborczym rozdaniu stanowisk. Spekuluje się, że chciałby się przesiąść na fotel szefa unijnej dyplomacji. Tymczasem von der Leyen ma jednak na głowie inne problemy.

– Opowiedzcie mi jakąś anegdotę o Ursuli – proszę znajomych unijnych urzędników z Brukseli. W odpowiedzi rozkładają ręce. Anegdot nie ma. Von der Leyen w Brukseli prowadzi skryte życie. Koncentruje się ono w 14-piętrowym biurowcu Berlaymont, na przedostatnim piętrze. Tam mieści się biuro szefowej Komisji i tam ona mieszka.

Niemka jest pierwszą szefową KE, która postanowiła nie wynajmować w Brukseli rezydencji. Mieszkanko urządziła w przyległym do biura apartamencie, w którym jej poprzednik Jean-Claude Juncker uciął sobie popołudniową drzemkę. Apartament ma wielkość małej polskiej kawalerki. – Ona żyje jak typowa protestantka. Bar-



FOT. REUTERS/LUKAS BARTH

*Nie doszło do wieszczonej katastrofy.
Skrajna prawica jest na wznoszącej,
ale jej sukces jest ograniczony.
A wygrana europejskiej chadecji idzie
na konto von der Leyen*

wykuwano międzynarodowe kompromisy, które są fundamentem UE. Von der Leyen była najściem bardzo zmieszana, a nieproszonych gości zbyła, mówiąc, że jest po pracy i chce odpocząć, a nie pić z nimi. Komisarze zmyli się jak niepyszni.

Czas wolny spędza w Beinhorn, dolnosaksońskiej wiosce położonej pół godziny drogi od Hanoweru. Sporą posiadłość miał tam jej zmarły w 2014 r. ojciec Ernst Albrecht, były premier landu Dolna Saksonia. Okolice śliczne, von der Leyen hoduje tam konie. Rok temu w Beinhorn doszło do tragedii. Do posiadłości zakradł się wilk i zagryzł 30-letnią Dolly, ulubionego kuca von der Leyen.

Szefowa komisji, która o stracie poinformowała w specjalnym oświadczeniu, wypowiedziała wilkom – choć w Europie są objęte ochroną, a poszanowanie praw zwierząt i dbałość, by człowiek stał się gatunkiem mniej inwazyjnym, wspólnota ma na sztyndarach – wojnę. Komisja zaczęła bacznie przyglądać się ich sytuacji, a zapis o ochronie ludzi i ich dobytku przed niebezpiecznymi drapieżnikami znalazł się nawet w programie wyborczym europejskiej chadecji.

Wilk, który zabił Dolly, podzielił jej los. Niemieckie władze, które wydały specjalną zgodę na odstrzał zwierzęcia, zarzekały się, że nie miała ona żadnego związku z incydentem w posiadłości von der Leyen. Agresywny wilk – choć przyrodnicy zauważali, że zjadł wiekową, schorowaną ofiarę, pasącego się obok młodego kuczka nie tknął – na śmierć miał zasłużyć już wcześniej.

Krąży też anegdota o pojednawczej kołacji, którą von der Leyen podjęła swojego zastępcę Fransa Timmermansa. W 2019 r. Holendra jako szefa Komisji forsowała Angelę Merkel. Jej propozycja szokowała, bo ówczesna kanclerz Niemiec była chadeczką, a Timmermans wywodzi się z socjaldemokracji. Kandydatura nie przeszła, bo bunt przeciwko Merkel wszczęli szefowie rządów wywodzący się z EPL. Ich głos miał o wiele większe znaczenie niż sprzeciw rządzonej przez PiS Polski, którą Timmermans młotkował za łamanie praworządności i niszczenie niezależnego sądownictwa. Ostatecznie Rada ster Komisji powierzyła von der Leyen, Timmermans został jej zastępcą odpowiedzialnym za Zielony Ład, pakiet reform, które mają przekształcić unijną gospodarkę i chronić klimat.

Pojednanie się nie udało. Może dlatego, że von der Leyen podjęła kolegę w ascetyczny sposób. Podala sałatkę i wodę. A potem oprócz dwóch wiceprzewodniczących (oprócz Timmermansa tę funkcję pełni Dunka Margrethe Vestager) powołała jeszcze pięciu innych, obniżając znaczenie Holendra. Gdy zwracano jej na to uwagę, miała odpowiadać, że wychowała siedmioro dzieci, więc poradzi sobie z siedmioma zastępcami.

Timmermans w 2023 r. odszedł z Komisji i wrócił do holenderskiej polityki, gdzie na czele socjaldemokratyczno-zielonej koalicji stawia czoła prawicowemu populizmowi Geertowi Wildersowi. Z porażką z 2019 r. podobno nigdy się nie pogodził.

A czy pogodził się Martin Weber, szef Europejskiej Partii Ludowej, który stoi na czele jej frakcji w Parlamencie? Pięć lat temu w kam-

panii to Weber był Spitzenkandidatem EPL. A Spitzenkandidat, zgodnie z wprowadzonymi przed wyborami w 2014 r. regulami, po zwycięstwie miał zostać właśnie szefem Komisji. W ten sposób wybór komisji miał zostać udemokratyzowany: obywatele Unii, wybierając członków Parlamentu, decydowali o kształcie Komisji. Po wyborach w 2014 r. szefem Komisji został więc Jean-Claude Juncker.

Ale pięć lat później na Webera, który również wygrał wybory, nie zgodził się Emmanuel Macron, który uznał, że brakuje mu kompetencji. A gdy poszukiwanie kandydata się przeciągały, zaś pomysł Merkel z Timmermansem nie wypalił, to francuski prezydent wyciągnął z kapelusza swoją znajomą: Ursulę. – To nie jest Europa, jakiej chcę, będę kontynuował walkę o jej demokratyzację – mówił rozszalały Weber.

A przecież w 2019 r. wydawało się, że błyskotliwa kariera Niemki właśnie się kończy. Do rządu w 2005 r. jako ministra rodziny wzięła ją Merkel. Von der Leyen za cel postawiła sobie walkę z kryzysem demograficznym i zachęcenie Niemców do rodzicielstwa. Wprowadziła becikowe, urlopy macierzyńskie, budowała nowe żłobki. Poszła na wojnę z chadeckim betonem, który uważał, że kobieta, która ma dzieci, nie powinna pracować. Jej rzecznicy prasowi robili wokół jej pracy i wielkiej rodziny sporo szumu, takiej obsługi PR-owej nie miał wtedy chyba żaden minister.

Wskaźniki w zasadzie nie drgnęły, mimo to w 2010 r. została minister pracy, w 2013 minister obrony. Po aneksji przez Rosję Krymu i oderwaniu części Donbasu miała odbudować zupełnie zaniedbaną Bundeswehrę. Zaczęły się kolejne PR-owskie projekty i przecieki do mediów, że von der Leyen będzie następczynią Merkel. Minister z Dolnej Saksonii jednak czegoś brakowało, efektów zmian w armii nie było, pojawiały się natomiast informacje o dworze, który zbudowała w ministerstwie. Propozycja przeprowadzki do Brukseli była dla niej kołem ratunkowym, które dobrze wykorzystwała.

Czy Macron będzie teraz jej sojusznikiem? Z pewnością. Ale jego pozycja w Radzie nie jest już tak mocna. Pięć lat temu nadawał w Europie ton, dziś jego pozycja osłabła i w Unii, i we Francji. Jego partia w wyborach europejskich poniosła druzgocącą klęskę ze skrajnie prawicowym Zjednoczeniem Narodowym. Może ponieść kolejną po niespodziewanym rozwiązaniu przez Macrona parlamentu i przyspieszonych wyborach na przełomie czerwca i lipca.

Gdy dziennikarze pytają Webera o wydarzenia z 2019 r., odpowiada, że to przeszłość. Faktem jest, że pięciu minionych lat nie zmarnował, stając się rozgrywającym europejskim politykiem. Dziś Macronowi trudno byłoby przekonywać, że szef EPL nie ma kompetencji.

Jeśli kandydatura von der Leyen przejdzie przez Radę, to jej przyszłość w dużej mierze będzie zależeć od niego. Von der Leyen musi zatwierdzić Parlament. A już pięć lat temu o mały włos nie doszło do katastrofy. Dostała raptem dziewięć głosów ponad wymagane 274. Przeciw głosowali nawet posłowie EPL, oburzeni skasowaniem kandydatury Webera. Po zeszlotygodniowych wyborach niewiele się zmieni. Niemkę na Spitzenkandidatkę zatwierdzano na kongresie EPL w Bukareszcie. Do głosowania było uprawnionych 737 delegatów, zagłosowało tylko 489. Za von der Leyen było 400, czyli 82 proc. To pokazuje, z jakim problemem zmierzy w się trakcie głosowania.

Koalicja eurochadeków, socjaldemokratów i liberałów ma w liczącym 720 posłów parlamencie 400 mandatów. Von der Leyen musi się liczyć z tym, że nie poprze jej 10 proc. posłów. Weber będzie stawiał na głowie, by zapewnić dyscyplinę w łonie EPL (co jest trudne, bo głosowanie jest tajne), ale socjaliści i liberałowie są rozszale-

ni, że von der Leyen – notabene pod presją Webera – wycofuje się rakiem z Zielonego Ładu, którego znaczenie porównywała niegdyś do lądowania na Księżycu.

Na poparcie koalicjantów Weber nie ma wpływu, dlatego szuka dla von der Leyen koła ratunkowego. W 2019 r. uratowali ją europosłowie PiS. Premier Mateusz Morawiecki uznawał wybór Niemki za swój osobisty sukces. Zmienił zdanie, gdy von der Leyen zablokowała wypłatę Polsce 36 mld euro z Funduszu Odbudowy mającego przyspieszyć modernizację gospodarek po pandemii.

Warszawa pieniędzy nie dostała z powodu łamania praworządności i ignorowania wyroków Trybunału Sprawiedliwości UE w tej sprawie. Dlatego Weber zabiega o wsparcie von der Leyen u Giorgii Meloni, włoskiej premier, szefowej prawicowo-populistycznej partii Bracia Włosi. Jej partia ma w Parlamencie 24 szable. Ale fakt, że Weber szykuje von der Leyen taką pomoc, jeszcze bardziej irytuje socjaldemokratów i liberałów. W efekcie poparcie dla szefowej Komisji może być mniejsze.

Parlament ma głosować nad kandydaturą jeszcze w lipcu. W Brukseli tłumaczy się to na dwa sposoby. Jedni mówią, że chodzi o to, by zatwierdzić von der Leyen i mieć to z głowy. Drudzy, że o to, by jak najszybciej jej się pozbyć i zacząć szukać nowego kandydata.

Jak zachowa się Polska? Von der Leyen mocno rozczarowała naszych obrońców praworządności. Przez pierwsze miesiące na stanowisku grała w duecie z Morawieckim (rozmawiali po niemiecku, którym ówczesny premier płynnie włada), zdarzało się, że mówiła przekazami pisowskiej propagandy. Związek się rozluźnił, bo rząd PiS nie reagował na propozycje Komisji Europejskiej, by zawrzeć wokół polskich sądów chociaż zgniły kompromis. Złośliwi dowcipkują, że po czystkach w dyplomacji politycy PiS nie mieli pojęcia, jak z Komisją się porozumieć. Do zerwania doszło podczas podziału pieniędzy z Funduszu Odbudowy. Dziś otoczenie von der Leyen tłumaczy, że musiało współpracować z PiS, bo obawiano się, że wirus brexitu może się rozsiać na kolejne kraje, a Polska rządzona przez populistów była na szczycie listy zagrożonych państw. Poza tym Komisja pracuje z rządami, a nie opozycją.

Jak jest teraz? Donald Tusk pojechał do von der Leyen zaraz po wygranych przez opozycję pod jego wodzą wyborach 15 października, a ona go przyjęła, choć nie był premierem. Mówi się, że jej kontakty z cenionym w unijnych korytarzach Polakiem zawsze były niezłe. A w dodatku dziś Warszawa ma coraz silniejszy głos w Brukseli.

Więc von der Leyen wspiera rząd Tuska. Owszem, tego, o co Unia walczyła i czego się domagała – zmian w prawie, które odwracałyby zniszczenia w praworządności – nie ma i do przyszłorocznych wyborów prezydenckich raczej nie będzie. Ale są nowi ludzie, są zobowiązania i dobre sygnały, jak przystąpienie Polski do prokuratury europejskiej. Komisja odblokowała pieniądze z Krajowego Planu Odbudowy, zakończyła kompromitujące nasz kraj postępowanie dyscyplinarne z artykułu 7.

Premier Tusk obiecał jej wsparcie. Wie, że von der Leyen potrafi się odwzajemnić. ●



● Projekt WYBIERZMY NASZĄ EUROPEJĘ współfinansowany jest przez Unię Europejską w ramach programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji.

● Wszelkie informacje i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają wyłącznie poglądy ich autorów. Parlament UE nie uczestniczył w przygotowaniu materiałów, nie odpowiada za ich treść i nie może być pociągany do odpowiedzialności za pośrednie lub bezpośrednie szkody mogące wynikać z realizacji projektu.

Euro 2024. Piłka już jest w grze

KAPITAN ROBINSON CRUZOE

Czy wreszcie osiągnie
z reprezentacją własnego
kraju sukces na miarę
swojego talentu

Dariusz Wołowski

Nie wiemy, czy Euro 2024 będzie ostatnim wielkim turniejem kapitana reprezentacji Polski, z całą pewnością jednak jego kariera zbliża się do końca.

27 stycznia 2024 roku. Barcelona przegrywa ligowy mecz z Villarreal 3:5 na swoim boisku, tracąc dwa gole w doliczonym czasie gry. Stało się jasne, że Katalończycy nie obronią tytułu mistrza Hiszpanii. Prezes Joan Laporta wściekle zbiega do szatni drużyny, trener Xavi Hernandez ogłasza, że po sezonie odchodzi z klubu.

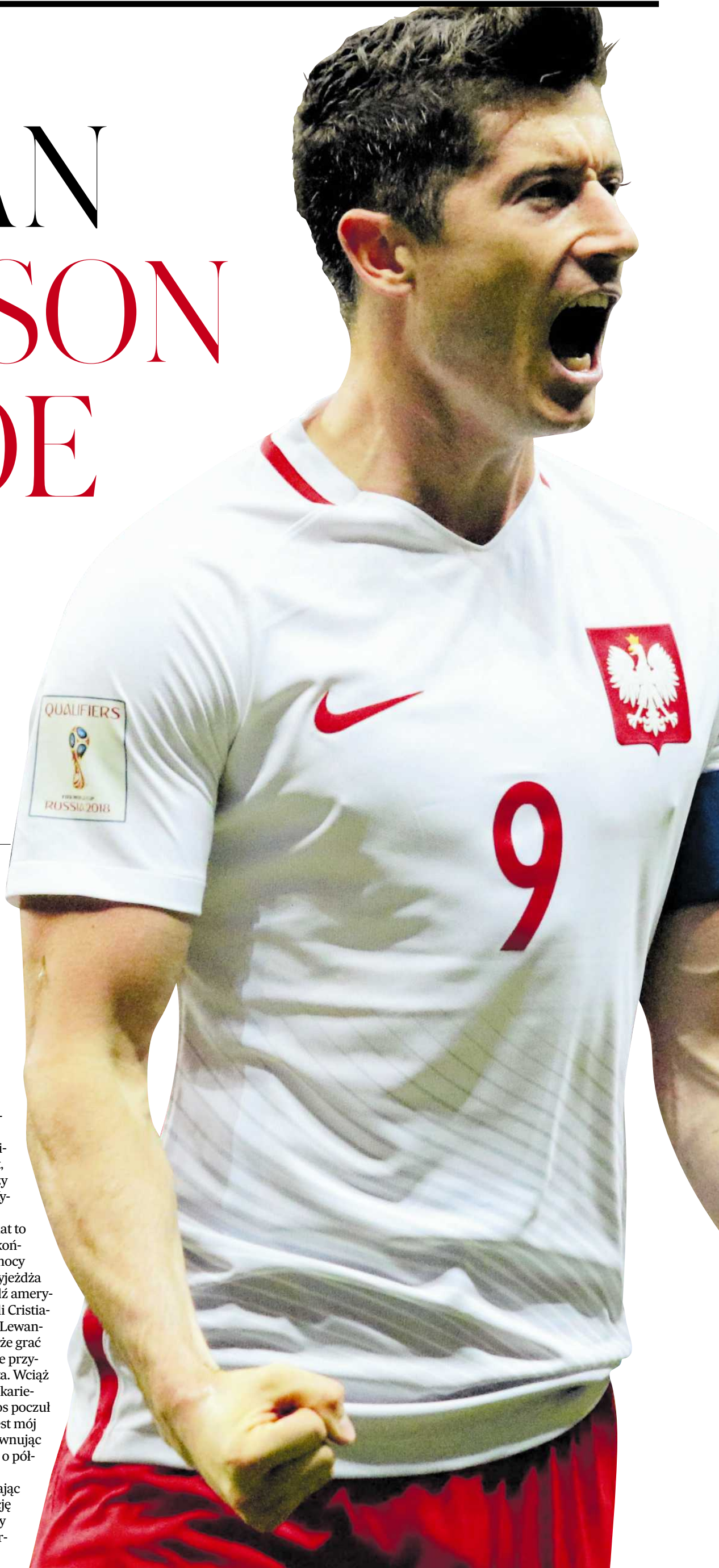
Jako jeden z liderów Robert Lewandowski zorganizował grilla w swoim domu. Polak czuł się odpowiedzialny za to, co się działo. Namawiał młodszych kolegów, by podjąć walkę, mimo iż mistrzostwo, Supercup i Puchar Króla przepadły. Od tego momentu drużyna nie przegrała 13 kolejnych meczów, aż do klęski z PSG w ćwierćfinale Ligi Mistrzów. Przez chwilę wydawało się nawet, że posadę Xaviego uda się uratować.

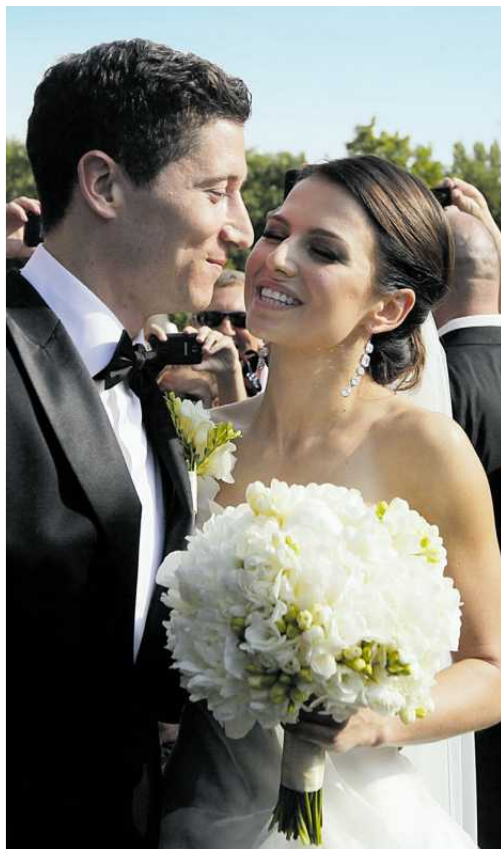
Xavi Hernandez był trenerem, który dwa lata temu namówił Lewandowskiego na przenosiny z Bayernu Monachium do Barcelony. 45 mln euro, które wydał na 34-letniego napastnika zadłużony klub z Katalonii, było miarą determinacji szkoleniowca i prezesa Joana Laporty. Dla kapitana reprezentacji Polski oferta okazała się kusząca. O ile szefowie klubu z Monachium zamierzali przedłużyć umowę z sezonem na sezon, w zależności od jego formy, Barcelona oferowała kontrakt na trzy lub cztery lata z wzrastającą pensją, licząc, że sytuacja ekonomiczna w klubie będzie się poprawiać.

Lewandowski skorzystał z oferty. Dziś hiszpańskie media informują, że to Polak stał się przedmiotem konfliktu Xaviego z Laportą, co zakończyło się dymisją trenera. Po dwóch sezonach współpracy z Lewandowskim Xavi uznał, że 36-letni napastnik (urodziny ma 21 sierpnia) nie będzie już w stanie sprostać wymaganiom tak wielkiego klubu. Barcelona rywalizuje przecież ze zwycięzcą Ligi Mistrzów – Realem Madryt, który wzmocnił najlepszy obecnie piłkarz świata Kylian Mbappe.

Zdaniem Xaviego 36 lat to wiek, w którym piłkarz kończy karierę, jak lider pomocy Realu Toni Kroos, lub wyjeżdża do Saudi Pro League bądź amerykańskiej MLS. Tak zrobili Cristiano Ronaldo i Leo Messi. Lewandowski upiera się, że może grać na najwyższym poziomie przynajmniej kolejne dwa lata. Wciąż nie myśli o zakończeniu kariery. – Być może Toni Kroos poczuł ten moment, ale to nie jest mój przypadek – mówi, porównując się do Niemca, który jest o półtora roku młodszy.

Czy Laporta, pozbywając się Xaviego, przyznał rację Polakowi? Tego dowiemy się latem, jeśli prezes Barcelony zatrzyma Lewandowskiego na kolejny se-





Los obdarzył
go talentem
i pracowitością,
a on potrafi zrobić
z nich użytek wszędzie
– tylko nie tam,
gdzie najbardziej mu
zależy

Robert
Lewandowski
z ojcem
Krzysztofem

10 sierpnia
2007, piąta kolejka
rozgrywek II ligi,
Znicz Pruszków
z Lewandowskim
w składzie gra na
własnym boisku
ze Śląskiem
Wrocław

Sierpień 2008,
stadion miejski
w Poznaniu,
Lewandowski
w meczu
pucharu UEFA
Lech Poznań
- Grasshopper
Zurich

Rok 2013, Se-
rock pod War-
szawą, nowożeńcy
Robert Lewan-
dowski i Anna
Lewandowska,
z domu Stachurska

FOT. KUBA ATYS / AGENCJA WYBORCZA.PL, WOJCIECH SURDZIEL / AGENCJA WYBORCZA.PL, ARTUR HOJNY SE / EAST NEWS, ŁUKASZ CYNALIEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL, CZAREK SOKOŁOWSKI/AP/EAST NEWS

zon. To nie jest takie oczywiste, bo pensja napastnika wzrosła do 32 mln euro brutto. Będzie najwyżej opłacanym piłkarzem w klubie. Chroni go ważny kontrakt, trudno jednak przypuszczać, by został w Barcelonie wbrew woli prezesa.

– Był naszym najlepszym strzelcem w dwóch ostatnich sezonach i jestem pewien, że w trzecim będzie tak samo – powiedział Laporta pytany o przyszłość Lewandowskiego.

Na razie prezes Barcelony postawił na czele drużyny Niemca Hansiego Flicka, z którym Lewandowski przeżył w Bayernie czas największego wzlotu. Cztery lata temu Bawarczycy wygrali Ligę Mistrzów, Bundesligę i Puchar Niemiec. Polak był królem strzelców we wszystkich rozgrywkach. Wcześniej czegoś podobnego dokonał tylko legendarny Johan Cruyff z Ajaxem Amsterdam. Nawet on zrobił to w mniej spektakularny sposób. FIFA nagro-

dziła Lewandowskiego tytułem The Best – dla najlepszego piłkarza świata w latach 2020 i 2021. Był wtedy u szczytu możliwości. W trzy ostatnie sezony zdobył dla Bayernu 153 gole. W pierwszym roku w Barcelonie został jako pierwszy Polak w historii królem strzelców ligi hiszpańskiej. Mimo wszystko liczba bramek strzelanych przez Lewandowskiego znacząco spada. W pierwszym sezonie w Katalonii we wszystkich rozgrywkach pokonał bramkarzy 33 razy, w minionym 26. Tendencja zdaje się nieodwracalna.

W Barcelonie mogą się pocieszać, że wiosną 2024 roku była dla Polaka lepsza niż jesień 2023. Lewandowski poprowadził zespół do ćwierćfinału Ligi Mistrzów, na co klub z Katalonii czekał cztery lata. Gdyby nie czerwona kartka dla obrońcy Ronald Araujo w rewanżu z Paris Saint Germain, Barcelona miałaby realną szansę na półfinał. Laporta mógłby to uznać za sukces. On musi zadowolić kibiców, jeśli mają go wybrać na prezesa w następnej kadencji.

Tymczasem w konflikcie z Xavim część fanów zdecydowanie stanęła po stronie zwolnionego trenera. Czy latem w kadrze Barcelony może dojść do głębokich zmian? Barierą będą z pewnością wciąż kruche finanse klubu.

Nawet jeśli europejska kariera Lewandowskiego zmierza do końca, w Polsce wciąż jest numerem 1. Ma być największym atutem drużyny Michała Probierza, która zagra na Euro 2024 w Niemczech. Dla niego to podróż sentymalna. W Bundeslidze grał 12 lat. – Część mojego życia pozostało w tym kraju – mówi.

Żaden inny z polskich piłkarzy wciąż nie zbliża się nawet do pozycji napastnika Barcelony. Na Euro 2024 drużyna trafiła do ekstremalnie trudnej grupy z Ho-

landią, Austrią i Francją. Do 1/8 finału mogą jednak awansować aż trzy zespoły – również trzeci w tabeli, jeśli będzie miał lepszy bilans niż rywale z innych grup.

Kim jest Lewandowski dla polskiej piłki i polskiego sportu? Liderka rankingu WTA Iga Świątek mówi, że wciąż gwiazdą numer 1. Tenisistka nie rozumie fali ostrej krytyki, która spada na kapitana piłkarskiej drużyny, nawet gdy zespół regularnie gra poniżej oczekiwań. Czy można za to jednak winić napastnika Barcelony? Lewandowski pozostawi po sobie w kadrze rekordy nie do pobicia (dziś ma 82 gole w 150 meczach). Prawdopodobnie nigdy jednak nie osiągnie z nią sukcesu na miarę swoich pozycji i talentu. W tym sensie można go uznać za postać tragiczną.

Jakiś czas temu w hiszpańskich mediach ukazał się wywiad z Leo Beenhakkerem, selekcjonerem Holandii, a potem Polski. Pracował w Ajaxie Amsterdam, Realu Madryt i dziewięciu innych klubach, ale za jedno ze swoich największych osiągnięć uważa fakt, że we wrześniu 2008 roku pozwolił zadebiutować w kadrze 20-letniemu Lewandowskiemu – wtedy nowemu napastnikowi Lecha Poznań.

A nie było to oczywiste. Zaledwie dwa lata wcześniej Legia Warszawa pozbyła się młodego napastnika w chwili, gdy walczył z kontuzją. W tamtym czasie Messi zdobywał już swoje pierwsze gole na mundialu w Niemczech, a Ronaldo dotarł z Portugalią do strefy medalowej. Czy trafiając do trzecioligowego Znicza Pruszków, by odbudować zdrowie i formę, Lewandowski mógł marzyć, że kiedyś rzuci wyzwanie największym gigantom piłki?

Były agent napastnika Barcelony Cezary Kucharski opowiadał anegdotę, jak wiele lat temu zadzwonił do niego Zbigniew Boniek z pytaniem: „Kto to jest ten Lewandowski?”. „Piłkarz, który będzie lepszy od ciebie” – odpowiedział Kucharski.

Jakiś czas potem doszło do głośnego konfliktu Lewandowskiego z Kucharskim, sprawa trafiła do sądu i wizerunkowo zaszkodziła im obu. Były agent kapitana reprezentacji Polski pewnie sam nie mógł przypuszczać, jak daleko zajdzie jego ówczesny klient. Kucharski sam był reprezentantem Polski, grał w Legii, z której przeniósł się do ligi hiszpańskiej. Nie poradził sobie w skromnym Sportingu Gijon i wrócił do Warszawy.

Przypadek Kucharskiego jest standardowy w polskiej piłce. Niewiele piłkarzy z ekstraklasy radzi sobie w najlepszych ligach Europy, żaden nie zbliżył się do poziomu Lewandowskiego. Najbliżej jest bramkarz Juventusu Wojciech Szczęsny, który na Euro 2024 żegna się z drużyną narodową.

Czy Lewandowski jest piłkarzem wszech czasów w Polsce? Jeśli spojrzeć na dokonania w klubach: nie ma wątpliwości. Król strzelców ekstraklasy, siedmiokrotnie najskuteczniejszy w Bundeslidze, raz w La Liga. Dwukrotny laureat Złotego Buta i dwukrotny piłkarz roku FIFA. Mistrz Polski, 10-krotny mistrz Niemiec, mistrz Hiszpanii, zdobywca drugiego miejsca w plebiscycie Złota Piłka. Nie wygrał prestiżowej klasyfikacji, bo w 2020 roku magazyn „France Football” odwołał głosowanie z powodu pandemii. Tymczasem Lewandowski nie miał wtedy konkurencji. „Jest być może najwybitniejszym zawodnikiem z tych, którzy Złotej Piłki nigdy nie dostaną” – komentował madrycki dziennik „Marca”. Co jakiś czas pojawiają się pomysły, by francuski magazyn „oddał” nagrodę Polakowi za 2020 rok.

Jeśli chodzi o karierę w klubach, z Lewandowskim może konkurować Boniek. Wielkość gracza Widzewa, Juventusu i Romy zbudowała jednak także reprezentacja Polski. Oczywiście można gdybać, co by by-

10
czerw-
ca 2017,
Robert Le-
wandowski
na warszaw-
skim Stadionie
Narodowym w
mecz eliminacji
mistrzostw
świata. Polska -
Rumunia 3:1



• Jesień 2017,
Robert Lewandowski świętuje
mistrzostwo
Bundesligi dla Bayernu



• Listopad 2022,
Robert i Anna
Lewandowscy od-
bierają Złoty But,
nagrodę UEFA
dla najlepszego
europejskiego
strzelca



FOT. CHRISTIAN KOLBERT/IMAGO SPORT AND NEWS/EAST NEWS, ADRIA PUIG/ANADOLU AGENCY VIA GETTY IMAGES, DAVID RAMOS/GETTY IMAGES

ło, gdyby Kazimierz Deyna, Grzegorz Lato czy Andrzej Szarmach mogli wcześniej opuścić PRL i wyjechać do zagranicznych klubów albo gdyby Włodzimierz Lubański nie doznał kontuzji, która zламala mu karierę.

Wszyscy wymienieni odnosili znaczące sukcesy z reprezentacją. Ich kariery toczyły się logicznie, bo mieli siebie nawzajem. Lewandowski może się czuć w polskiej piłce jak Robinson Crusoe. Choć był czas, gdy w Borussii Dortmund w jakimś stopniu kroku dotrzymywali mu Łukasz Piszczek i Jakub Błaszczykowski, potem Grzegorz Krychowiak w Seville, a ostatnio Piotr Zieliński w Napoli. Czy to jednak nie paradoks, że najlepszy piłkarz w historii naszej piłki trafił na tak zły czas drużyny narodowej? Sam niewiele potrafi na to poradzić. Uważa, że w czasie jego kariery Polska nigdy nie miała tak mocnej drużyny, by walczyć o medale i tytuły, jak w czasach Deyny czy Bonika.

Lewandowski zdobył dla Polski 82 gole – pozostawił daleko za plecami Lubańskiego (48), Latę (45) i Deynę (41). Zagrał w 150 meczach, drugi na liście jest Błaszczykowski (109). Przy czym napastnik Barcelony wciąż może się poprawiać. Ale nie tylko liczby opisują dokonania piłkarza, przede wszystkim trofea i wielkie mecze rozegrane na wielkich imprezach.

Lato był królem strzelców mundialu w RFN, dwukrotnym medalistą mistrzostw świata, Boniek zdobył medal mundialu w Hiszpanii, okraszony hat trickiem w starciu z Belgią. Deyna stworzył legendę najlepszego rozgrywanego swoich czasów, który doskoczył w 1974 roku do takich gwiazd jak Johan Cruyff i Franz Beckenbauer. Jan Tomaszewski jako pierwszy bramkarz obronił dwa karne w jednych mistrzostwach świata. Grali legendarny mecz na Wembley, pokonali Holandię w Chorzowie 4:1 w 1975 roku w spotkaniu, które uchodzi za najlepsze w dziejach drużyny narodowej.

Starsi koledzy o mistrzu

Zbigniew Boniek*

Robert Lewandowski to wciąż klasa światowa, choć nie jest już na poziomie sprzed 2-3 lat. To piłkarz świadomy, dba o wydolność, siłę i kondycję, co jest podstawą utrzymywania się na topie. Dziś przesunął się wiek, kiedy piłkarz kończy karierę, w moim pokoleniu było to 32-34 lata. W jakimś stopniu spowodował to rozwój medycyny sportowej i wzrost świadomości samych piłkarzy, którzy chcą się utrzymać na rynku jak najdłużej.

W moich czasach możliwości gry za granicą były mniejsze, w każdej z czołowych lig Europy były ograniczenia liczby zatrudnianych obcokrajowców. Poza tym my zarabialiśmy znacznie mniej, więc mieliśmy mniejszą motywację, by przedłużać karierę, szukając klubów w USA czy Arabii Saudyjskiej. Dzisiejsi gracze mogą i chcą zbudować na boisku fundament pod całe przyszłe życie.

Ambicje i motywacje Roberta wciąż sięgają wysoko. W klubach zdobył praktycznie wszystko, ale re-

prezentacja musi wywoływać u niego uczucie niedosytu. Największym sukcesem osiągniętym z kadrą było dlań Euro 2016, z tym że przyjechał do Francji przemęczony ciężkim sezonem klubowym. Bayern wycisnął z niego wtedy wszystko, więc tamten turniej kojarzymy ze świetną grą Kuby Błaszczykowskiego, Łukasza Piszczka, Kamila Glika czy Grzegorza Krychowiaka. Robert miał swój wkład w awans do ćwierćfinału, ale nie był to jego turniej. Była szansa, by zabłysnął na Euro 2020, wtedy był w świetnej formie. Mieśliśmy mocny zespół, ale przepadł w grupie i marzenia się rozsypały.

Czy Euro 2024 w Niemczech będzie ostatnim wielkim turniejem Lewandowskiego? To bę-

dzie zależało od wyniku. Jeśli drużyna narodowa zagra dobrze, osiągnie sukces, Robert poczuje zastrzyk sił i entuzjazmu, by grać w niej nadal. Możliwy jest jednak także smutny scenariusz. ●

* Reprezentant Polski w latach 1976-88, zawodnik Romy i Juventus (pierwszy Polak w topowym zachodnim klubie), na liście FIFA stu najlepszych piłkarzy w historii. Były prezes PZPN, obecnie wiceprezydent UEFA

Roman Kosecki**

Czy Robert Lewandowski jest piłkarzem wszech czasów w Polsce? Nie jest to dla mnie takie jednoznaczne. Na pewno nikt nie osiągnął tyle, ile on, w piłce klubowej. To, czego dokonywał w Borussii Dortmund, Bayernie Monachium, a teraz w Barcelonie, jest niepodważalne i imponujące. Nie jest graczem tak widowiskowym jak Ronaldo, ale nazwisko Lewandowski jest synonimem skuteczności i efektywności.

Robert to gwarancja goli. W wieku 34 lat przychodził do Barcelo-

ny i wszyscy się zastanawiali, jak sobie poradzi w futbolu tak odmiennym od niemieckiego. Tymczasem on przez dwa sezony był tam zdecydowanie najlepszym strzelcem. Co oczywiście nie jest pełnią szczęścia, bo Barcelona przegrywa dziś rywalizację z Realem Madryt.

Jeśli chodzi o reprezentację Polski, to nawet rekordy goli i rozegranych meczów nie dają Lewandowskiemu pozycji numer 1. Piłkarze Kazimierza Górskiego i Antoniego Piechniczka, którzy zdobywali medale mundialu, mają nad nim przewagę. Euro 2024 to dla Roberta kolejna szansa. Drużyna Michała Probierza jedzie do Niemiec bez fanfar, świadoma skali wyzwania i własnych ograniczeń, co wywołuje we mnie dobre przeczucia. Trzeba wygrać z Austrią, poszukać punktu z Holandią lub Francją i awans do 1/8 finału stanie się faktem. W kadrze Lewandowski wciąż jest niespełniony, ale nadal może to zmienić. ●

** Reprezentant Polski w latach 1988-95, zawodnik Galatasaray SK, Atlético Madryt, FC Nantes i Montpellier HSC, czterokrotny poseł z ramienia PO





◀ Maj 2023, stadion Camp Nou, napastnik Barcelony wznosi toast po meczu z Real Sociedad, który dał Barcelonie Puchar La Ligi

Co ma Lewandowski? Satysfakcję, że między listopadem 2013 a sierpniem 2017 pomógł wydzwignąć drużynę narodową z 78. pozycji w rankingu FIFA na piątą. Pamiętam, jak dekadę temu nominację na selekcjonera dostał Adam Nawalka. To były czasy, gdy prestiż kadry sięgnął dna, a niektórzy piłkarze, nawet z ligi polskiej, modlili się, by nie dostać powołania. „Teraz na grze w reprezentacji można tylko stracić” – mówili. Nawalka musiał przełamywać bariery. Pierwszym, co powiedział dziennikarzom (wtedy jeszcze udzielał wywiadów), było to, że jego celem jest, by najlepszy środkowy napastnik świata był takim samym graczem w kadrze jak w Borussii Dortmund. Dla Lewandowskiego Nawalka złamał zasady: odebrał opaskę kapitana Błaszczykowskiemu, który miał wciąż największą liczbę meczów w drużynie narodowej. Selekcjoner chciał, żeby to była drużyna Lewandowskiego. I sądząc po efektach, nie pomylił się. Euro 2016 to wciąż największy sukces drużyny narodowej od 1982 roku. We Francji zespół Nawalki grał naprawdę dobrze, a jego ćwierćfinał z Portugalią (1:1, porażka w karnych 3:5) trzymał w napięciu cały kraj. Nie jest łatwo przekładać indywidualną klasę zawodnika na wyniki i poziom drużyny. Wybitny piłkarz może zmienić klub na lepszy, ale drużyna narodowa jest mu dana raz na zawsze. Wystarczy przypomnieć cierpienia Leo Messiego, który w 2016 roku po porażce Argentyny w finale Copa America wyszedł ze łzami w oczach do dziennikarzy i ogłosił: „Dla mnie to już się skończyło”. Uwierzył, że fatum zawisło nad nim, gdy zakłada koszulkę Albicelestes. Cały kraj namawiał go do powrotu, także ci, którzy przed chwilą nazywali go Pecho Frio (Chłodna Pierś), zarzucając, że dla Barcelony poświęca się znacznie bardziej niż dla drużyny narodowej.

36 lat to wiek, w którym piłkarz wyjeżdża do Saudi Pro League bądź amerykańskiej MLS. Tak zrobili Ronaldo i Messi. Lewandowski upiera się, że może grać na najwyższym poziomie przynajmniej kolejne dwa lata

Madrycki dziennik „Marca”: Jest być może najwybitniejszym zawodnikiem z tych, którzy Złotej Piłki nigdy nie dostaną

Nieco imponujących liczb, czyli rekordy „Lewego”

45 mln euro

• wyłożyła Barcelona, by ściągnąć do siebie Lewandowskiego

32 mln euro

• brutto – najwięcej w klubie – wyniesie pensja Lewandowskiego, jeśli dostanie angaż na kolejny sezon

153 gole

• zdobył dla Bayernu Polak przez trzy ostatnie sezony w Bayernie

81 goli

• strzelił w reprezentacji Polski

178. miejsce

• w rankingu FIFA na 5. wyciągnął Lewandowski reprezentację Polski w ciągu czterech lat



FOT. FACETOFACE/REPORTER/EAST NEWS, @GTRESONLINE/EAST NEWS

• 2015, wakacje małżeństwa Lewandowskich na Ibizie

▲ Pomiędzy rozgrywkami czas dla rodziny, marzec 2021

Dopiero półtora roku temu w Katarze Messi zapracował na nieśmiertelność w kraju urodzenia. Zdobył dla Argentyny tytuł mistrza świata. Dziś ma w ojczyźnie status podobny do Diego Armando Maradony. Cristiano Ronaldo także latami dobijał się o sukces z Portugalią, osiągnął go w wieku 31 lat podczas Euro 2016. Za każdym z nich stała jednak bardzo mocna drużyna. Portugalczycy wygrali finał mistrzostw Europy we Francji właściwie bez CR7, który w 25. minucie schodził z boiska z kontuzją, zalewając się łzami. Jak drużyna stała za Lewandowskim w 2016 roku, a jaka stoi dziś? Oczywiście tak jak Messi, tak kapitan reprezentacji Polski nasłuchiwał się od kibiców całej masy zarzutów. Że woli grę dla kasy niż dla narodu. Że dominuje zespół i szkodzi mu. Każda jego publiczna wypowiedź była brana pod lupę, choć faktycznie zdarzały się wyjątkowo niefortunne. Nie umiał posypać głowy popiołem po porażkach, sugerując, że to wina kolegów. Tak było choćby po mundialu w Rosji. Po mistrzostwach w Katarze powiedział, że gra w tak defensywnym zespole odbiera mu przyjemność i entuzjazm. Wreszcie kilka miesięcy temu w poruszającym wywiadzie po porażce z Mołdawią i przed porażką z Albanią w eliminacjach Euro 2024 zarzucił młodemu kolegom, że nie potrafi wziąć odpowiedzialności za wyniki drużyny. Od lat Lewandowski szamocze się w reprezentacji Polski. Raz potrafi prowadzić ją do zwycięstw, innym razem jest bezradny. Mając taką pozycję i nazwisko, jest idealnym celem dla tych, którzy chcą go oskarżyć o każdy nieudany mecz drużyny. Kapitan jest w niej postacią tragiczną, nigdy jednak nie przestał próbować zmienić tego, co wydaje się nieodwracalne. Że zakończy grę dla Polski nie tylko z indywidualnymi rekordami, ale też głębokim poczuciem niedosytu.

W wywiadzie sprzed lat Lewandowski podkreślał, że nie pochodzi z kraju, w którym futbolowe talenty rodzą się na kamieniu. Tym trudniej było mu się wybić, musiał przełamywać bariery i stereotypy. W Borussii Dortmund usłyszał, że nie może dostać podwyżki, bo Polak nie może zarabiać więcej niż reprezentanci Niemiec. Potem udowodnił, że to jednak możliwe, i to w wielkim Bayernie Monachium. Podobnie jest w Barcelonie, gdzie stawiali go w roli lidera, wzoru profesjonalisty, który ma za sobą pociągnąć młodych wychowanków klubu. Droga Lewandowskiego ze Znicza Pruszków do Barcelony to jedna z najbardziej niezwykłych historii naszego sportu. Los obdarzył go talentem i pracowitością, a on potrafi zrobić z nich użytek wszędzie – tylko nie tam, gdzie najbardziej mu zależy. Jak mówi jeden z moich znajomych: „Spieszmy się kochać Lewandowskiego, bo nie wiadomo, ile nam jeszcze zostało czasu”. ●

Z ostatniej chwili
Chociaż – fatum nad „Lewym” jako kapitanem – szanse zmalały na ostatniej prostej. Po 30 minutach poniedziałkowego spotkania z Turcją – ostatniego sparingu kadry przed Euro 2024 – kapitan drużyny poczuł ukłucie w mięśniu uda. Zdążył już zaliczyć asystę przy bramce na 1:0. Selekcjoner zmienił go natychmiast. Następnego dnia okazało się jednak, że Lewandowski nie będzie w stanie zagrać w niedzielę przeciw Holandii – w pierwszym meczu Polaków w niemieckich mistrzostwach. To jego czwarte Euro, grał też na dwóch mundialach i nigdy dotąd zdrowie go nie zawiodło. Dopiero teraz, gdy tak wiele obiecywał sobie po powrocie na stadiony, na których bił strzeleckie rekordy w Bundeslidze. ●

JAK Z 4 DRUŻYN ZROB TAK ROSŁY MISTRZOSTWA EUR

Paweł Lubowicz
Dominik Uhlig

ztery drużyny, cztery mecze w dwóch miastach i 17 strzelonych bramek. Tak wyglądały pierwsze w historii mistrzostwa Europy w piłce nożnej, które w 1960 r. rozegrano we Francji. W mistrzostwach, które w ten weekend rozpoczynają się w Niemczech, aż 24 drużyny w 10 miastach zagrają 51 meczów.

Na naszej infografice możesz prześledzić rozwój tego piłkarskiego nastolatka. Od ekskluzywnego klubu czterech drużyn, przez finały z udziałem

8 i 16 drużyn, po wielkie piłkarskie święto, w którym w finałach gra niemal połowa drużyn zrzeszonych w europejskiej federacji piłkarskiej.

Polska bierze udział w Euro dopiero po raz 5. Do tej pory naszym największym sukcesem był awans do ćwierćfinału Euro we Francji w 2016 r. (odpadliśmy po karnych). Trzykrotnie nie wyszliśmy z grupy. Najwyższe zwycięstwo naszej drużyny? Dwukrotnie skromne 1:0 z Irlandią Płn. i Ukrainą (oba w 2016 r.)

Jak będzie tym razem? Mamy trudną grupę, w której aż dwóch rywali - Francja i Holandia - ma już na koncie tytuły mistrzów Europy. Historia uczy jednak, że nie zawsze wygrywają faworyci. Czy np. w 2004 r. ktokolwiek stawił na Grecję? ●

• **KRÓL STRZELCÓW EURO 1968**
Gerd Müller to jedyny zawodnik, który w obu fazach Euro zajął pierwsze miejsca w rankingach strzelców - 4 gole w finałach i 7 w kwalifikacjach

1960
200 Euro
tyle dostali piłkarze ZSRR za zdobycie mistrzostwa Europy

1976
we wszystkich 4 finałowych meczach **doszło do dogrywek**

1980
Pierwsze Euro w powiększonej formule

1984
9 bramek strzela **Michel Platini**, to niepobity do dziś rekord

1988
ZSRR jest jedyną drużyną, która trzykrotnie przegrała w finale ME

1988-2024
8 niemieckich stadionów było arenami ME w 1988 r. Udział brało 8 zespołów

10 stadionów będzie gościło 24 drużyny w 2024 r.

**1** liczba drużyn w turnieju finałowym

**17** liczba rozegranych spotkań

**17** liczba bramek w turnieju

**1** wyniki Polaków

**5** liczba zdobytych tytułów ME

**1** najlepszy strzelec (liczba goli)

ŹRÓDŁA: UEFA.COM, LACZYNASPIŁKA.PL, TVP SPORT
FOT. IMAGO-IMAGES.DE, PATRICK HERTZOG

**ZSRR**
2. Jugosławia
3. Czechosłowacja

FINAŁ:
Belgrad, 10.07.1960 r.
ZSRR
- Jugosławia
2:1

**François Heutte**
Milan Galić
Dražan Jerković
Walentin Iwanow
Wiktor Poniedielnik (2)

17 

4  **4** 

Marsylia, Paryż

Francja
1960

**Eliminacje.** Polska była wśród 17 drużyn, które zgłosiły się do turnieju. Odpadła po dwumeczu z Hiszpanią (2:4 na Stadionie Śląskim i 0:3 w Madrycie).

**Hiszpania**
2. ZSRR
3. Węgry

FINAŁ:
Madryt, 21.06.1964 r.
Hiszpania - ZSRR
2:1

**Ferenc Bene**
Dezső Novák
Jesús María Pereda (2)

13 

4  **4** 

Barcelona, Madryt

Hiszpania
1964

**Eliminacje.** Odpadliśmy w pierwszej rundzie eliminacji po dwóch meczach z Irlandią Płn. przegranych 0:2.

**Włochy**
2. Jugosławia
3. Anglia

POWTÓRZONY FINAŁ:
Rzym, 10.06.1968 r.
Włochy
- Jugosławia 2:0

**Dragan Džajić** (2)

7 

5  **4** 

Florencja, Neapol, Rzym

Włochy
1968

**Eliminacje** zaczęliśmy od 4:0 z Luksemburgiem, wygraliśmy też dwa razy z Belgią. Ale remis z Luksemburgiem i dwie porażki z Francją sprawiły, że nie wyszliśmy z grupy.

**RFN**
2. ZSRR
3. Belgia

FINAŁ:
Bruksela, 18.06.1972 r.
RFN - ZSRR
3:0

**Gerd Müller** (4)

10 

4  **4** 

Bruksela, Antwerpia, Liege

Belgia
1972

**Eliminacje:** Wygraliśmy z Albanią i Turcją, zremisowaliśmy 0:0 i przegraliśmy 1:3 z Niemcami (późniejsi mistrzowie). Straciliśmy punkty, remisując z Albanią i przegrywając z Turcją.

**Czechosłowacja**
2. RFN
3. Holandia

FINAŁ:
Belgrad, 20.06.1976 r.
Czechosłowacja
- RFN 2:2 (5:3)

**Dieter Müller** (4)

19 

4  **4** 

Belgrad, Zagrzeb

Jugosławia
1976

**W eliminacjach** wygraliśmy dwukrotnie w Finlandii, zremisowaliśmy z Włochami. Z Holandią 4:1 i 0:3. Awansowali Holendrzy, bo mieli o 2 gole strzelone więcej.

**RFN**
2. Belgia
3. Czechosłowacja

FINAŁ:
Rzym, 22.06.1980 r.
RFN - Belgia
2:1

**Klaus Allofs** (3)

27 

8 

14 

Rzym, Neapol, Mediolan, Turyn

Włochy
1980

**W eliminacjach** z Holandią wygraliśmy 2:0 i zremisowaliśmy 1:1. Wygrzywaliśmy też ze Szwajcarią i Islandią, za to z NRD zdobyliśmy tylko 1 punkt.

**Francja**
2. Hiszpania
3. Portugalia
Dania

FINAŁ:
Paryż, 27.06.1984 r.
Francja
- Hiszpania 2:0

**Michel Platini** (9)

41 

8 

15 

Paryż, Lens, Nantes, Lyon, Saint-Etienne, Strasburg, Marsylia

Francja
1984

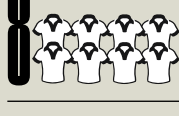
**W eliminacjach** udało się nam wygrać tylko z Finlandią na wyjeździe. Potem były remisy z ZSRR i Finlandią i porażki z Portugalią dwukrotnie i ZSRR.

**Holandia**
2. ZSRR
3. RFN
Włochy

FINAŁ:
Monachium, 25.06.1988 r.
Holandia
- ZSRR 2:0

**Marco van Basten** (5)

34 

8 

15 

Duesseldorf, Gelsenkirchen, Frankfurt, Hamburg, Hanower, Kolonia, Monachium, Stuttgart

RFN
1988

**Eliminacje:** Wygrana z Grecją i remis z Holandią na początku. Później remis z Cyprzem, porażki z Grecją, Węgrami i Holandią. Nie pomogły już wygrane z Węgrami i Cyprzem

IŁO SIĘ 20. OPY

1992



• POLITYKA
Zjednoczenie Niemiec dało automatyczny awans Szwedom, ZSRR po rozpadzie wystąpił jako Wspólnota Niepodległych Państw. Wskutek sankcji nałożonych przez ONZ na Jugosławię, na Euro zakwalifikowała się Dania, która ostatecznie turniej wygrała.



Dania
2. Niemcy
3. Holandia
Szwecja

FINAŁ:
Göteborg, 26.06.1992 r.

Dania
- Niemcy 2:0

Henrik Larsen
Karl-Heinz Riedle
Dennis Bergkamp
Tomas Brodin (3)



Goeteborg, Sztokholm,
Malmoe, Norrkeeping



Eliminacje zaczęliśmy od porażki 0:2 z Anglikami. Dwie wygrane z Turcją i dwa remisy z Irlandią. Remis z Anglią w ostatnim meczu nie pozwolił nam na awans.

1980

Pierwszy raz o zwycięstwie zdecydował „złoty gol” - bramka kończąca mecz, strzelona w doliczonym czasie gry

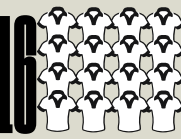


Niemcy
2. Czechy
3. Anglia
Francja

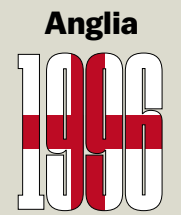
FINAŁ:
Londyn, 30.06.1996 r.

Niemcy
- Czechy 2:1

Alan Shearer (6)



Birmingham, Leeds,
Liverpool, Londyn,
Manchester, New-
castle, Nottingham,
Sheffield



Eliminacje skończyliśmy na 4. miejscu. Wygraliśmy z Izraelem, Azerbejdżanem i Słowacją. Remisowaliśmy z Francją (2 razy), Rumunią i Azerami. Pokonały nas Izrael, Rumunia i Słowacja.

2004



Francja
2. Włochy
3. Holandia
Portugalia

FINAŁ:
Rotterdam, 2.07.2000 r.

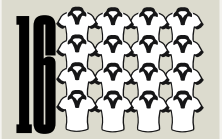
Francja
- Włochy 2:1

Savo Milošević
Patrick Kluivert (5)



77

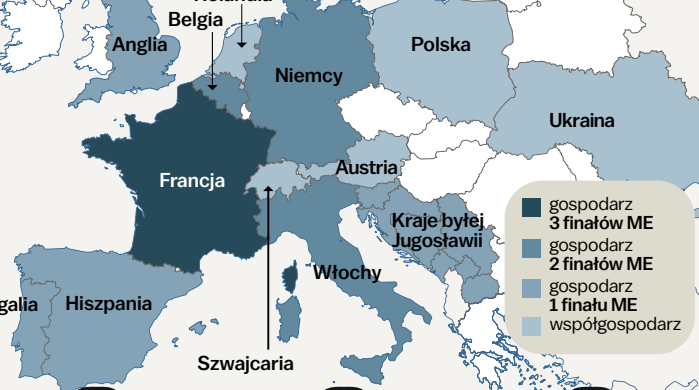
Milan Baroš (5)



Lizbona, Porto,
Faro-Loulé, Algarve
Lizbona, Leiria, Coim-
bra, Guimaraes, Braga,
Aveiro



Eliminacje zaczęliśmy od wygranych z Bułgarią i Luksemburgiem, potem porażka z Anglią i Szwecją, zwycięstwa z Bułgarią i Luksemburgiem, remis z Anglią i porażka ze Szwecją.



Grecja
2. Portugalia
3. Holandia
Czechy

FINAŁ:
Lizbona, 4.07.2004 r.

Grecja
- Portugalia 1:0

Milan Baroš (5)



Lizbona, Porto,
Faro-Loulé, Algarve
Lizbona, Leiria, Coim-
bra, Guimaraes, Braga,
Aveiro



Eliminacje zakończyliśmy na 3 miejscu **w grupie**. Wygrane z San Marino, Łotwą i Węgrami (też remis). Przegrane ze Szwecją, raz z Łotwą.



Hiszpania
2. Niemcy
3. Turcja
Rosja

FINAŁ:
Wiedeń, 29.06.2008 r.

Hiszpania
- Niemcy 1:0

David Villa (4)



Klagenfurt, Innsbruck,
Salzburg, Wiedeń,
Bazylea, Berno,
Genewa, Zurych



Na turnieju po raz pierwszy. Zajęliśmy czwarte miejsce w grupie po przegranych z Niemcami i Chorwacją i remisie z Austrią.

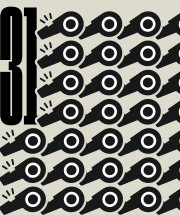


Hiszpania
2. Włochy
3. Niemcy
Portugalia

FINAŁ:
Kijów, 1.07.2012 r.

Hiszpania
- Włochy 4:0

Fernando Torres (3)



Gdańsk, Poznań,
Warszawa, Wrocław,
Charków, Donieck,
Kijów, Lwów



Na turnieju graliśmy w roli gospodarze. Zaczęło się od remisu 1:1 z Grecją. Potem 1:1 z Rosją i porażka z Czechami 0:1. Ostatecznie nie wyszliśmy z grupy.

• ZWYCIĘZCA
EURO 2016,
KRÓL STRZELCÓW
EURO 2020
Cristiano Ronaldo

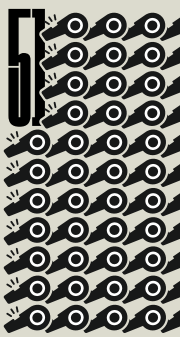


Portugalia
2. Francja
3. Walia
Niemcy

FINAŁ:
Paryż, 10.07.2016 r.

Portugalia
- Francja 1:0

Antoine Griezmann (6)



Bordeaux, Lens, Lille,
Lyon, Marsylia, Nicea,
Paryż, Saint-Etienne,
Tuluza



Na turnieju: zwycięstwo z Irlandią Pn. 1:0, Remis 0:0 z Niemcami, zwycięstwo z Ukrainą 1:0. W ćwierćfinale 1:1 z Portugalią, odpadliśmy po karnych (4:5)

2020

Polak **Kacper Kozłowski** (17 lat i 246 dni) został najmłodszym graczem w historii Euro

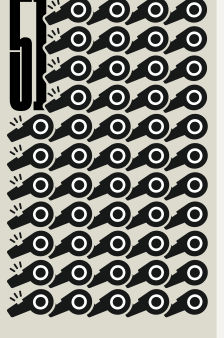
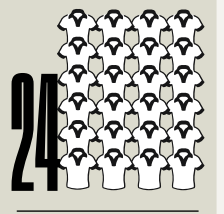


Włochy
2. Anglia
3. Hiszpania
Dania

FINAŁ:
Londyn, 11.07.2021 r.

Anglia - **Włochy**
1:1 (2:3)

Cristiano Ronaldo,
Patrik Schick (5)



Amsterdam, Baku,
Budapeszt, Bukareszt,
Glasgow, Kopenhaga,
Londyn, Monachium,
Petersburg, Rzym,
Sewilla



Na turnieju: porażka ze Słowacją (1:2) i ze Szwecją (2:3). Z Hiszpanią zremisowaliśmy 1:1, ale znów nie wyszliśmy z grupy.

PRAWDZIWEJ PIŁKI NOŻNEJ JUŻ NIE MA

Kibice mają być dzisiaj zatomizowanymi konsumentami, którzy kupują usługi i stają się bardziej bezwolni niż klienci przeciętnego sklepu. Ale ten system nie może przetrwać.

Z **PROF. RAFAŁEM CHWEDORUKIEM**,
POLITOLOGIEM, ROZMAWIA
RAFAŁ STEC

RAFAŁ STEC: We współczesnym futbolu w obłędnym tempie przybywa pieniędzy, kontrakty piłkarzy są już zwyczajnie nieprzystoite. Słychać więc, że ten sport sprzedał swoją duszę. Co to właściwie znaczy?

PROF. RAFAŁ CHWEDORUK: Światowa gospodarka stała się poniekąd fikcją, ponieważ w ponad 90 procentach składa się z obrotu akcjami, walutami, derywatami i innymi instrumentami finansowymi, czyli czymś, co realnie nie istnieje. Trend finansyzacji musiał dotrzeć również do piłki nożnej, która jest fragmentem rzeczywistości jak inne – tyle że bardzo spektakularnym.

Pieniądze były w niej zawsze, ze względu na popularność, masowość oraz skalę wywoływanych przez tę grę emocji. Nigdy nie była to dziedzina transparentna, szybko oddaliła się od ideałów XIX-wiecznych arystokratów, którzy byli pierwszymi sportowcami. Dawno, dawno temu piłka wyrażała jednak różne formy zbiorowej tożsamości czy wręcz organizowała społeczności, co wiązało się z terytorializmem. Gdy Buenos Aires i okolice rodziły się jako nowoczesna aglomeracja, to o drużynach Independiente Avellaneda czy San Lorenzo mówiono „Gallego”, bo współtworzyli je Hiszpanie, zaś w Boca Juniors czy w Velez Sarsfield liczni byli Włosi, a w Banfield czy Quilmes – Brytyjczycy. W bliższej nam Pradze mieliśmy Slavię, która była związana z nacjonalizmem i burżuazją, oraz Spartę, którą popierała klasa robotnicza. Można by tę wyliczankę ciągnąć, przesuwając palec po mapie bez końca.

Dzisiaj ten kontekst zaniknął całkiem lub prawie całkiem, chodzi już tylko o pieniądze. Kluby przeobraziły się w zwykłe przedsiębiorstwa – zresztą m.in. dzięki wsparciu naukowców, bo badacze z Leicester dowodzili, że część publiczności piłkarskiej to grupa niezdolna do ucywilizowania się, skazana na stosowanie przemocy. To była jedna z zachęt do eliminowania z trybun mniej zamożnych kibiców, skupienia się na rozwijaniu biznesu. Rozwijaniu przy wykorzystaniu specyfiki sportu, w którym zwycięstwa skłaniają tłum do skandowania nazwiska piłkarzy, trenera, czasami nawet prezesa. A przecież to tro-

chę tak, jakby wejść do banku i fetować kasjera albo dyrektora.

Wspólnotowa tożsamość kibica stała się kolejnym kapitałem, który można zamienić na twardą walutę.

– Ba, odwołując się do takiej tożsamości łatwo stworzyć zupełnie nową. Przecież Red Bull, przejmując Austrię Salzburg, unicestwił tradycję jednego z najbardziej zasłużonych klubów w kraju, pierwszego, który awansował do Ligi Mistrzów. Następnie koncern ruszył do Niemiec, gdzie przepisy powstrzymywały ekspansję, więc kupił klubik z niskiej ligi i nazwał go RasenBallSport, by skrót kojarzył się z marką właściciela.

Mówi pan o drużynie RB Lipsk, co do której mam ambiwalentne odczucia. Najpierw się buntowałem, odstręczała mnie wizja firmy, która organizuje duży futbol w celach marketingowych – żeby sprzedawać jeszcze więcej puszek ze słodkim, gazowanym napojem. Aż pojechałem na miejsce. Spotkałem się z szefem klubu kibica, wszedłem w tłum, odbyłem mnóstwo rozmów. I zetknąłem się z wdzięcznością ludzi mieszkających w smutnej postenerdowskiej rzeczywistości, w której sport nie istniał, okoliczne kluby dzieliły się na zrujnowane i zbankrutowane. Ci kibice wzrastali z drużyną budowaną od zera, wspinając się w hierarchii od piątej ligi. To nie jest przypadek szejka, który z dnia na dzień zrzuca fortunę na egzotyczny dla niego klub z innego kontynentu...

– Tak, za pieniądze można wszystko. Poza zapewnieniem sobie wieczności.

Pamiętam rozmowy sprzed lat z kolegą, który przyszłość polskiej piłki widział w Dyskobolii Grodzisk Wielkopolski – po przejęciu przez Zbigniewa Drzymałę, producenta akcesoriów samochodowych, przemianowaną na spółkę akcyjną Groclin. Zanosilem się wtedy od śmiechu, mówiłem, że za 10 lat nikt nie będzie o tym klubie pamiętał. Miałem rację, Groclin został przeniesiony do Warszawy, nazwę spółki zmieniono na KSP Polonia. Klub z Grodziska zniknął tak, jak zniknęła Amica Wronki...

...albo Tygodnik Miliarder Pniewy, moje ulubione kuriozum nazewnictwa.

– Można wymienić takich przypadków znacznie więcej, również z naszej części Europy. Duża marka bierze mały klub, podarowuje



mu chwilowy sukces, potem się ewakuuje. Kto pamięta dzisiaj o istnieniu serbskiego Obilicia Belgrad i jego właściciela Željko Ražnatovića, osławionego zbrodniarza wojennego „Arkana”? Przyszłość RB Lipsk też jest niepewna. Kto zależy od sztucznego, przywiezionego z oddali sponsora, ten zawsze ryzykuje, bo nie wiadomo, jakie decyzje udziałowcy Red Bulla podejmą za parę lat.

A Chemie Lipsk pozostaje legendą. W NRD piłką nożną sterowano w stopniu u nas niewyobrażalnym i przed dekadami miejski komitet partii postanowił, że wielkim futbolem zajmie się w tym mieście Lokomotiv, a Chemie skupi się na szkoleniu młodzieży. I przerzucił najlepszych zawodników z klubu do klubu. Mimo to Chemie Lipsk przetrwało i zdobyło mistrzostwo kraju w 1964 roku. Choć dzisiaj obie drużyny rywalizują na czwartym poziomie rozgrywkowym, to derby wciąż wyzwalają spore emocje. Oczywiście rozumem poczucie krzywdy mieszkańców wschodnich Niemiec, o którym pan się nasłuchał pod stadionem RB Lipsk, ale ja w tym przedsięwzięciu widzę także przejaw złe pojętej amerykanizacji. Jak wiadomo, w USA przenosi się kluby z miasta do miasta – we wszystkich dyscyplinach, czasami na drugi kraniec kontynentu...

...i nazywa się je francyzami. Język handlu, nie sportu.

– Europa, wyrosła z zupełnie innej tradycji, się do tego zbliża. Tym niemniej, co zresztą mnie bawi, jak kibice z bogatego zachodniego Londynu – Chelsea czy Fulham – intensywnie poszukują proletariackich korzeni. A zarazem świadczy to o tym, że pewne wartości zachowują swoją wagę nawet w tak skomercjalizowanych czasach.

O piłkę można zadać te same pytania, które padają w innych dziedzinach życia. Czy ja jako profesor świadczę tylko czysto komercyjne usługi, czy przede wszystkim jestem naukowcem, nauczycielem akademickim, może kiedyś dla kogoś mistrzem? Czy wykonuję misję nieprzeliczną na pieniądze? Przeciwno futbolowi jako czystej komercji buntują się kibice wrażliwi na niuanse, kibice, którym zależy – inni niż konsumenci, którzy wczoraj ogłędali Małyszę, dzisiaj siatkarską Ligę Narodów, a jutro pójda na polskiego Red Bulla. Wszystko zależy od tego, gdzie zobaczysz sukces.

Mam ochotę spojrzeć jeszcze szerzej i dorzucić kolejne pytanie – czy demokracja jest możliwa w globalnym kapitalizmie. Autorytaryzm jest – dziś widzimy to po Chinach, kiedyś po Korei Południowej generała Parka czy Chile Pinocheta etc. W piłce nożnej obserwujemy likwidację wspólnot, wszyscy mają być zindywidualizowanymi, zatomizowanymi konsumentami, którzy będą kupowali usługi i staną się absolutnie bezwolni wobec komercyjnego podmiotu. Bardziej bezwolni niż klienci przeciętnego sklepu. Nie mają alternatywy, bo drużyny nie wybiera się jak szampantu, a co mogą zrobić, gdy wchodzi do niej przypadkowy kapitał zagraniczny?

Sytuacja eskaluje. Nawet w Niemczech, w których według zasady „50+1” kluby muszą być kontrolowane przez posiadające większość udziałów stowarzyszenia kibicowskie, średniacy w rodzaju Hannoveru czy Herthy Berlin chcą wpuścić nieograniczony niczym zagraniczny kapitał, bo nie są w stanie konkurować już nie tylko z wszechpotężnym Bayernem Monachium, ale także Borussia Dortmund.



We Włoszech trwa inwazja funduszy inwestycyjnych z USA, które zajmują się masowym skupowaniem spółek we wszelkich branżach. Należą do nich nawet najsłynniejsze kluby. Właścicielem Milanu jest instytucja o nazwie RedBird, a sąsiedni Inter właśnie wszedł w ręce Oaktree, ponieważ poprzedni właściciele – chińscy – byli ich wierzycielami i nie spłacali zadłużeń.

– W Anglii to już norma, a kiedy Malcolm Glazer kupował Manchester United – za kredyty pod zastaw klubu! – to protestujący fani okazali się bezsilni. I nadal będą, nawet jeśli władzę w kraju przejmą wygrywający wszystkie wybory w tym mieście laburzyści.

Zresztą brytyjska piłka nożna jest strukturalnym bankrutem sztucznie podtrzymywanym przy życiu przez inwestorów bardzo podejrzanego konduity – i z autorytarnego Bliskiego Wschodu, i z demokratycznego Zachodu. To kasyno przedstawiane wszyst-

• **Chorwacka influencerka Ivana Knoll na Mistrzostwach Świata w 2022 r. Władze Kataru wydały na organizację mundialu co najmniej 220 mld dolarów, czyli równowartość rocznych wydatków państwa polskiego** FOT. JACK GUEZ / AFP / EAST NEWS

kim jako wzorowy model biznesowy, tak jak kasyno przypomina całą globalną gospodarkę. Nawet z perspektywy neoliberalnej, która stała za komercjalizacją futbolu, ten system jest bez sensu. Zaprzecza całej neoliberalnej racjonalności ekonomicznej – bilansu zysków i strat, walki z inflacją itd.

Futbol na pewno nie zarabia tyle, ile wydaje – na transfery, kontrakty, prowizje pośredników – bo rachunek wykrzywiają choćby miliardy płynące od szejków, którzy nie chcą zysków, lecz upiększania swojego wizerunku i załatwiania geopolitycznych interesów. A wypada zakładać, że o wielu rzeczach nie mamy

pojęcia. Kiedy przed rokiem Katarczycy, do których należy Paris Saint-Germain, za wszelką cenę chcieli zatrzymać w klubie Kyliana Mbappé, największą megagwiazdę młodego pokolenia, to jego mama i zarazem agentka poleciała do rządzącego tym kraikiem emira Al-Thaniego. Nie wiadomo, ile wynegocjowała, ale każdy znający rynek domyśla się, że znacznie więcej niż stoi w oficjalnych dokumentach. Bo gdyby umieścić prawdziwe kwoty w sprawozdaniach, to PSG nie miałby szans utrzymać się w ryzach finansowego fair play, czyli regulach wprowadzonych przez UEFA, by przy najmniej częściowo powstrzymać inflacyjne szaleństwo. Ten klub musi być sezon w sezon na gigantycznym minusie.

– A liga francuska straciła swój sens, została totalnie zmonopolizowana przez Katarczyków. Dlatego takie kluby będą dążyły do zorganizowania własnych rozgrywek – międzynarodowych, zamkniętych dla wszystkich poza najbogatszymi.

W mojej hierarchii na szczycie patologii znajdują się właśnie Katarczycy w Paryżu, Saudyjczycy w Newcastle i Zjednoczone Emiraty Arabskie w Manchesterze City. Pozwoliłmy na to, by europejskie kluby stały się przedsiębiorstwami państwowymi, i to kontrolowanymi przez okrutne dyktatury, programowo łamiące prawa człowieka. Ich sport nie obchodzi, służy im za instrument do załatwiania strategicznych interesów – biznesowego scalania się z Zachodem. Właściciel Manchesteru City przyleciał na trybuny swojego klubu raz, 14 lat temu.

– To jest chore, choć trzeba pamiętać o relatywności pojęcia klubu państw demokratycznych. Co począć z Indiami, które teoretycznie do niego należą, choć pozostają społeczeństwem kastowym?

Może to wszystko jest nieuniknione, bo w piłce odbija się cały świat? Wpływy Wschodu rosną, Katarczycy wykupują połowę butików na Polach Elizejskich, robimy interesy z najbardziej brutalnymi reżimami – nikt nie zarabia na eksporcie broni do Arabii Saudyjskiej więcej niż Amerykanie.

– Jestem na tyle sędziwym człowiekiem, że pamiętam niejedno „nie ma wyjścia”. W czasach zimnej wojny mówiono, że istniejącego wówczas globalnego podziału nie da się niczym zastąpić, że dojdzie do konwergencji systemów, potem thatcheryści wołali „there is no alternative”. Aż nastąpił krach 2008 roku. Nawet bardziej szokujący niż ten z gospodarek centralnie planowanych, bo tam było z grubsza wiadomo, że dzieje się źle, a tu można było pomować bilanse, jak w klubach piłkarskich stojących na progu bankructwa.

Nie sądzę, byśmy oglądali całkiem naturalny proces rozwoju. Raczej sztucznie stymulowany. Zmiana nie zacznie się w futbolu, ale generalnie musi nadejść, bo obecny system jest niewydolny, ekonomicznie nie do utrzymania, a kultura również nie jest czymś statycznym. Gusty konsumentów ewoluują, rzeczywistość jest przeobrażana przez postęp technologiczny. Kibice niektórych niemieckich klubów

zdołali zablokować nie tylko wejście obcego kapitału, ale nawet reklamodawców – np. w imię demokratycznych wartości zmusili szefów Bayernu do nieprzedłużania umowy z Qatar Airways.

W ostatnich latach jeszcze bardziej spektakularny był nieszczesny epizod z Superligą. Większość najbogatszych klubów ogłosiła w środku nocy, że zakłada zamknięte dla innych rozgrywki – z których się nie spada, nie trzeba też awansować – ale sprzeciw fanów był tak gwałtowny, że błyskawicznie wycofały się z rozłamu.

– Zabawne było oglądanie min pomysłodawców. Zachowywali się jak politycy partii, której członka przyłapano na przyjmowaniu łapówek, a oni przysięgają, że zawsze zwalczały korupcję, potępiają swojego kolegę. Szefowie klubów też w głębi duszy mieli od początku byli przeciwni idei Superligi. Jak Jarosław Gowin, który glosował w Sejmie „za”, ale się nie cieszył.

Wielopoziomowa walka trwa, a żeby zorientować się, że współczesny świat jest w strukturalnym kryzysie, wystarczy spojrzeć choćby na skalę zadłużenia USA i Chin. Stąpamy po bardzo kruchym lodzie, finał może być dramatyczny. Dla świata może oznaczać wojny, głód i podobne katastrofy, dla futbolu – falę bankructw. Światowe gospodarki polegają na dodruku pieniądza, a piłka jest częścią tych zjawisk. Mam gorzką satysfakcję, że przed laty wyprorokowałem krach polskich klubów. Wprawdzie do jednoczesnego, totalnego załamania nie doszło, ale nastąpiła seria małych katastrof ekonomicznych – upadku Ruchu Chorzów, ŁKS-u Łódź, Widzewa, Pogoni Szczecin. Niedawno w niebezpieczeństwie znalazła się też Wisła Kraków. Dotujące kluby samorządów w Polsce będą musiały teraz musiały liczyć się z pieniędzmi. To zresztą chore, że u nas ligowcy zarabiają znacznie lepiej niż w Czechach, które są bogatsze i mają futbol na wyższym poziomie. Zarabiają lepiej, choć piłka generalnie nie cieszy się prestiżem, historycznie przedstawiciele inteligencji i elit często nią gardzili.

Pan odrzuca tę na najwyższym poziomie. Naprawdę nie oglądał pan niedawnego finału Ligi Mistrzów, w którym Real Madryt pokonał Borussię Dortmund?

– Ostatni finał tych rozgrywek widziałem pewnie w połowie lat 90., gdy kwalifikowały się do nich Legia i Widzew. Już kilka sezonów wcześniej zorientowałem się, że nadciąga przyspieszona komercjalizacja i amerykańska piłka nożna – europejskie rozgrywki w starej formule były bardzo ciekawe, bo różnorodne, oferowały wielkie niespodzianki, trofea zdobywały niekiedy Steaua Bukareszt czy Crvena Zvezda Belgrad, telewizja pokazywała mecz Realu z Torpedo Moskwa. Teraz takie spotkanie jest nierealne. Kolejne reformy wszystko zlikwidowały, pozwalały zagarniać coraz więcej przestrzeni kaście najbogatszych. Legia nie ma żadnych szans konkurować z Realem, który przeobraził się w globalną markę poszukującą konsumenta wszędzie. Również w Polsce – zawsze bawiła mnie nasza płytka, bezrefleksyjna fascynacja Zachodem, a jej przejawem w piłce właśnie miłość do wielkich klubów zagranicznych, pozbawiona świadomości, że one działają przeciw interesom naszych drużyn. Przypomina to trochę radość najradkalniejszych kibiców z powstawania nowych stadionów, za którą krył się brak zrozumienia, że nowoczesne obiekty buduje się nie dla nich, lecz przeciw nim. By ich „ucywiliżować”, kontrolować, podnieść ceny biletów etc. Zresztą pierwsze protesty na trybunach Legii w XXI wieku dotyczyły właśnie tego ostatniego. Nowi właściciele klubu chcieli przyciągnąć na trybuny wielkomiejską klasę średnią i na dzień dobry podnieśli ceny wejściówek o 40 proc. Model angielski. Dlatego kibice strajkowali. Zbierali się w trakcie meczów pod Torwa-

Kibice niektórych niemieckich klubów zdołali zablokować nie tylko wejście obcego kapitału, ale nawet reklamodawców – np. w imię demokratycznych wartości zmusili szefów Bayernu do nieprzedłużania umowy z Qatar Airways

rem, na stadion wchodziło od kilkuset do dwóch tysięcy osób.

Kiedy komercjalizacja nabrała rozpędu i wszyscy najwybitniejsi piłkarze zaczęli skupiać się w kilku najbogatszych ligach, przegraliśmy konkurencję z Zachodem już na starcie. Z lat 80. pamiętam wyrównane mecze Legii z Interem Mediolan. Dzisiaj to nierealna wizja, emerytowany Portugalczyk z Łazienkowskiej nie sprostą gwiazdom Ligi Mistrzów. Płacimy cenę za naiwność. Piłka nożna udowadnia, że w realiach niekontrolowanego rozwoju stosunków rynkowych demokracja, równość szans są niemożliwe.

To jakie pan ostatnio mecze oglądał, w telewizji lub z trybun?

– W telewizji baraże o awans na drugi poziom ligowy KKS-u Kalisz z Polonią Bytom i Stalą Stalowa Wola. Na żywo – spotkanie Drukarza Warszawa z Unią Warszawa w piątej lidze oraz Deltę Warszawa z rezerwami Świt Nowy Dwór w okręgówce.

Pierwszy raz w życiu spotykam człowieka, który ma tak imponującą wiedzę o piłce nożnej, a zarazem całkowicie ignoruje ją w wydaniu, by tak rzec, mainstreamowym. I oferującym szczytowy poziom sportowy.

– Bo to już nie jest piłka, tylko notowania giełdowe. Ale wyniki znam, tabele przeglądam. Jestem z pokolenia gazetowego i znikanie kiosków uważam za upadek cywilizacji.

Nie ląknie pan delektowania się grą na wirtuozerskim poziomie?

– Nowoczesna piłka, ta telewizyjna, zaczęła być nudna. Bardzo atletyczna, bardzo szybka, opiera się na przesuwaniu stref – w tempie niespotykanym nawet w złotej erze Milanu Arrigo Sacchiego. I też, jak wiele innych dziedzin, ulega matematyzacji. Dlatego prawdziwego futbolu szukam od czwartej ligi w dół. Nie mam satysfakcji z oglądania meczów drużyn tworzonej za setki milionów euro, z boiskową taktyką doprowadzoną niemalże do perfekcji, tak jak nie czerpię przyjemności z czytania książek naukowych napisanym tak wyrafinowanym slangiem, jakby autor robił wszystko, by nikt go nie zrozumiał. Na boisku nie chcę widzieć supergraczy faszerowanych od dziecka farmakologią – w duchu, powiedziałbym, szkolenia sztangistów w socjalistycznej Bułgarii – i wkomponowywanych w sztywne schematy, lecz ludzi z krwi i kości. Niedoświadczonych, popełniających błędy. Chcę też widzieć spontaniczną

radość i autentyczny smutek, które nie wynikają z tego, że się zarobi albo nie zarobi dużych pieniędzy.

Jak się ta miłość do futbolu zaczęła?

– Typowo, od grania. Dla mojego pokolenia w młodości piłka była bardzo ważna, wysokie umiejętności przynosiły swoisty prestiż. Trenowałem w trampkarzach Legii – proszę mi wierzyć, że w czasach PRL-u to był bardzo biedny klub. Tak wyglądał od środka – miał nędzną infrastrukturę, zaplecze – bo oczywiście kilkunastu piłkarzy na oficerskich etatach żyło na wysokim poziomie. Ale wielką frajdę dawały zajęcia z trenerem, który pół roku wcześniej zdobył z seniorami Puchar Polski. Potem trenowałem w warszawskim Orle, który obecnie nie ma już sekcji piłkarskiej. I oczywiście chodziłem na stadion na Łazienkowskiej, jak cała okolica.

Ostatni romantyczny kibicowski zryw miałem po upadku komuny. Wojsko przestało sponsorować klub, Janusz Romanowski jeszcze do niego nie wszedł, Legia była kompletnie bez pieniędzy, pierwszy raz po wojnie groził jej nawet spadek z ligi. Ale potem zacząłem się z dużym futbolem rozstawać. Powstała Liga Mistrzów i w ogóle kształtowały się tendencje, o których rozmawialiśmy. Do Polski zaczęli masowo napływać przeciętni piłkarze z zagranicy. Po co? Nie rozumiałem tego.

To akurat jest jasne. Im więcej transferów, tym więcej po rynku krąży pieniędzy, a one oznaczają odpalanie prowizji pośredniczących w transakcjach menedżerów.

– I znów wracamy do niszczącej siły pieniądza. Tęsknię za takimi historiami jak postawa Alana Shearera, który odrzucił kiedyś ofertę Barcelony, tłumacząc, że jest synem robotnika z Newcastle – i wolał grać w tym mieście.

Nie podobało mi się też wprowadzenie prawa Bosmana, które spowodowało, że zawodnik po wygaśnięciu kontraktu ma prawo odejść z klubu jak z każdej firmy – i klub nie otrzymuje za niego ani grosza od następnego pracodawcy. To było kolejne wsparcie dla bogatych, które uderzyło w średnich i małych. Co z tego, że działa na rzecz jednostek, skoro uderza we wspólnotę? Rozbito naturalną podstawę systemu, gwarancję przetrwania dla biedniejszych klubów, co było po prostu niesprawiedliwe społeczeństwo. A ja uświadamiałem sobie, że istnieją dwie piłki nożne. Ta autentyczna, należąca do zwykłych ludzi, i ta two-

rzona przez przypadkowych działaczy, którzy wczoraj sprzedawali samochody czy kredyty w banku, a dzisiaj się zajęli sportem i chcą w nim narzucić te same reguły, którymi kierowali się w tamtych branżach. Z reguły nie łączy ich nic ze sportem, w każdej chwili mogą przejść do innej branży i zacząć np. handlować odkurzaczami.

Właścicielami zwłaszcza angielskich klubów coraz częściej są zagraniczni miliarderzy, którzy mają też drużyny w innych sportach – przede wszystkim w USA – i w ogóle mnóstwo innych interesów. Chelsea czy Liverpool to dla nich tylko jeden element w obszernym portfolio.

– Dywersyfikują portfel. Obserwacja takiej inżynierii finansowej pozwoliła mi uzmysłowić sobie już dawno temu, że więcej łączy mnie z kibicem z innego miasta, który chodzi na inny stadion, niż z obcym inwestorem rządzącym moim klubem i sąsiadem wiedzionym na moje trybuny przez reklamę, kolejnym klientem.

To może powie pan coś ciepłego o Realu Madryt? Tam prezesa wybierają socio, czyli członkowie klubu; legitymację dziedziczy się z pokolenia na pokolenie; na prezesa mogą kandydować tylko jej posiadacze, płacący składki od przynajmniej 20 lat. I kibice mogą w każdej chwili odwołać szefa. To nie jest taka patologia jak kluby szejków czy Inter Mediolan, z którym były już prezes Steven Zhang przez cały miniony sezon łączył się z Chin poprzez wideokonferencje.

– A pamięta pan, jak Real Madryt za gigantyczne pieniądze sprzedał miastu teren pod ośrodkiem treningowym, żeby spłacić długi? Zresztą liga hiszpańska też jest aberracją, hegemonia Madrytu i Barcelony osiągnęła skalę absurdalną. Jeśli siła nabywcza dwóch podmiotów jest większa niż wszystkich innych razem wziętych, to demokracja jest niemożliwa.

Nie mam szans. Nie wyduszę z pana ani jednego dobrego słowa o nowoczesnym futbolu.

– W piłce lepiej już było. Wiem, że nie doczekam się w Lidze Mistrzów meczów Rapidu Bukareszt z Rapidem Wiedeń. Każdy przejaw oporu wydaje mi się jednak cenny, bo nawet jeśli zawiera kontrowersyjne elementy, to burzy logikę systemu, logikę konsumpcji.

A rywalizacja drużyn narodowych? Ona chyba częstą poszukiwanej przez pana

autentyczności zachowała – reprezentacje pozostają emanacją swoich systemów szkolenia, kształtujących się od dekad futbolowych kultur.

– Ale również dotknęły ją szkodliwe procesy. Wracając do historii mojego rozstawiania się z boiskowym mainstreamem – wstrząsem był dla mnie także kazus urodzonego w Nigerii reprezentanta Polski Emmanuela Olisadebe. Oczywiście nie dlatego, że był czarny – chodziło o to, że syn bogatych urzędników niezbyt demokratycznego kraju dostaje obywatelstwo w imię komercyjnego interesu. Potem nastąpił wysyp takich przypadków, w kadry Anglii można zobaczyć Declana Rice’a z Arsenalu, który do niedawna grał dla Irlandii. Reprezentacje stają się klubami bis, przecież to nie ma sensu.

Inna sprawa, że w narodowym szowinizmie nie widzę niczego pożytecznego, za to dużo niebezpieczeństw. Z lokalnych animozji niewiele wynika. Od tego, że kibice Warty Sieradz i Pogoni Zduńska Wola się nie lubią – bo miasta się nie lubią – wojna nie wybuchnie, nikt nie zginie. Ale wrogość między narodami ma zupełnie inną skalę.

Euro 2024 będzie pan oglądał?

– Absolutnie nie, nie obejrzę żadnego meczu. Nie wiem nawet, z kim grają Polacy. Wiem o tym turnieju tyle, ile była minister sportu wiedziała o trzeciej lidze hokeja, która nie istnieje.

W niedzielę nasza reprezentacja zagra po raz pierwszy, z Holandią.

– O godz. 10 rano sam będę biegł za piłką na świeżym powietrzu. I na tym mój mariaż z futbolem się tego dnia skończy. ●



FOT. WYDZIAŁ NAUK POLITYCZNYCH I STUDIÓW MIĘDZYNARODOWYCH

Rafał Chwedoruk

• Politolog, profesor Uniwersytetu Warszawskiego. Naukowo zajmuje się myślą polityczną, ruchami społecznymi i protestami kibiców skierowanymi przeciw właścicielom klubów, komercjalizacji sportu i polityce państwa

REKLAMA

Kraj/34321460

„Elena Ferrante spotyka Sally Rooney, czyli lektura dobra nie tylko na wakacje.

NATALIA SZOSTAK
dziennikarka, autorka powieści „Zguba”

To powinny być wymarzone wakacje. Sierpień, Włochy i zabytkowa willa z basenem w miasteczku nieopodal Neapolu. Dawno temu Klara spędzała tu z rodzicami prawie każde lato, a teraz przyjechała z mężem i córkami. Ale w tym sielankowym obrazku coś nie gra. Jakaś sprawa sprzed lat wciąż zasnęła upalne dni. „Błahostka” to gęsta od emocji, nastrojowa historia zauroczenia, któremu nie wolno ulec.

PREMIERA 19 CZERWCA



CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA



WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA

publio.pl



Wydawnictwo
Agora

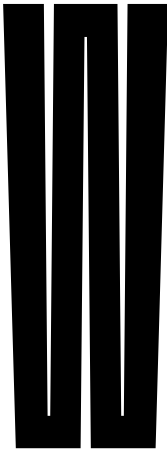


BANDYCI ILUDZIE

Choć śmiertelny atak na żołnierza przeprowadziła konkretna osoba, prawdopodobnie na zlecenie Łukaszenki, to polski rząd obarczył odpowiedzialnością zbiorową wszystkich, którzy docierają na naszą granicę

• 11 wycieńczonych uchodźców z Afryki namierzili wolontariusze z Grupy Granica. Aktywiści dali im jeść, ciepłe ubrania, skarpety. Butów zabrakło.
21.09.2021 Lososna, droga na Kuznice FOT. AGNIESZKA SADOWSKA/ AGENCJA WYBORCZA.PL

Anna Mikulska



obliczu trwającej wojny w Ukrainie szlak migracyjny prowadzący przez Białoruś do UE, utworzony przez Aleksandra Łukaszenkę, stał się w oczach rządzących kolejnym frontem, a migranci raz jeszcze zostali sprowadzeni do broni w tej walce. Sytuacja na pograniczu nie jest jednak czarno-biała.

Ugodzony żołnierz

Najpierw uporządkujemy kolejność wydarzeń. 29 maja premier Donald Tusk zorganizował konferencję w Dubiczach Cerkiewnych na Podlasiu.

Zapowiedział pełne wsparcie dla wojska i funkcjonariuszy broniących granicy z Białorusią – to efekt ataku na żołnierza, do którego doszło dzień wcześniej właśnie w Dubiczach Cerkiewnych. Cudzoziemiec po drugiej stronie zaporę granicznej ugodził go spomiędzy barierek nożem przytwardzonym na kiju, przypominającym prymitywną włócznię. Żołnierz trafił do szpitala.

W tym samym czasie organizacje humanitarne niosące pomoc migrantom na pograniczu prezentowały dowody na to, że polskie służby wyrzucają za granicę osoby wymagające pomocy medycznej.

Zwołaną konferencję prasową zdominowały jednak nie pytania o pokazane nagrania wideo, na którym mundurowi wynoszą za płot nieprzytomną kobietę, ale o rannego żołnierza. Przedstawiciele trzeciego sektora odpowiedzieli, że takie akty agresji należy potępiać. Wskazywali też na skalę przemocy na granicy.

– Mówimy tu o jednym incydencie, natomiast o przemocy ze strony służb wobec osób migrujących słyszymy na porządku dziennym – przekonywała Aleksandra Chrzanowska, która na granicy jest od samego początku kryzysu humanitarnego, czyli od prawie trzech lat.

Dodała, że dotąd nikt z przedstawicieli organizacji pozarządowych na pograniczu nie spotkał się z agresją ze strony ludzi w drodze, czyli migrantów i uchodźców.

Wówczas stan żołnierza był opisywany jeszcze jako stabilny, ale szybko uległ pogorszeniu.

Ugodzony żołnierz zmarł w warszawskim szpitalu 6 czerwca. Nazywał się Mateusz Sitek, miał 21 lat, należał do 1. Brygady Pancernej i odszedł w Wojskowym Instytucie Medycznym w Warszawie.

To nie pierwszy przypadek śmierci funkcjonariusza na naszej wschodniej granicy, chociaż pierwszy w wyniku ataku. 24 kwietnia w trakcie służby pełnionej ze Strażą Graniczną z przyczyn naturalnych zmarł żołnierz należący do 14. Zachodniopomorskiej Brygady Obrony Terytorialnej. WOT poinformowało, że w trakcie pełnionej służby nagle zasłabł. Mimo reanimacji i przewiezienia do szpitala nie udało się go uratować.

Po śmierci Mateusza Sitka rozgorzała dyskusja o bezpieczeństwie mundurowych na pograniczu. Stacjonujący na miejscu skarżą się na brak przeszkolenia i wysyłanie na granicę żołnierzy z krótkim stażem, którzy często nie radzą sobie z ogromnym stresem.

Warunki ich pracy także wymagają pilnej poprawy. W styczniu opisywaliśmy prymitywne szalasy sklecone z gałęzi i plandeki, ogrzewane niewielkimi piecykami. MON zapewniało nas wtedy: „Na potrzeby żołnierzy pełniących służbę patrolową na pasie granicznym wydzielono ponad 200 szt. kontenerów wartowniczych. Niemniej jednak ukształtowanie terenu w tej lokalizacji uniemożliwia ustawienie ww. kontenerów na niektórych odcinkach granicy, dlatego też na terenie pasa granicznego można zaobserwować do-

rażnie wykonane schronienia typu »szalasy«”.

Jeszcze za czasów ministra obrony Mariusza Błaszczaka żołnierze stacjonujący na granicy skarżyli się na brak ciepłych posiłków czy pralni. Ich sytuacja, przekonują, zaczęła się poprawiać dopiero po interwencji dziennikarzy Onetu. Niektórzy mundurowi zwracają również uwagę na brak wsparcia ze strony dowództwa.

Zmarli żołnierze są kolejnymi ofiarami kryzysu na pograniczu. Wiemy o kilkudziesięciu ofiarach śmiertelnych wśród migrantów, których ciała odnaleziono po polskiej stronie – zmarłych w wyniku utonięcia czy wychłodzenia.

Liczba ofiar śmiertelnych po stronie białoruskiej nie jest znana, wiadomo jednak o brutalnej przemocy, gwałtach i nieludzkim traktowaniu migrantów przez białoruskich funkcjonariuszy. Można więc założyć, że tam zmarłych jest jeszcze więcej.

Żołnierze w kajdankach

Dzień przed informacją o śmierci Mateusza Sitka, czyli 5 czerwca, portal Onet ujawnił sytuację, do której doszło znów w okolicach Dubicz Cerkiewnych. Jak wynika z wiadomości przekazanych dziennikarzom przez anonimowego wojskowego, tego dnia na stronę polską przedostało się około 50 mężczyzn o „kaukaskich rysach twarzy”, którzy mieli

po publikacji Onetu władze postanowiły ostro zareagować.

Donald Tusk zapowiedział projekt zmiany przepisów prawnych, którym ma się zająć szef MON Władysław Kosiniak-Kamysz. – Chodzi o to, by jednoznacznie wspierać polskiego żołnierza wtedy, gdy w obrocie własnej granicy czy polskiego terytorium używa broni – kontynuował premier. Stwierdził również, że możliwość użycia przymusu i broni w sytuacji zagrożenia „musi być czymś oczywistym dla polskiego żołnierza czy funkcjonariusza” podczas służby na granicy.

Zasady użycia broni palnej określają ustawa o środkach przymusu bezpośredniego i zasady użycia siły. Eksperci wskazują jednak na niejednoznaczność prawa w tym zakresie.

– Wiem, że przepisy, które w tej chwili to regulują, nie są do końca jasne. Wiem, że jest również pewien problem proceduralny na granicy. Krótko mówiąc, żołnierze, którzy pełnią tam służbę, są niejako oddelegowani i działają w ramach uprawnień Straży Granicznej, a nie wojska. Te problemy muszą zostać rozwiązane – komentował dla PAP adwokat Wiktor Dega.

Anonimowy żołnierz w rozmowie z Onetem przekonywał, że z tego powodu wojskowi nie sięgają po broń na granicy, co odbija się na ich bezpieczeństwie. Również

walki z tłumem i wyposażone w broń niezabijającą, a nie żołnierze rotujący się co kilka miesięcy – stwierdza generał. – Nie potrafie zrozumieć, dlaczego od trzech lat nie mamy systemowych rozwiązań. Straż Graniczna nie zrobiła nic, by takie formacje zbudować. Wojsko powinno być wysyłane na granicę wtedy, kiedy sytuacja eskaluje, na przykład, gdyby Białoruś rozpoczęła działania dywersyjne.

Zamiast tego czołgi na granicy rdzewieją, a żołnierze służą za żywe tarcze, w które bandyci rzucają kamieniami, bo przyzwyczaili się, że wojskowi będą strzelać w powietrze.

Zdaniem generała, jeśli sytuacja rzeczywiście się zmieni i żołnierze nie będą już karani za użycie broni, to na granicy możemy się spodziewać ofiar.

Wpłatani w grę Putina

Narracja koalicji rządzącej o sytuacji na granicy staje się coraz ostrzejsza. W obliczu trwającej wojny w Ukrainie szlak migracyjny prowadzący przez Białoruś do UE, utworzony przez Aleksandra Łukaszenkę, stał się w oczach rządzących kolejnym frontem, a migranci i uchodźcy raz jeszcze zostali sprowadzeni do broni w tej walce. Sytuacja nie jest jednak czarno-biała, chociaż w takich warunkach śmierć polskiego żołnierza tylko potwierdza rządową narrację.

Jak zrewanżować się Łukaszence? Zatrzymać handel z Białorusią drewnem, olejami, maszynami i łodziami, na którym Polska zarabia miliardy

być uzbrojeni w „niebezpieczne narzędzia”. Trzeba dodać, że zdarzenie miało miejsce na przełomie marca i kwietnia.

Żołnierze 1. Brygady Pancernej strzegący tamtego odcinka oddali strzały ostrzegawcze w kierunku grupy – najpierw w powietrze, następnie w ziemię przed idącymi cudzoziemcami. Gdy ci się oddalili, na miejscu zjawili się funkcjonariusze Straży Granicznej, którzy z kolei zawiadomili Żandarmerię Wojskową.

Żandarmeria zdecydowała o zatrzymaniu trójki żołnierzy, których według relacji Onetu skuto kajdankami i przekazano działowi ds. wojskowych Prokuratury Rejonowej w Białymstoku. Ta na podstawie materiału dowodowego, zwłaszcza nagrań z kamer przekazanych przez SG, wyciągnęła następujące wnioski:

„Żołnierze podczas interwencji (...) przekroczyli swoje uprawnienia poprzez oddanie w ich kierunku co najmniej kilku strzałów, narażając tym na bezpośrednie niebezpieczeństwo utraty życia lub zdrowia (...); żołnierze oddający strzały nie znajdowali się w sytuacji zagrażającej ich życiu” – czytamy w komunikacie Prokuratury Krajowej z 6 czerwca.

Prokurator dwójce z nich postawił zarzuty, zaś trzeci został przesłuchany w charakterze świadka (żołnierze zostali zawieszeni w obowiązkach służbowych, nie aresztowani). Zarzuty dotyczą narażenia innych osób na bezpośrednie niebezpieczeństwo utraty życia albo ciężkiego uszczerbku na zdrowiu oraz przekroczenia uprawnień, za co grozi do trzech lat pozbawienia wolności.

Sprawa została następnie przekazana do prokuratury w Warszawie, gdzie nadzór nad postępowaniem objął zastępca prokuratora generalnego Tomasz Janeczka, powołany jeszcze za czasów Zbigniewa Ziobry.

W związku z zatrzymaniem i skuciem żołnierzy w mediach zawrzało, a polityczna prawica wykorzystwała sytuację jako pretekst do ataku na rząd Tuska. Tuż

dowódcy nie chcą mieć problemów w tytule przekroczenia uprawnień.

Trudno jednak uwierzyć, by do tej pory żołnierze wstrzymywali się przed strzałami ostrzegawczymi – tylko w maju oddali ich ponad 700. Czy były to strzały uzasadnione – tego nie wiemy.

Wiemy za to, że w kwietniu Prokuratura Okręgowa w Siedlcach na wniosek dziennikarza i aktywisty wszczęła śledztwo ws. przekroczenia uprawnień przez SG, policję i inne służby na granicy (chodzi m.in. o stosowanie pushbacków) w okresie od września 2021 do marca 2024. To śledztwo i postępowanie ws. żołnierzy zatrzymanych na przełomie marca i kwietnia nie są nie sobą powiązane.

Oprócz zmiany prawa rząd zapowiedział również konsekwencje dla prok. Tomasza Janeczka, którego premier na wniosek ministra sprawiedliwości zdecydował się odwołać.

– Nie może być żadnych wątpliwości, że osoby, które decydują o sytuacji prawnej żołnierzy, muszą być absolutnie bez zarzutu i muszą dobrze współpracować z państwem polskim na rzecz wsparcia polskich żołnierzy i polskiego wojska wtedy, kiedy żołnierze bronią polskiej granicy – mówił Donald Tusk.

Grzmiący z mównicy premier ma jednak związane ręce, ponieważ ostateczną decyzję co do odwołania Janeczka ma podjąć prezydent Andrzej Duda. Ten uznał jednak, że nie widzi uzasadnienia takiej decyzji.

– Nie robi to żadnego innego wrażenia, jak na siłę szukanie teraz w ostatnich godzinach kampanii wyborczej kozła ofiarnego całej tej sprawy – stwierdził jeszcze w piątek, 7 czerwca, tuż przed wyborami do europarlamentu.

Poprosiliśmy gen. Romana Polkę o komentarz w sprawie żołnierzy na pograniczu i możliwości używania przez nich broni.

– Przede wszystkim zadania na granicy powinny realizować specjalnie przeszkolone oddziały prewencyjne, przygotowane do

Jednocześnie trafiające do internetu drastyczne nagrania ludzi leżących pod zaporą, pobitych przez białoruskie służby i wycieńczonych, ich relacje i doświadczenia działaczy humanitarnych przegrywają walkę o uwagę społeczeństwa.

Dlatego nagranie dokumentujące pushback (to, gdzie nieprzytomna kobieta wynoszona jest za zaporę graniczną), które trafiło do sieci tego samego dnia, co atak na polskiego żołnierza, przeszło niemal bez echa.

Dziś nie ulega wątpliwości, że szlak wykorzystywany jest nie tylko przez Białoruś, ale też – a nawet przede wszystkim – przez Rosję. Raz otwarty szlak migracyjny nigdy w pełni się nie zamyka, co najwyżej ulega zmianie.

Od niemal dwóch lat cudzoziemcy z Azji i Afryki wyruszają z Rosji (na samym początku loty odbywały się do Mińska). Nie oznacza to jednak, że wszyscy migranci są agentami Putina. On raczej wykorzystuje naturalne zjawisko, jakim są migracje, do własnej, politycznej gry.

Jak wyjaśnia dla „Wyborczej” Paweł Łatuszka, jeden z czołowych białoruskich opozycjonistów i były ambasador Białorusi w Polsce, Aleksander Łukaszenka eskaluje sytuację na granicy, by upokorzyć europejskie władze. Jednocześnie pomaga w ten sposób prezydentowi Rosji w prowadzeniu wojny w Ukrainie.

To tłumaczy, dlaczego przemoc na granicy w ostatnim czasie znacząco wzrosła. Straż Graniczna coraz częściej informuje o atakach ze strony cudzoziemców po białoruskiej stronie – rzucanymi kamieniami czy strzałami z procy. Za tymi atakami stoją jednak nie „zwykli” migranci chcący dojechać do Europy i zacząć tu nowe życie, ale ludzie specjalnie wyszkoleni przez Białoruś.

– Musimy oddzielić te grupy. Wśród cudzoziemców na granicy są osoby sprowadzone i przygotowane do działań prowokacyjnych. Z naszych informacji wynika, że odpowiedzialny za śmierć polskiego żołnierza musiał być specjalnie wy-

szkolony człowiek – mówi Paweł Łatuszka. I dodaje:

– Są również osoby przygotowywane do organizowania sabotażu na terytorium Polski i Litwy, które docierają do tych państw przez granicę w sposób nielegalny. Zgodnie z planem miałyby później strzelać z polskiej strony do białoruskich pograniczników, by wywołać lokalny konflikt.

Wreszcie mamy na granicy migrantów, którzy chcą po prostu dostać się do Europy. Szlak jest kontrolowany przez rosyjskie i białoruskie władze – cudzoziemcy są transportowani z Rosji do linii granicznej, gdzie wręcza się im narzędzia ułatwiające przekroczenie polskiej zapory i każe napięrać na granicę – wyjaśnia Łatuszka.

Potwierdzają to relacje samych migrantów, o których wiemy dzięki organizacjom humanitarnym. Białoruscy funkcjonariusze siłą zmuszają ludzi do przekroczenia granicy. Oni – przynajmniej częściowo – nie zdawali sobie sprawy z tego, jak wygląda droga do Europy, lub rzeczywistość w ich kraju nie pozostawiła im innej opcji niż wpłatanie się w polityczną grę Władimira Putina.

Obywatelom wielu krajów na świecie Europa nie umożliwia imigracji w sposób uregulowany, dlatego cudzoziemcy decydują się na dotarcie tu szlakami migracyjnymi, co wiąże się dla nich z ogromnym niebezpieczeństwem. Z pewnością widok młodych (20-, 30-letnich) mężczyzn na granicy niepokoi opinię publiczną. Rzeczywiście, są w większości. Według danych Grupy Granica w tym roku stanowili ok. trzech czwartych migrantów zgłaszających się po pomoc. Reszta to kobiety i małoletni. Wynika to z faktu, że rodziny decydują się wysłać w drogę tych, którzy mają największą szansę przetrwać na szlaku (na ich emigrację często zrzucają się całe rodziny).

Na początku kryzysu byli to niemal wyłącznie obywatele państw Bliskiego Wschodu, przede wszystkim Iraku. Wraz ze wzrostem niebezpieczeństwa na szlaku na drogę decydują się ci najbardziej zdesperowani. Coraz częściej są to mieszkańcy Afryki – Erytrei czy Etiopii, ale też w dużej mierze Afgańczycy (przynajmniej takie pochodzenie deklarują). Rosja we współpracy z Białorusią kieruje do tych państw swoje oferty wizowe, ściągając w ten sposób ludzi na szlak migracyjny.

– Musimy pamiętać, że prawdziwym wrogiem jest Łukaszenka. To on i jego reżim są zagrożeniem dla Polski i polskich funkcjonariuszy na granicy – stwierdza były ambasador Białorusi.

Chociaż tragiczny atak na żołnierza przeprowadziła konkretna osoba – prawdopodobnie na zlecenie białoruskiego dyktatora – to polski rząd postanowił obarczyć odpowiedzialnością zbiorową wszystkich, którzy docierają na naszą wschodnią granicę.

Wśród obywateli wielu jest zaś takich, którzy za śmierć Mateusza Sitka obwiniają organizacje humanitarne, ewentualnie Agnieszkę Holland, reżyserkę filmu „Zielona granica”. W rosnącym poczuciu zagrożenia rośnie też potrzeba znalezienia i ukarania winnych, kimkolwiek by byli.

Władza Tuska, polityka Kaczyńskiego

Donald Tusk szybko postanowił zaostrzyć działania na pograniczu. Jeszcze na konferencji w Dubiczach Cerkiewnych zapowiedział przywrócenie strefy buforowej na 200-metrowym pasie granicznym. – Uzgodniliśmy także [z rządem], że będziemy na dużo większą skalę używali sił policyjnych, szczególnie tam, gdzie dochodzi do grupowych prób przelamania granicy – mówił.

Tego samego dnia, czyli 29 maja, pojawił się projekt rozporządzenia MSWiA o wprowadzeniu czasowego zakazu przebywania na obszarze przygranicznym. Miejscowości, które miały zostać objęte strefą, znajdowały się jednak w odległości nawet 5-6 km od granicy. Strefa obejmowała również część Białowieckiego Parku Narodowego, na co skarżyły się władze parku.



• Tylko w maju żołnierze na granicy oddali 700 strzałów ostrzegawczych

FOT. ROMAN BOSIACKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Strefa buforowa początkowo miała zostać wprowadzona 4 czerwca. Dzień wcześniej szef MSWiA Tomasz Siemoniak poinformował jednak, że rozporządzenie wejdzie w życie kilka dni później.

– Chcemy mieć jeszcze trochę czasu na konsultacje z samorządami, z parkiem narodowym, z organizacjami społecznymi – mówił minister. Niewykluczone, że była to reakcja na protesty i apele mieszkańców przygranicznych miejscowości i samorządów, obawiających się wpływu rozporządzenia na ograniczenie turystyki w regionie.

Wprowadzeniu strefy sprzeciwiały się również organizacje pomocowe.

– Strefa dokładnie pokrywa się z miejscami, w których udzielamy pomocy humanitarnej. To właśnie tam służby białoruskie prowadzą ludzi w drodze, a później każą im przechodzić na stronę polską. Decyzja rządu uniemożliwi nam docieranie do ludzi tuż przy granicy, często w najgorszej kondycji. Jesteśmy przekonani, że prawdziwym powodem wprowadzenia strefy jest ukrycie przed światem tego, co tam się dzieje, czyli łamanie praw człowieka przez polskie służby – komentowała dla „Wyborczej” pierwszy projekt rozporządzenia Agata Kluczevska z Podlaskiego Ochotniczego Pogotowia Humanitarnego (POPH).

Łamanie praw człowieka, o którym mowa, to między innymi wspomniane już pushbacki, które mają być stosowane również wobec osób, które zgodnie z przysługującym im prawem ubiegają się o ochronę międzynarodową, oraz przemoc ze strony funkcjonariuszy i wojska.

Od początku roku Grupa Granica odnotowała ponad tysiąc relacji cudzoziemców skarżących się na pobicia, niszczenie telefonów czy stosowanie gazu pieprzowego bez uzasadnienia.

„Strefa Tuska”, jak nazwała ją GG, opiera się na nowelizacji o ochronie granicy państwowej wprowadzonej jeszcze za rządów PiS. Nowela umożliwiła utworzenie strefy stanu wyjątkowego, która obowiązywała od września 2021 roku przez 90 dni.

Wówczas w strefie nie mógł przebywać nikt oprócz służb granicznych i wojska. Organizacje pomocowe i indywidualni aktywiści nie mieli możliwości legalnego dotarcia do potrzebujących osób, które przebywały w tej strefie. Z kolei dziennikarze nie mogli relacjonować tego, co dzieje się bezpośrednio na granicy.

Po tym czasie ówczesny szef MSWiA Mariusz Kamiński wprowadził rozporządzenie o czasowym zakazie przebywania na obszarach przygranicznych sięgających 15 km w głąb kraju. Z zakazu wyłączeni byli jedynie mieszkańcy tych terenów.

Ograniczenia mocno odbiły się na branży usługowej. W strefie znalazła się choćby przygraniczna Białowieża, chętnie odwiedzana przez turystów. Właściciele hoteli i restauracji w regionie odnotowali

straty, podobnie jak Białowiecki PN, którego część szlaków znalazło się w strefie.

Co prawda Sejm wprowadził wówczas „Tarczę dla pograniczna”, czyli program, który miał rekompensować szkody poniesione przez lokalnych przedsiębiorców. NIK oceniła ją jednak jako spóźnioną i nieefektywną.

Ostatecznie rozporządzenie MSWiA przestało obowiązywać 1 lipca 2022 roku, gdy ukończono budowę zapory granicznej.

Mimo negatywnych skutków dla lokalnej społeczności, które trwają do dziś, strefa buforowa wprowadzana przez Koalicję 15 Października ma działać jak strefa stanu wyjątkowego za PiS – chociaż na ówczesnym projekcie PiS posłowie KO nie zostawili suchej nitki.

W trakcie obrad nazywano go gniotem prawnym sprzecznym z konstytucją.

Lokalni samorządowcy w obawie przed wpływem decyzji na gospodarkę regionu 31 maja wystosowali list do premiera Tuska: „Tylko my – mieszkańcy powiatu hajnowskiego – wiemy, że wprowadzenie zakazu przebywania w strefie przygranicznej oznacza koniec sezonu turystycznego. Mielśmy okazję przekonać się o tym dwa lata temu, do tej pory odczuwamy skutki tamtych decyzji” – twierdzą.

10 czerwca w Białymstoku odbyło się posiedzenie rządu oraz Rady Bezpieczeństwa Narodowego zwołane przez prezydenta. Rząd zajął się projektami przepisów związanych z bezpieczeństwem narodowym – w sprawie Narodowego Programu Odstraszania i Obrony „Tarcza Wschód” oraz w sprawie sytuacji na wschodniej granicy Polski.

Jak pisaliśmy, w ramach „Tarczy Wschód” mają zostać utworzone systemy wykrywania i ostrzegania, wysunięte bazy, węzły logistyczne, umocnienia oraz systemy antydronowe, a także zapory i fortyfikacje oraz – w razie ostatecznego zagrożenia – pola minowe. System obrony w ramach „Tarczy” ma też wykorzystywać gęste przygraniczne lasy i bagna. Wszelkie inwestycje mają powstać do 2028 roku.

Premier w trakcie posiedzenia zapowiedział, że strefa buforowa będzie sięgać maksymalnie 2 km w głąb kraju, czyli mniej, niż wskazywał na to pierwotny projekt rozporządzenia.

Do czasu ukończenia tego tekstu (10 czerwca) strefa nie została wprowadzona. Planowo ma wejść w życie 13 czerwca.

Jak pogodzić prawo humanitarne z obronnością państwa

Polski rząd, organizacje humanitarne i białoruska opozycja mają różne wizje tego, w jaki sposób najlepiej rozwiązać kryzys na granicy polsko-białoruskiej.

Koalicja 15 Października kopiuje rozwiązania wprowadzone wcześniej przez PiS – zamknięcie strefy przygranicznej,

odpychanie ludzi od granicy za wszelką cenę, jakby za chwilę nie mieli znów się na niej pojawić.

To wszystko już było i niczego nie rozwiązało. Możemy się spodziewać, że przemoc względem cudzoziemców, także tych nikomu niezagrożających, będzie tylko wzrastać, chyba że służby przestraszą się prokuratury. Niewykluczone jednak, że rząd raz jeszcze podejmie (tym razem udaną) próbę uciszenia niewygodnych prokuratorów.

A czy mundurowi będą mogli liczyć na większe bezpieczeństwo w postaci sprzętu, ubioru, przeszkolenia i jasnych przepisów prawa? Miejmy nadzieję.

Co na to wszystko organizacje humanitarne?

Zdaniem Grupy Granica konieczne jest rozliczenie polskich mundurowych, ich przełożonych i decydentów, którzy dopuścili i dopuszczają się przemocy na granicy. Rząd powinien wycofać również wprowadzone przez PiS przepisy, które pozwalają na pushbacki.

– Te praktyki w żaden sposób nie chronią granicy, bo osoby, które znajdują się na pograniczu, prędzej czy później tę granicę przekroczą. Ale z każdą kolejną wywołaną państwo polskie naraża ich zdrowie oraz życie.

Wiemy o groźbach przemocy i gwałtów, w przypadku gdy osoby nie chcą przekraczać granicy lub nie chcą atakować polskiej infrastruktury granicznej czy polskich mundurowych – informuje „Wyborczą” zespół ds. komunikacji Grupy Granica. Odsyłanie ich na Białoruś, gdzie grozi im niebezpieczeństwo, jest sprzeczne z prawem międzynarodowym, tzw. zasadą non-refoulement, czyli niezawracania.

– Państwo nie sprawdza, kogo wyrzuci ani jakiej pomocy ten człowiek potrzebuje. Tymczasem wystarczy zacząć działać zgodnie z prawem, by zażegnać kryzys humanitarny. Następnie trzeba rozpocząć szeroką europejską debatę o polityce migracyjnej i polityce granicznej całej UE – uważa Grupa Granica.

Z kolei zdaniem Pawła Łatuszki kluczowe jest między innymi zaprzestanie transakcji finansowych z Białorusią i przepływu towarów. Okazuje się bowiem, że mimo kryzysu i napiętej sytuacji na granicy interesy z Białorusią mają się dobrze.

W 2023 roku Polska i Białoruś zarobiły na wspólnym handlu miliardy złotych. Chociaż w wyniku europejskich sankcji kilka miesięcy później zarobki te znacznie zmalały, to i tak osiągnęły milionowe kwoty. Importowaliśmy przede wszystkim drewno i artykuły z drewna oraz oleje i tłuszcze. Eksportowaliśmy z kolei głównie pojazdy, statki powietrzne, jednostki pływające, maszyny oraz chemię.

– Konieczne jest także wyciąganie personalnych sankcji, a Polska ma taką możliwość względem tych, którzy stoją za zorganizowaną działalnością przestępczą prowadzącą do przemocy na granicy – dodaje. – Polski rząd może również lobbować za skazaniem białoruskiego dyktatora przez Międzynarodowy Trybunał Karny.

Gen. Roman Polko komentuje:

– Nie da się pogodzić prawa humanitarne go z obronnością państwa, jeśli na granicę rzucamy ludzi z bronią. Musimy zadbać o odpowiednią infrastrukturę i wcześniejsze rozpoznanie, które pozwoli zidentyfikować, kto na tę granicę dociera.

Widzimy bandytów wyposażonych przez Białoruś, ale nie da się zaprzeczyć, że są tam też osoby, którym warto pomóc. Jeśli jednak nie wiemy, jak radzić sobie z bandytami, to ucierpią na tym również niewinni ludzie.

• Skierowaliśmy szereg pytań do Wojska Polskiego i Straży Granicznej. Do czasu ukończenia pracy nad tym materiałem nie otrzymaliśmy odpowiedzi. •

• Pracę nad tekstem skończyłam w południe 11 czerwca 2024 roku

Francja idzie na wybory

SAMOTNOŚĆ MACRONA



FOT. ANDRÉ PAIN/REUTERS

– Rozwiązanie parlamentu to szokująca decyzja. Macron celowo robi tak, by wszystko musiało się rozegrać w bardzo krótkim czasie. To ruch taktyczny. To nie ktoś, kto powiedział sobie, że zamierza wyjaśnić sytuację polityczną. Raczej zastanowił się, jakimi opcjami dysponuje, żeby odzyskać kontrolę.

Marta Kielczewska-Konopka
Paryż

Vincent Martigny

• profesor nauk politycznych, specjalista od nacjonalizmów w Centrum Badań Politycznych CEVIPOF

Czy rozwiązanie parlamentu przez prezydenta Emmanuela Macrona to szaleństwo?

– Wszyscy politolodzy i komentatorzy we Francji są zgodni: to kompletne zaskoczenie. Jeszcze na kilka minut przed ogłoszeniem tej decyzji w ogóle nie wierzyłem, że taki scenariusz jest możliwy. Nie widzę bowiem, co prezydent mógłby na tym zyskać.

Rozumiem, dlaczego rozwiązuje, ale nie rozumiem, jakie – jego zdaniem – przyniesie mu to korzyści.

Dlaczego więc to robi?

– Ponieważ uważa, że nie ma już innych środków do działania. Ma już za to dwuletnie doświadczenie z parlamentem bez wyraźnej większości. To ktoś, kto chce decydować o wszystkim i kto nie ma doświadczenia w negocjacjach. To dlatego nie może się dogadać z socjaldemokratami, dla których dyskusja jest wartością.

Macron jest produktem czyisto francuskiego stylu prezydenckiego: słucha, decyduje i bierze odpowiedzialność za swoje decyzje. To jego ulubiona linia obrony, nigdy nie przyjdzie mu do głowy zrobienie kroku w czyjąś stronę.

To naprawdę ktoś, kto wierzy, że szukanie punktów negocjacyjnych oznacza ustępstwo, jest zatem aktem słabości. Myślę więc, że rozwiązuje parlament, aby przestać być w pozycji słabości. Aby odzyskać kontrolę.

Wydaje się, że podjął tę decyzję w bardzo wąskim gronie osób, nawet główni ministrowie i sojusznicy nie byli wtajemniczeni. To gra w pokera?

– Macrona cechuje samotność. Widać to od samego początku jego kadencji. Wiadomo o nim, że żyje w odosobnieniu, o bardzo niewielu bliskich przyjaciół, nie jest zbyt przywiązany do innych.

Podjął tę decyzję sam. Nawet premier dowiedział się o niej w ostatniej chwili i próbował go od niej odwieść. Proponował swoją dymisję, by ocalić resztę. Ale kiedy Macron już podejmie decyzję, nie ma miejsca na negocjacje. Możesz mówić, co chcesz, on nie zmieni zdania.

A samotność w polityce nigdy dobrze się nie kończy.

Nie musiał podejmować tej decyzji, nie był osaczony, istniały inne rozwiązania.

– Faktem jest, że znajdował się w bardzo trudnej sytuacji. Nie wiem, na jakiej bazie miałyby powstać koalicja, o której mówiła przewodnicząca parlamentu Yael Braun-Pivet. Każda strona musiałaby w niej widzieć korzyści. A kto chciałby wsiąść na statek, który wydaje się tonąć?

Macron musiałby też pójść na ustępstwa. Albo wobec prawicowych Republikanów, którzy doskonale wiedzą, że to byłby ich koniec, i wciąż powtarzają, że nie chcą wchodzić do jego rządu. Albo wobec socjaldemokratów, którzy wreszcie uzyskali dobry wynik (prawie 14 proc.). Trudno dostrzec interes, jaki mieliby włączeniu swoich sił z postacią, która z kretesem utraciła wartość. To nie miałyby dla nich sensu.

Czy te przedterminowe wybory nie pozwolą Francuzom lepiej wiedzieć, dokąd zmierzają?

– Można by myśleć, że być może rzeczywiście wyklaruje to sytuację polityczną. Tyle że ryzyko jest takie, że na tym zyska głównie Zjednoczenie Narodowe Marine Le Pen. Choć powiększenie ich stanu posiadania z 89 dotychczasowych posłów do 289 nie będzie łatwe.

Emmanuel Macron dla „Le Figaro”: „Zamierzam wygrać te wybory!”

Carl Meeus

Prezydent jest przekonany, że błyskawiczna kampania przed przyspieszonymi wyborami parlamentarnymi pokaże Francuzom, że skrajnie prawicowe Zjednoczenie Narodowe nie jest gotowe do rządzenia.

„Robię to, by wygrać!” – oznajmił dziennikarzom Macron nazajutrz po ogłoszeniu swojej decyzji o rozwiązaniu Zgromadzenia Narodowego. Zachowuje spokój po porażce swojego obozu w eurowyborach. Wyjaśnił dwa główne powody zaskakującego ruchu: chaos wywołany debatami w parlamencie, zwłaszcza w ostatnich tygodniach, kiedy członkowie skrajnie lewicowej partii France Insoumise na sali obrad wymachiwali palestyńskimi flagami, świadomie prowokując zawieszenie posiedzenia. Ale przede wszystkim fakt, że pomimo prób poszerzenia parlamentarnej większości w ciągu ostatnich dwóch lat, opozycja nie chce współpracy z rządem. Aby nie polegać już na kruchej względnej większości, Macron stawia posłów i wyborców pod ścianą i zmusza do opowiedzenia się, czy chcą dopuścić partię Marine Le Pen do władzy.

Prezydent zastanawiał się nad tą decyzją już od kilku tygodni i podjął ją

w niedzielne popołudnie. „Nie możemy zachowywać się tak, jakby nic się nie stało”, podkreślił, mimo że wcześniej wielokrotnie uprzedzał, iż nie wyciągnie żadnych wniosków politycznych z wyborów europejskich. Teraz przekonuje, że nie miał innego wyboru: „Ta decyzja była konieczna”. Nie chciał sprawić wrażenia bezsilnego prezydenta, który nie ma większości w parlamencie. A do wyborów prezydenckich w 2027 r. w planie były już tylko samorządowe za dwa lata.

Zmiana premiera na Gabriela Attala nie rozwiązała problemu impasu w parlamencie większości, ale i tak wielu, nawet pośród współpracowników Macrona, nie rozumie celów radykalnego kroku, a niektórzy po cichu nawet nazywają prezydenta „szaleńcem”.

Pytamy prezydenta: – Co mówi pan dziś ludziom, którzy nazywają pańską decyzję szaleństwem?

– Myślę tylko o Francji. To była słuszna decyzja, w interesie kraju. I mówię Francuzom: nie bójcie się, tylko idźcie i głosujcie – odparł.

Macron, jak sam mówi, był przekonany, biorąc pod uwagę zachowanie niektórych członków opozycji, że rozwiązanie parlamentu i tak jest nieuniknione

w nadchodzących miesiącach. Wolął zrobić to teraz, niż „czekać i cierpieć”.

„Taki jest duch naszych instytucji: słuchałem Francuzów. Teraz jest czas na wyjaśnienia. Wybrałem rozwiązanie, które jest zarazem najbardziej wyraźnym, radykalnym i najsilniejszym gestem. To jednak gest wielkiego zaufania do narodu francuskiego. Rozpisałem wybory, aby wyjaśnić sytuację”.

Zdaniem prezydenta tylko dwa obozy mają szansę wygrać: ZN albo liberalna większość. Bo ani Republikanie, nawet jeśli nie wykluczają już doraźnych sojuszy z partią Jordana Bardelli, ani socjaliści nie mogą liczyć na samodzielne sukcesy.

Ale Macron wie już także, że będzie musiał zmienić model sprawowania władzy, jeśli ma nadzieję na odwrócenie trendu, czyli rośnięcie skrajnej prawicy w sondażach. „Będziemy poszerzać pola współpracy i wyjaśniać swoją linię” – zapowiada. Dlatego w najbliższych dniach prezydent „zwróci się do wszystkich tych, którzy są gotowi brać odpowiedzialność oraz pracować nad polityczną syntezą w duchu ambitnym i radykalnym”.

Prezydent jest przekonany, że rozpoczynająca się kampania wyborcza pokaże, że RN nie jest gotowa do rządzenia i że ci Francuzi, którzy chcieli wysłać władzy

sygnał niezadowolenia, głosując w ostatnią niedzielę na listę Jordana Bardelli, zmieniają zdanie w obliczu kwestii, o które toczy się gra. To już nie będą wybory europejskie, w których wyborcy mogą sobie wmawiać, że ich głos nie ma żadnego znaczenia. Tym razem będą to wybory, które muszą wyłonić większość rządzącą krajem.

„Głosy w wyborach do PE oddane na skrajną prawicę to nie były głosy poparcia dla jej programu – bo żadnego nie było”. Macron nie wierzy, że ZN powtórzy swój wynik za trzy tygodnie.

„Polityka jest dynamiczna. Nigdy nie wierzyłem w sondaże. Decyzja, którą podjąłem, otwiera nową erę. Rozpoczyna się nowa kampania i nie możemy patrzeć na wyniki w poszczególnych okręgach wyborczych przez pryzmat tych z wyborów europejskich”.

Macron rozpoczął kampanię od konferencji prasowej w środę, podczas której ma przedstawić szczegółowy program na najbliższe trzy lata. „Jako prezydent muszę zaangażować się we właściwym dla siebie miejscu. Stawką jest przyszłość Republiki, jej instytucji, i całej Europy”.

Czy zgodzi się na debatę z Marine Le Pen? „Oczywiście! Jestem gotów nosić nasze barwy i bronić naszego projektu”. ●

Jednak sposób, w jaki Macron ogłosił rozwiązanie parlamentu wskazuje na to, że nie wyjaśnienie sytuacji jest jego celem. Swoją decyzją zaskoczył wszystkich.

Wybrał najkrótszy możliwy termin na zorganizowanie wyborów: 21 dni, podczas gdy prawo przewiduje od 20 do 40 dni. Oznacza to, że listy wyborcze muszą zostać przedłożone do najbliższej niedzieli! Nie pozostawia to partiom czasu na dyskusje. Macron chce uzyskać przewagę. To czysto taktyczne rozwiązanie, aby mocno uderzyć.

Macron, człowiek mocnych uderzeń, wykonuje swój kolejny tego typu ruch. Moim zdaniem wywoła to dodatkową irytację części społeczeństwa, która albo zagłosuje na ZN, aby go upokorzyć, albo wstrzyma się od głosu, odmawiając udziału w tej grze.

Dominuje poczucie, że za każdym razem prezydent zapędza Francuzów w kozi róg, uniemożliwia im debatę, aby narzucić swoje rozwiązanie, kpiąc z tradycyjnej gry politycznej.

Dość powszechnie panuje przekonanie, że Macron jest politycznie nieuczciwy, że nie zachowuje się właściwie. Że wykorzystuje system przeciwko demokracji.

Myślę, że w tym tkwi najbardziej szkodliwy efekt tego rozwiązania parlamentu.

Czy te przyspieszone wybory nie mogą wzmocnić obozu Macrona?

– Nie wiem, jak miałyby do tego dojść. Na jakiej podstawie, na bazie jakiej koalicji? Jak po tak dotkliwej porażce miałby osiągnąć to, co mu się nie udało w 2022 r.?

W polityce wszystko jest możliwe, ale ten scenariusz wymaga wyjątkowo dużej wyobraźni.

Nie jest tak, że liczy, że po raz trzeci zadziała mobilizacja tzw. frontu republikańskiego, aby powstać tamę skrajnej prawicy?
– Może myśli znów zagrać kartą „wszyscy przeciwko ZN”, „jestem ostatnim bastionem” itp. Sądzę, że w ciągu najbliższych kilku dni wyda szereg oświadczeń. Będzie chciał pokazać, że jest człowiekiem dobrej woli. Nikt nie uwierzy w jego obietnice, ale to jego działania nakreślą ramy scenariusza tych wyborów.

Na tym właśnie polega najpoważniejszy zarzut wobec niego: podważa instytucje polityczne. A jednocześnie trzyma nas w napięciu, jak w serialu.

Czy Zjednoczenie Narodowe ma szanse na zdobycie większości niezbędnej do rządzenia?
– W historii V Republiki tylko dwa razy zdarzyło się, że partia uzyskała większość absolutną: UMP w 2002 r. i République en marche w 2017 r. Samo w sobie byłoby to więc historycznym osiągnięciem.

Skala gniewu kierowanego przeciwko Macronowi i bardzo silne poczucie, że „próbowaliśmy już wszystkiego oprócz skrajnej prawicy”, może odegrać rolę w stworzeniu bardzo silnej fali poparcia dla partii Le Pen. Czy to wystarczy, aby zdobyć 289 deputowanych? Powiedziałbym, że to mało prawdopodobne, ale nie całkiem niemożliwe.

Jaki jest najbardziej prawdopodobny scenariusz tych wybo-

rów? Mocno podzielony parlament z koniecznością zawiązania koalicji, ale nadal z macronistami w centrum władzy?
– Nie. Biorąc pod uwagę równowagę sił w kraju, najbardziej prawdopodobnym scenariuszem jest zawieszony parlament: brak większości i brak sojuszków.

Francja wkracza w zupełnie nową fazę swojej historii politycznej ostatnich 50 lat.

Niektórzy twierdzą, że Macron chce osadzić Jordanna Bardellę na stanowisku premiera, by uniemożliwić Marine Le Pen zdobycie Pałacu Elizejskiego.
– Wszystkie scenariusze są możliwe, ale akurat to jest niebezpieczny hazard. Wystarczy spojrzeć na wzrost poparcia dla Fratelli d'Italia we Włoszech, odkąd Giorgia Meloni doszła do władzy. W interesie ZN jest zdobycie szacunku i posiadanie zasobów państwa. Wyobraźmy sobie, że przez dwa lata u władzy nie zrobią niczego drastycznego, a słońce nadal będzie świecić nad Paryżem. Urząd premiera to ostatni etap procesu normalizacji...

Czy Macronowi nie chodzi po prostu o oddanie głosu suwerenowi?

– Gdyby we Francji panował system gabinetowo-parlamentarny, a nie prezydencki, to jak najbardziej. Ale to nie jest wpisane w naszą kulturę demokratyczną. Wkraczamy na nieznany łąd.

Macron celowo robi tak, by wszystko musiało się rozegrać w bardzo krótkim czasie. To ruch taktyczny. To nie ktoś, kto powiedział sobie, że zamierza wyjaśnić sytuację polityczną. Raczej zastanowił się, jakimi opcjami dysponuje, żeby odzyskać kontrolę. Jest to całkowicie zgodne z jego podejściem do władzy.

Demokratyczne wyjaśnienie to czysta retoryka. Praktyka instytucji pokazuje coś zupełnie przeciwnego.

Macron zawsze mówił, że jego celem jest unieszkodliwienie skrajnej prawicy. Daleko mu do tego...

– W 2017 r. Macron wyznaczył sobie trzy cele: rozpoczęcie reform strukturalnych niezbędnych do przekształcenia systemu gospodarczego i społecznego, aby uczynić Francję bardziej wydajną. Myślę, że historycy ocenią, że częściowo mu się to udało. Nieźle zarządził krajem.

Drugim wyzwaniem było przywrócenie zaufania do demokracji, a trzecim – wyeliminowanie wszystkich przyczyn, dla których ludzie głosują na skrajną prawicę. W osiągnięciu tych dwóch celów poniósł druzgoczącą klęskę.

W Pałacu Elizejskim toczy się zabawa w ucznia czarnoksiężnika. Moim zdaniem Emmanuel Macron będzie niestety podnóżkiem dla ostatecznego zwycięstwa skrajnej prawicy w tym kraju. Ponośi on za to bardzo dużą odpowiedzialność. I myślę, że to będzie schedą jego rządów. ●

Wywiad przeprowadzono wraz z Joëlle Meskens z „Le Soir”, Anaïs Ginori z „La Repubblica”, Markiem Bassetsem z „El País” i z Alainem Rebetezem z „La Tribune de Genève”, w ramach współpracy „Wyborczej” z wiodącymi europejskimi dziennikami (LENA).

Timothy Garton Ash:

Jeszcze nie czas emigrować do Nowej Zelandii

Głosy oddane w eurowyborach na skrajną prawicę w najważniejszych państwach UE mogą pchnąć na prawo całą Wspólnotę, zagrozić Ukrainie. I naszej wspólnej przyszłości.

Timothy Garton Ash

Europa, która dopiero co na plażach Normandii świętowała 80-lecie D-Day, desantu znaczącego początek wyzwolenia od wojny, nacjonalizmu i faszyzmu, stanęła znów przed groźbą faszyzmu, nacjonalizmu i wojny.

Niech nikogo nie zwiodą optymistyczne słowa przewodniczącej Komisji Europejskiej Ursuli von der Leyen, które padły w E-Day (od election) – czyli 9 czerwca, tuż po ogłoszeniu wyników wyborów do Parlamentu Europejskiego w 27 krajach członkowskich – że „centrum trzyma się mocno”. To prawda, jeśli mamy na myśli rozdział mandatów między główne frakcje w Parlamencie Europejskim i to, że jej własna centroprawicowa Europejska Partia Ludowa wyszła bez trudu na prowadzenie.

Ale w UE więcej do powiedzenia niż bezpośrednio wybrany parlament, mają rządy krajowe, a E-Day był sukcesem – znacznym lub wręcz szokującym – radykalnej prawicy w najważniejszych państwach członkowskich.

Żadna z eurosceptycznych partii nie będzie tak głupia, żeby wzorem Brytyjczyków popробować frexitu czy nexitu. Będą raczej, działając od wewnątrz, spychać UE na prawo, zaostrzając stanowisko w sprawie imigracji, sprzeciwiając się zdecydowanie zielonemu rozwiązaniom pilnie potrzebnym w walce z kryzysem klimatycznym, ograniczając wsparcie dla Ukrainy i – jak na nacjonalistów przystało – umniejszając kompetencje Brukseli na rzecz państw narodowych. Niech więc nikt nie mówi, że nie jest tak źle. Otóż jest źle, a może być jeszcze gorzej.

Największy dramat rozgrywa się we Francji. Byłem w Normandii w rocznicę D-Day i patrzyłem, jak prezydent Emmanuel Macron próbuje wykorzystać międzynarodowe obchody (które niezrozumiale przegapił brytyjski premier Rishi Sunak), żeby opowiedzieć budującą historię o ówczesnym wyzwoleniu, które utorowało drogę dzisiejszej Unii Europejskiej. Ale w okolicznych wsiach widziałem głównie plakaty wyborcze Zjednoczenia Narodowego Marine Le Pen i słyszałem o rosnącej popularności tej skrajnie prawicowej partii. W dniu eurowyborów Zjednoczenie odnotowało wielki sukces, zdobywając ponad 30 proc. głosów i pokonując centrowo-liberalny Renesans, partię Macrona.

W miasteczku Ver-sur-Mer, gdzie 6 czerwca 1944 roku mój ojciec wraz z innymi brytyjskimi żołnierzami rozpoczął wyzwalamie Europy Zachodniej, Zjednoczenie Narodowe uzyskało 33 proc. głosów. Sporym sukcesem mogła w Ver-sur-Mer poszczycić się też Marion Maréchal, siostrzenica Marine le Pen, której jeszcze skrajniejsza partia, Rekonkwista, chce odzyskiwać Europę z rąk „obcych”, zwłaszcza muzułmanów, za czym otwarcie opowiada się jej założyciel, Éric Zemmour.

A potem wybuchła bomba

Macron, którego niezmienna pewność siebie przeraża się powoli w pychę, ogłosił rozwiązanie Zgromadzenia Narodowego i rozpiął wybory na 30 czerwca, z drugą turą 7 lipca. „Mogę tylko przyklasnąć tej decyzji”, skomentowała Le Pen.

Macron podjął ogromne ryzyko, licząc na doskonalny francuski system, w którym w decydującej drugiej turze wyborcy w większości okręgów mogą wskazać inną osobę niż kandydat Zjednoczenia Narodowego. Ale ogrom aktualnej irytacji Francuzów rodzi poważne ryzyko, że ledwie trzy dni po 4 lipca, kiedy w Wielkiej Brytanii władzę obejmie zapewne pragmatyczna, ostrożnie proeuropejska centrolewica w postaci laburzystów, Francja zafunduje sobie rządy eurosceptycznej radykalnej prawicy, wiążąc ręce Macronowi, głównemu orędownikowi europejskiej integracji. Jeśli do tego dojdzie, będzie to nieformalny francuski brexit de facto.

Sytuacja w Niemczech jest tylko trochę mniej niepokojąca. Wygrała zdecydowanie centroprawicowa

CDU-CSU – ale drugie miejsce z aż 16 proc. głosów zajęła skrajnie prawicowa Alternatywa dla Niemiec (AfD) – to więcej niż zdobyła którakolwiek z trzech partii rządzącej koalicji, w tym socjaldemokrati kanclerza Olafa Scholza.

AfD jest partią na tyle skrajną, że nawet Le Pen nie chciała być z nią w tej samej frakcji europarlamentarnej, po tym jak jej uroczy czołowy kandydat Maximilian Krah oznajmił w wywiadzie, że „nie wszyscy członkowie SS byli przestępcami”.

Tymczasem we Włoszech zwyciężyli bezapelacyjnie Bracia Włosi postneofaszystowskiej premier Giorgii Meloni, a w Austrii – skrajnie prawicowa Partia Wolności. W Holandii partia ksenofoba Geerta Wildersa wypadła tylko trochę gorzej od centrolewicy. Co szczególnie niepokoi, wiele tych partii radzi sobie najlepiej wśród młodych wyborców, zwłaszcza młodych mężczyzn. Według sondażu przedwyborczego Zjednoczenie Narodowe popiera około 36 proc. Francuzów w wieku od 18 do 24 lat.

Owszem, z Polski i Węgier napływają bardziej zachęcające wieści, ale mała to pociecha, jeśli polska, węgierska – i brytyjska – lekcja miałyby być taka, że trzeba pożyć przez lata pod rządami populistycznych nacjonalistów, żeby odrzucić ich władzę.

Pomyślmy o najważniejszych dla Europy tegorocznych wyborach: w USA

Nawet jeśli skrajna prawica nie sformuje tego lata rządu we Francji, jej obecny wynik znacznie skomplikuje podejmowanie przez UE zdecydowanych działań w takich choćby kwestiach, jak zielona transformacja. A co najważniejsze, utrudni to znaczy postęp w zakresie dozbierania Ukrainy w momencie, gdy krajowi temu grozi serio – powiedzmy to wyraźnie – przegranie największej wojny w Europie od 1945 roku.

W kwestii Ukrainy partie europejskiej skrajnej prawicy są podzielone – a akurat Meloni należy dziś do zdecydowanych stronników tego napadniętego kraju – jednak efekt netto tych wyborów będzie negatywny. W Niemczech około jedna czwarta głosów przypadła partiom opowiadającym się za taką wersją „pokoju”, która w rzeczywistości oznacza kapitulację Ukrainy – skrajnej prawicy (AfD), skrajnej lewicy (Die Linke) i dziwnemu populistycznemu melanżowi obu (Sojuszowi Sahry Wagenknecht). Niestety, socjaldemokrati Olafa Scholza wydają się ulegać pokusie uspokojenia owych uspokajaczy. Europejskie i globalne skutki wygranej faszystowskiej Rosji Władimira Putina przybliżyłyby jeszcze bardziej perspektywę powrotu do starych, złych czasów.

To powiedziawszy, pomyślmy o najważniejszych dla Europy tegorocznych wyborach, które nie odbędą się w Europie. Zwycięstwo Donalda Trumpa w listopadzie osłabiłoby i zapewne jeszcze bardziej podzieliło Europę, bo skrajnie prawicowi nacjonalistyczni populiści, w tym Meloni, skrzyknęliby się jako „europejska partia Trumpa”.

A więc czas rozpaczać i emigrować do Nowej Zelandii? Na pewno nie. Znaczna większość Europejczyków nadal nie chce stracić najlepszej Europy, jaką kiedykolwiek mieli. Ale trzeba ich zmobilizować, poderwać i przekonać, że Unia naprawdę stanęła w obliczu egzystencjalnego zagrożenia.

Z lekkim strachem oczekuję teraz kolejnych tygodni przetargów w UE – która partia z którą pójdzie do łóżka? Kto jakie wyszarpie stanowisko? W Brukseli przepychanki, kiedy płonie Charków, zaraz może płonąć znacznie więcej. Trzeba nam współpracy rządów państw i instytucji Europy, które wspólnie zapewnią młodym ludziom mieszkania, na które dziś ich nie stać, miejsca pracy, szanse życiowe, bezpieczeństwo, zieloną transformację, wsparcie dla Ukrainy. Czy Europa ocknie się, zanim będzie za późno?

tłum. Sergiusz Kowalski

Timothy Garton Ash jest profesorem europeistyki na Uniwersytecie Oksfordzkim i Senior Fellow w Hoover Institution na Uniwersytecie Stanforda. Twitter: @fromTGA



LENA
LEADING — EUROPEAN
NEWSPAPER — ALLIANCE

Mateusz: „Z niecierpliwością czekam na pierwszy incelski zamach w Polsce. Płeć ofiar nie jest istotna. Trzeba celować w uprzywilejowanych, ładnych i dobrze ubranych”

Emilia Dłużewska

Święty Elliot w miniaturce wygląda jak bizantyjska ikona Pantokratora: jasne tło, a na nim okryta niebieskim płaszczem męska sylwetka, prawa dłoń ułożona w geście błogosławieństwa, w lewej otwarta Biblia. Po powiększeniu widać, że w złotą aureolę niechlujnie wklejona jest głowa młodego, ciemnowłosego mężczyzny; w księgę w jego rękę tytuł: „My Twisted World Manifesto”.

Jego święto przypada 23 maja. Tego dnia w 2014 r. 22-letni Elliot Rodger zabił sześć osób i ranił czternaście kolejnych, a do publicznej świadomości przebiło się określenie „incel”. Z początku oznaczało po prostu osobę, która mimo chęci nie była w stanie nawiązać relacji erotycznych – „incel” to zbitka angielskich słów „involuntary”, niechciany i „celibat”. Ukula je kobieta imieniem Alana, która chciała dodać otuchy zmagającym się z brakiem szczęścia w miłości, ale zawłaszczyli mężczyźni: sfrustrowani, zdołowani, wściekli.

Ta wściekłość rzadko kończy się aktami terroru, jak w przypadku Rodgera i jego naśladowców: Amerykanina Chrisa Harpera-Mercera, który zastrzelił dziewięcioro studentów swego college’u, Kanadyjczyka Aleka Minassiana, który zabił dziesięć osób, wjeżdżając samochodem w tłum czy Brytyjczyka Jacka Davidsona, od którego kul zginęło pięć osób, w tym trzyletnia dziewczynka. Częściej przejawia się nękaniami i zastraszaniem kobiet, zamieszczaniem w internecie nienawistnych treści, kibicowaniem tym, którzy przemocy się dopuszczają – jak ludzie podający dalej obrazek „świętego Elliota”. Niezależnie od formy, coraz trudniej ją ignorować. I wciąż nie mamy pojęcia, co z nią robić.

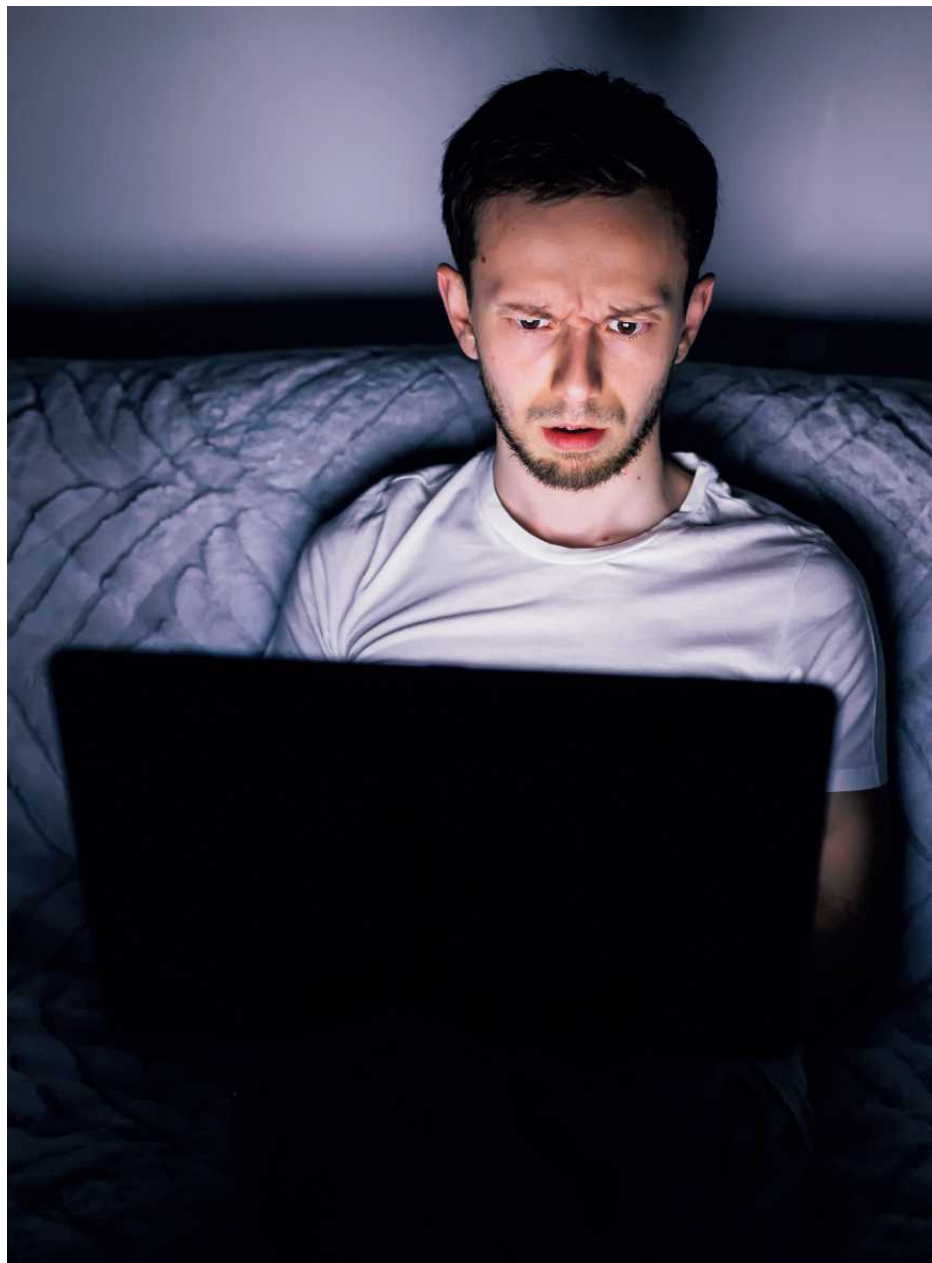
Pokazują to dwie wydane w Polsce w ciągu ostatniego roku książki: „O mężczyznach, którzy nienawidzą kobiet” Laury Bates oraz „Przegryw” Aleksandry Herzyk i Patrycji Wieczorkiewicz. Pisane są z różnych perspektyw, ale obie pochylają się nad męską wściekłością i pokazują szerszy społeczny kontekst, który pozwolił jej zaistnieć. Warto przeczytać je razem – choć nie będzie to przyjemne doświadczenie.

Trolle grożą gwałtem, policja umywa ręce

Bates, aktywistka i publicystka feministyczna, na własnej skórze odczuła, jak to jest znaleźć się na celowniku internetowych mizoginów. Zaczęło się niewinnie: w 2012 r. założyła stronę „Everyday Sexism Project”, na której kobiety mogły anonimowo dzielić się doświadczeniami seksizmu. Spodziewała się, że przyjdzie na nią kilkaset opowieści. Dwa lata później było ich już ponad 60 tys.

Pisały nie tylko kobiety. Na konto Bates zaczęły przychodzić obraźliwe wiadomości. Miesiąc po rozpoczęciu projektu dostawała ich już 200 dziennie. Dwa lata później zmieniła mieszkanie, bo trolle znalazły jej adres, ale i tak wracając do domu, dzwoniła do mamy i nie rozłączała się, póki nie była pewna, że nikt nie czyha na nią w środku. Dwanaście lat od uruchomienia strony nękanie wciąż trwa. Aktywistka kilkakrotnie zmieniała adres zamieszkania, ograniczyła aktywność w sieci, usunęła jakiegokolwiek dane, które mogłyby naprowadzić prześladowców na trop jej bliskich.

„Po moim występie w telewizji mężczyźni pisały, że najchętniej złapaliby mnie za kudły



ZDOŁOWANI I WŚCIEKLI

i gwałcili, aż w końcu bym zdechła. Otrzymuję wiadomości z rozbudowanymi opisami, jak jestem gwałcona i poniżana. Wiadomości, jak gwałcone będą moje przyszłe dzieci. Jak masakrowane są moje genitalia i wagina. Nagrania wideo przedstawiające mnie jako diabolicę. Fantazyjne bluźgi pod adresem mojego partnera i groźby wobec mojej rodziny. Drastyczne zwierzenia o tym, że ktoś chce mnie dopaść, zgwałcić przy użyciu różnych elementów mebli i wszystko sfilmować” – wylicza w książce.

Bates próbowała zgłosić groźby na policję, ale śledztwo szybko zostało umorzone. Forum, którego użytkownicy zachęcali do ataku na nią, zarejestrowane było na zagranicznym serwerze, adresów IP prześladowców nie udało się ustalić. Zaczęła się zastanawiać, jak to możliwe – mizoginistyczne trolle w masowy i zorganizowany sposób nękają kobiety, które „się wychylają”: aktywistki, postaci publiczne, dziennikarki, aktorki. Zalewają je poważnymi groźbami, ustalają ich adresy czy numery telefonów i zatruwają im życie. Mimo to policja zachowuje się, jakby nic wielkiego się nie działo: doświadczenia ofiar traktuje jak pojedyncze, oderwane od siebie przypadki, a im samym radzi po prostu się nie przejmować.

Równolegle Bates rejestrowała inną zmianę: podczas spotkań o równości płci, z którymi występowała w brytyjskich szkołach, napotykała coraz większy opór. Jasne, na wy-

kładach zawsze spotykała osoby o odmiennych poglądach. Ale od kilku lat, szkoła po szkole, słyszała te same argumenty, poparte tymi samymi, często nieprawdziwymi danymi. Uczniowie przekonywali ją, że w społeczeństwie to kobiety zajmują uprzywilejowaną pozycję, a prawdziwymi ofiarami są mężczyźni. Wkrótce to samo zaczęli powtarzać dorośli: w tym publicyści i politycy.

Czerwona i czarna pigułka

Bates źródła tej zmiany szuka w „manosferze”, jak zbiorczo nazywa się fora internetowe, profile w mediach społecznościowych, blogi i kanały na YouTube tworzone przez mężczyzn dla mężczyzn.

Ich powiązania są luźne i nieoczywiste. To profile tzw. „artystów podrywów”, uczących, jak manipulować kobietami, i strony Aktywistów Praw Mężczyzn, utrzymujących, że mężczyźni są w społeczeństwie dyskryminowani; fora dla kulturystów, na których anonimowi incele fantazjują o zabijaniu kobiet i youtube’owy kanał (popularnego również w Polsce) psychologa-celebryty Jordana Petersona, twierdzącego, że najlepszą receptą na ataki terrorystyczne sfrustrowanych mężczyzn jest „przymusowa monogamia”, a wojnę w Ukrainie sprowokował Zachód, przed którego zgnilizną moralną Rosja usiłuje się bronić. Bates pokazuje, jak radykalnie antykobiece poglądy przenikają między tymi sferami, dopasowując się do

odbiorców – wulgarna mizoginia zmienia się w trollski humor, ten w pseudonaukowe argumenty lub polityczne manifesty.

Rozrzut tematów sprawia, że „manosferę” trudno jest zdefiniować czy nawet zmapować. Różnorodne internetowe przestrzenie łączą przekonania dotyczące świata, specyficzne poczucie humoru, slang. I wspólna grupa użytkowników. To mężczyźni, którzy wierzą w patriarchalny porządek, mimo, że w jego hierarchii zajmują pozycję poślednią, bo z różnych powodów nie mają szans zostać „samcami Alfa”. Ich oczekiwania wobec świata kształtują konserwatywne, sztywne wzorce męskości, coraz bardziej nieadekwatne tak do oczekiwania kobiet, jak i norm współczesnej, zorientowanej na równość kultury.

Rozdźwięk ten widzą socjologowie. Rozsnając różnice światopoglądowe między młodymi kobietami a mężczyznami odnotowują badacze w Polsce, USA, Chinach, Tunezji. I choć – jak zauważył w „Wyborczej” Kamil Fejfer – bywają opisywane w sposób niesprawiedliwy, problemy z nich wynikające są realne. Jak kwestia demograficzna: rówieśnikom różnych płci trudniej się dogadać, nie mówiąc już o wejściu w relacje (sondaż Kantaru dla „Wyborczej” wskazywał, że w 2019 r. singielkami było 20 proc. młodych Polek i aż 47 proc. młodych Polaków). Drugim jest postępująca polaryzacja, podkreścana przez internetowe algorytmy.

Zauważają to autorki obu książek. Bates opisuje eksperyment, jaki przeprowadziła: wyczyściła historię przeglądarki, otworzyła okno w trybie prywatnym i wpisała w wyszukiwarkę YouTuba „co to jest feminizm?”. Wystarczyło oddać wodze algorytmowi, by w trzech ruchach wyładować na kanale prawicowego influencera Dave’a Rubina, któremu inna gwiazda alt-prawicy, Milo Yiannopoulos, tłumaczył, że we współczesnym feminizmie chodzi o nienawiść do mężczyzn, statystyki dotyczące gwałtów na kampusach to bzdura, a oficjalne dane o przemocy seksualnej są kłamliwe.

Polaryzacja nie dotyczy tylko jednej płci. Ale treści kierowane do młodych kobiet, nawet nie najmądrzejsze, mają raczej wydźwięk emancypacyjny – czasem skupiając się na rozliczaniu krzywd ze strony patriarchy, czasem na wspólnotowości. Mężczyznom i chłopakom podsuwane są teorie spiskowe.

Które, jak to teorie spiskowe, są piekielnie skuteczne. Kluczowym hasłem manosfery jest „redpill”, czerwona pigułka. Podobnie jak w filmie „Matrix” pozwalała ona porzucić ułudę i zobaczyć prawdziwy, dystopijny świat, tu – ginokrację, w której cyniczne kobiety wymieniając swój zasób, którym jest seks, na zasoby finansowe, statusowe lub genetyczne mężczyzn. Przez to większość partnerek zagarniają wysocy i bogaci przystojniacy o szerokich szczękach. Redpillowcy dążą do uświadomienia tego mężczyznom, odrzucenia matriarchatu i bardziej sprawiedliwego, w swoim mniemaniu, podziału kobiecych zasobów. Niekiedy próbują też zwiększyć szanse w międzypłciowej rozgrywce, np. równoważąc łysienie muskulaturą albo zapisując się na kursy manipulacji oferowane przez guru podrywów.

Kontrpropozycją jest pigułka czarna, czyli „blackpill”. Wyznawcy tej filozofii też wierzą w dominację kobiet i ich jednorodność, wrodzone preferencje, które niweczą ich szanse na rynku erotyczno-matrymonialnym. Ale zamiast walczyć z tą rzekomą niesprawiedliwością postulują pogodzenie się z nią: jako przegrani genetycznej loterii nigdy nie znajdą sobie partnerki.

Przegryw nie wyjdzie do ludzi

To im książkę poświęciły Aleksandra Herzyk i Patrycja Wieczorkiewicz. „Przegryw” to w dyskusji o incelach głos niezwykle ciekawy i odważny. Wieczorkiewicz i Herzyk zrobiły coś, co wielu piszącym o incelach nie mieściło się w głowie: spotkały się z nimi i porozmawiały. Weszły w środowisko „przegrywów”, jak sami się określają, nie ukrywając ani swoich feministycznych poglądów, ani faktu, że piszą reporterską książkę.

Zdawać by się mogło, że to przepis na porażkę: incele nie będą chcieli rozmawiać, zaczęną się wybielać lub przeciwnie – trollować i nękać dziennikarki. Takie reakcje się zdarzały, ale nie były jedyne. Herzyk i Wieczorkiewicz dotarły do grupy mężczyzn, którzy zgodzili się opowiedzieć im o swoim życiu.

Rozmowy w większości toczyły się tylko w sieci. Wielu „przegrywów” nie radzi sobie z kontaktami społecznymi, perspektywa rozmawiania twarzą w twarz jest dla nich paraliżująca. Jeden przyznał, że z dziewczyną („lochą”) nigdy w życiu nie rozmawiał dłużej niż minutę. Inny w ostatniej chwili odwołał spotkanie. „Ostatni raz spotkałem się z osobą spoza rodziny, która nie była moją fryzjerką, w maju 2019 roku.(...) Nie dam rady się przemóc, wybaczyć” – napisał.

Fakt, że bohaterowie „Przegrywa” są przez autorki traktowani podmiotowo, sprawia, że utrwalona w mediach narracja dotycząca inceli zaczyna się chwiać. Bezobowojnych, abstrakcyjnych użytkowników forów łatwo jest traktować jako toksyczne potwory, a ich niezdolność nawiązania romantycznych relacji rzucić na karb nie-realistycznych wymagań czy zahamowań, nad którymi wystarczyłoby popracować. Herzyk i Wieczorkiewicz pokazują, jak powierzchowna jest ta diagnoza.

Weźmy Mateusza: urodził się z obustronnym rozszczepem wargi i podniebienia, w ciągu 20 lat życia przeszedł kilkanaście operacji. Ma też niedosłuch i krótkowzroczność, brakuje mu kilku przednich zębów. Jego ojciec był alkoholikiem. Kiedy miał 14 lat, matka zabrała dzieci i wyprowadziła się do swojego rodzinnego domu, gdzie Mateusz dzieli pokój z bratem. Dzieciństwo spędził w ekstremalnym ubóstwie, dziś pracuje za pensję minimalną jako parkingowy.

Inny bohater, Sam, jest wcześniakiem urodzonym trzy miesiące przed terminem, od dzieciństwa dużo chorował. Ojciec, fanatyczny katolik, terroryzował i bił rodzinę, po jego śmierci rolę tę przejął starszy brat Sama. W gimnazjum chłopak zaczął cierpieć na zaburzenia odżywiania, w wieku 18 lat zdiagnozowano u niego schizofrenię paranoidalną. Do matury nie podszedł. Kolejnych dziesięć lat życia spędził nie wychodząc z domu, przed komputerem. Jego sytuacja minimalnie się poprawiła, gdy zmienił leki i trafił na psycholożkę, pomagającą osobom w potrzebie charytatywnie. Nadal jednak spędza większość czasu samotnie. Mieszka w domu rodzinnym – nigdy nie pracował, utrzymuje się z renty, poza tym opiekuje się schorowaną matką.

To wcale nie najcięższe z historii w „Przegrywie”. Wystarczy, by przekonać się, że radzenie „przegrywom” by po prostu się przełamali i wyszli do ludzi jest równie sensowne, co mówienie ludziom w depresji, by poszli pobiegać. Wielu rozmówców Herzyk i Wieczorkiewicz ma zresztą zdiagnozowaną depresję, zaburzenia osobowości, fobię społeczną. Kilku jest na spektrum autyzmu. Wielu wychowywało się w biedzie, często doświadczali przemocy w domu, wyśmiewania i nękania w szkole. Dla tych, którzy odważyli się spróbować „wyjście do ludzi” często kończyło się odrzuceniem.

Większość bohaterów książki pragnie bliskości. Nie tylko seksualnej – niektórzy chcieliby mieć kogoś, do kogo mogą się przytulić, szczerze porozmawiać. Ale nawet teoretycznie bezpieczne przestrzenie są dla nich polem minowym. Sam korzysta z grupy wsparcia dla osób po kryzysach psychicznych, ale nawet tam czuje, że odstaje od reszty. – Wszyscy tam mają problemy psychiczne, ale osób, które nigdy nie uprawiały seksu, jest niewiele. Niektórzy przychodzą do świetlicy parami i widzę, jak się całują. To boli. Tylko wśród inceli mogą być w pełni sobą – tłumaczy autorkom „Przegrywu”. Gdy Samowi udaje się poznać w świetlicy dziewczynę, inny bohater książki zwraca się do lokalnego MOPS-u, pytając o podobne miejsce. Słyszy, że w jego powiecie ich nie ma.

Samotność to pułapka: im dłużej trwa, tym trudniej się z niej wydostać. Kiedy jakaś dziewczyna okazuje któremuś z bohaterów elementarną ludzką życzliwość, ten nie wie,

co z nią robić. Zakochuje się bez wzajemności, za to z intensywnością nastolatka albo zrywa kontakt. „Przegrywy” wstydzą się braku relacji, co paraliżuje ich jeszcze bardziej. O czym ma rozmawiać z drugą osobą ktoś, kto od lat nie wychodzi z domu, niczym się nie interesuje, nie potrafi się na niczym skupić i nie ma wykształcenia? – pytają.

Jedynym miejscem, w którym czują się swobodnie, są internetowe fora i grupy dla inceli. Obok zrozumienia oferują czarny humor, pochwałę przemocy, mowę nienawiści i wścieklą mizoginię.

Czy da się ocieplić incela?

Bohaterowie „Przegrywa” nie są od niej wolni, a Herzyk i Wieczorkiewicz tego nie ukrywają. Grupa, z którą rozmawiały, liczy kilkanaście osób. Trudno ją uznać za reprezentatywną: jej moderatorzy odcinają się od najbardziej mizoginistycznych, nawołujących do nienawiści treści, użytkownicy zgodzili się na obecność dziennikarek w ich internetowym świecie, z czasem niektórzy zaczęli im się zwierzać. Traktują je bez pogardy, co w świecie inceli nie jest wcale oczywiste. A mimo to zderzenie z ich poglądami bywa szokujące.

Piasqun wita dziennikarkę stwierdzeniem, że powinno się je „jechać prądem”. Lubuje się w oglądaniu egzekucji i samobójstw. Z entuzjazmem wita przejście władzy w Afganistanie przez talibów, bo „lochy przestaną się puszczać”. Gardzi Polkami uprawiającymi seks z mężczyznami o innym niż biały kolorze skóry.

Polaryzujące treści dla młodych kobiet, nawet nie najmądrzejsze, mają wydźwięk emancypacyjny, np. skupiający się na rozliczaniu krzywd ze strony patriarchy. Mężczyznom podsuwa się teorie spiskowe

Hauser głosuje na PiS, bo „docenia, że dopierdalają szmatom”. „Za piekło kobiet mają moje dozgonne poparcie. Sądownictwo i inne bzdety mam w chuju. Wyobraź sobie, że jakaś pólka cię olała, zostajesz starym prawikiem, a inny stary prawik wprowadza prawo, przez które ona musi urodzić takiego kalafiora, co nie może sam oddychać” – deklaruje.

Muchomor o Herzyk i Wieczorkiewicz mówi per „nasze dziewczęta”. O innych kobietach: „szmaty”.

Mateusz, ten, który pracuje jako parkingowy i dzieli pokój z bratem, jeszcze trzy lat temu pisał, że „szkolne strzelaniny powinny być częstsze. Odpowiedzialność zbiorowa. Niech się nauczają, czym się kończy gnębienie. Trzeba stworzyć atmosferę strachu”. Albo: „Z niecierpliwością czekam na pierwszy incelski zamach w Polsce. Pleć ofiar nie jest istotna. Trzeba celować w uprzywilejowanych, ładnych i dobrze ubranych”. Twierdzi, że od tego czasu jego poglądy złagodniały.

Autorki „Przegrywa” zajęły ryzykowną pozycję. Na incelskich forach czytały, że cynicznie wykorzystują ich nieszczęście i traktują ich jak zwierzęta w zoo. Od części feministek słyszały zaś, że przyczyniają się do obrony patriarchy, bo skupiają się na mężczyznach-sprawcach przemocy, zamiast na kobietach-ich ofiarach. I że działają jak adwokaci, którzy w sądzie przynajmniej owszem, zgwałcił i zamordował, ale miał ciężkie dzieciństwo, jest jeszcze młody, a wyrok zrukuje mu życie.

To zarzut chybiony, bo książka reporterska to nie sala sądowa. Nie chodzi w niej o wydanie wyroku ani o mówienie czytelnikowi, co ma o danym zjawisku myśleć, a o pokazanie jakiegoś wycinka rzeczywi-

stości, którą można spróbować zrozumieć. Również, jeśli powoduje to dyskomfort – jak wtedy, gdy osoba, której właśnie zaczęliśmy współczuć, zaczyna głosić poglądy niemożliwe do zaakceptowania.

Nawet najtrudniejsza sytuacja osobista nie usprawiedliwia nękania kobiet czy grożenia gwałtem, nie mówiąc już o atakach terrorystycznych. Ale bez zrozumienia, skąd bierze się męska wściekłość, nie da się tym atakom zaradzić. Mizoginistyczna przemoc sama z siebie nie zniknie. A nic nie wskazuje, by w najbliższym czasie rozdźwięk między kobietami i mężczyznami miał się zmniejszać. Nie chodzi tylko o rozbieżny światopogląd. O „luce edukacyjnej” między chłopcami i dziewczynkami mówiła ostatnio wiceministra edukacji, Katarzyna Lubnauer.

Na tej samej konferencji Michał Guleczyński, doktorant Uniwersytetu Bocconiego w Mediolanie i współzałożyciel Stowarzyszenia na rzecz Chłopców i Mężczyzn, wyliczał, że wyższe wykształcenie ma w Polsce 50,1 proc. kobiet i tylko 31,2 proc. mężczyzn. Sondaż przed poprzednimi wyborami wskazywał, że wśród mężczyzn z wykształceniem podstawowym singlami było 69 proc., wśród tych z wyższym – tylko 25 proc. To problem na wielu poziomach, również demograficznym. Kobiety niechętnie wiążą się z gorzej od siebie wykształconymi. Polska nie jest tu wyjątkiem.

Gorzej wykształconym mężczyznom jest trudniej nie tylko o partnerkę, ale też o do-

potencjalnie niebezpiecznych grup ekstremistycznych wymieniał radykalnych obrońców praw zwierząt, ekologów i przeciwników aborcji, ale nie mizoginów.

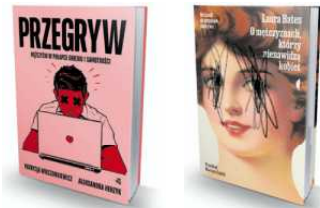
Jednym z powodów, dla których tak się dzieje, jest trudność definicyjna. W Ameryce radykalni mizogini często są zarazem zwolennikami skrajnej prawicy lub białymi suprematystami. We wszystkich krajach są grupą niejednorodną – skrajnie antykobiece poglądy głoszą zarówno incele, jak i chwylący się erotycznymi podbojami „artyści podryw”. Są wśród nich mężczyźni, którzy postanowili całkowicie zrezygnować z kontaktów z kobietami (co odbija się na kobietach, np. utrudniając im karierę zawodową) i tacy, którzy domagają się legalizacji gwałtów. Są wreszcie ci, którzy czują się samotni i skrzywdzeni oraz ci, którzy na tym poczuć cynicznie zarabiają.

Bo, co zauważają wszystkie autorki, za radykalizacją mężczyzn stoi też ogromny biznes: od wycenianych na tysiące dolarów kursów podrywu, przez podcasterów sprzedających swoje produkty, po incelskie autorytety wygłaszające gościnne wykłady i co miesiąc inkasujące sporą sumkę od zrzucających się na ich pensję patronów. Filmiki na YouTube, których autorzy instruuja, jak wyrzeźbić sobie szczękę, wydając miauczące odgłosy albo opukując twarz młotkiem, mają setki tysięcy wyświetleń, które bezpośrednio przekładają się na pieniądze z reklam.

Narzucanie nierealistycznych standardów piękna, by zarobić krocie na produk-

tach mających poprawić rzekome „wady” – kobiet doświadczają tego od dekad. I choć do dziś podlegają dużo bardziej opresywnym wymaganiom dotyczących wyglądu niż mężczyźni, to przynajmniej nauczyły się je podważać. Ruch feministyczny ma ponad sto lat, dyskusje o różnych modelach kobiecości i rolach płciowych toczą się w periodykach naukowych, w wysokonakładowej prasie i popkulturze. Dyskryminacja kobiet, nierówności w zarobkach czy przemoc ze względu na płeć wciąż są poważnymi problemami, ale są to przynajmniej problemy zidentyfikowane i nazwane.

Samotna nastolatka szukająca w sieci wsparcia, może trafić na instagramowe profile promujące ciałopozytywność, siostrzeństwo, empatię, walczące ze stereotypami. Nastolatek dowie się, że jeśli ma poniżej 180 cm i cienkie nadgarstki, umrze w samotności, bo jest ludzkim śmieciem, a jego koleżanki interesują tylko wysocy mięśniacy z kwadratową szczęką. I naprawdę powinno nas to martwić. ●



Aleksandra Herzyk, Patrycja Wieczorkiewicz, **„Przegryw: mężczyźni w pułapce gniewu i samotności”**, W.A.B, 2023
Laura Bates **„O mężczyznach, którzy nienawidzą kobiet. Od inceli do artystów podrywów”**, Czarne, 2024

Z ANTROPOLOŻKĄ **JULIA EBNER**
ROZMAWIA **MATEUSZ MAZZINI**

MATEUSZ MAZZINI: Z kim dzisiaj rozmawiam? Alex Williamson? Maria Petrova?

JULIA EBNER: Dzisiaj z Julią Ebner, ale doceniam pytanie.

To tylko niektóre z aliasów, którymi posługiwała się pani, badając radykalne grupy funkcjonujące w internecie – antyszczepionkowców, prawicowych radykałów, nawet islamskich ekstremistów. Trudno utrzymać tyle tożsamości jednocześnie?

– Nawet bardzo. Zwłaszcza kiedy musiałam szybko wyjść z jednej postaci i wejść w drugą. Kluczem do sukcesu takich badań jest wiarygodność, a żeby ją osiągnąć, musisz w całości oddać się postaci, którą kreujesz. Do dzisiaj zastanawiam się zresztą, ile z tych przybranych tożsamości zostało ze mną na stałe. One bardzo wpłynęły na moje rozumienie społeczności radykalnych.

Żeby takich ludzi zrozumieć naprawdę, musisz się wykazać minimalną chociaż empatią. Spróbować odpowiedzieć sobie, skąd się wzięły ich poglądy. A dokładnie – co ich boli. Z czym się nie zgadzają. Czasem to problemy wymyślone, a czasem bardzo realne. Ale mnie najbardziej interesuje ich droga do radykalizacji. Co się dzieje w ich umysłach, że przyjmują ideologie niebezpieczne, agresywne, legitymizujące przemoc. I to było najtrudniejsze w żonglerce tożsamościami – że nigdy nie mogłam wyjść z wykreowanej postaci i zainteresować, ostrzec ich, że idą w złym kierunku.

Obserwowanie procesu radykalizacji jest szczególnie trudne, kiedy widzi się osoby nieletnie. Mnie zdarzyło się to wielokrotnie, patrzyłam na nastolatków, którzy stawiali się agresywnymi nacjonalistami. Podobnie było z incelami, mizoginami, grupami męskimi – wielokrotnie czytałam wpisy ludzi fantazjujących o samobójstwie. Nieraz bardzo konkretnie, ze szczegółami wybranej metody, a inni członkowie tej społeczności jeszcze ich zachęcali do samobójstwa na forum. Obserwacja dynamiki tych procesów naprawdę wykańczała psychicznie.

Ani razu nie przerwała pani tej gry? Nie wyskoczyła z przebrania, nie zainteresowała?

– Jeśli miałam do czynienia z oczywistym planem zamachu terrorystycznego czy nawet cyberataku, zawsze przekazywałam te informacje właściwym organom. W innych przypadkach byłoby to raczej kontrproduktywne, bo nie jestem profesjonalną psycholożką, poza tym ludzie, którzy są już na ścieżce radykalizacji, często nie chcą nawet podejmować dialogu, więc ściąganie ich z tej drogi prowadzi do odwrotnych efektów.

Różnego rodzaju radykałami zajmuje się pani od dekady. W Europie – narodowy populizm. W Stanach – Trump i jego pochwała przemocy. Bojówki, organizacje paramilitarne, atak na Kapitol. Miała pani co robić. Kiedy dotarło do pani, że to globalny trend, a nie osobne przypadki?

– Gdy nastąpiła pandemia i zaczął się lockdown. Wtedy QAnon, najważniejsza prawicowa grupa radykalna w USA, wywodząca się całkowicie z teorii spiskowych, zaczęła mieć prawdziwie globalny wpływ na rzeczywistość. Ludzie z tego ruchu organizowali masowe protesty, które zawierały hasła ludzko podobne do klasycznych ruchów antyestablishmentowych.

QAnon może się wydawać specyficznie amerykański, ale ich slogany pojawiały się w Australii, Nowej Zelandii, Europie, nawet na protestach w Rwandzie. Wszędzie tam zaczynały pączkować grupy, które atakowały instytucje demokratyczne i samą demokrację jako ustrój. Z jednej strony powtarzały amerykańskie narracje, z drugiej – były wpasowane w lokalny kontekst, z trzeciej – miały podobne strategie. Niech pan spojrzy: w USA był szturm na Kapitol, w Niemczech próbowano zaatakować Reichstag,

ZROZUMIAŁAM MĘŻCZYZN, KTÓRZY NIENAWIDZĄ KOBIET

Żeby zrozumieć radykała, musisz wykazać się minimalną empatią

w Nowej Zelandii, uznawanej za sukces pandemicznego zarządzania kryzysowego, był plan ataku na budynek parlamentu.

Jeśli się te puzzle rozsypie i popatrzy na nie z wysoka, widać, że są podobne, czasami identyczne. Wtedy wiesz, że to nie przypadek, tylko trend.

Tylko jak to się stało, że te ruchy i ich narracje weszły do głównego nurtu polityki? Że na przykład absurdałna historia o handlowaniu dziećmi w celach seksualnych przez waszyngtońską elitę, która 30 czy 60 lat temu ograniczałaby się do czasopism żerujących na spiskowo-maniakalnym typie osobowości w rodzaju „National Enquirer”, gdzie sąsiadowałyby z reportażami o kosmitach, nagle jest wyznawana przez 20 proc. Amerykanów, w tym członków Kongresu?

– To dobre pytanie, które dla mnie było punktem wyjścia. Patrzyłam na atak na Kapitol 6 stycznia i zastanawiałam się, jakim cudem biorą w nim udział przeciętni Amerykanie, zwykli ludzie, jakich spotykasz w barze, w pralni, na szkolnym parkingu. Jakim cudem – co wynika z badań University of Chicago – ten absurdałny szturm popierało 10 mln osób!

To ten trend, o którym mówiłam wcześniej, widoczny w badaniach, sondażach, we wszystkim, co mierzalne. Teorie spiskowe są coraz bardziej wpływowe w społeczeństwach demokratycznych, bo wierzą w nie grupy tak liczne, że stają się znaczące z punktu widzenia polityki krajowej. Kiedy oni są już widoczni, mają przełożenie na wyniki wyborów, zaczynają się nimi interesować partie głównego nurtu – bo to lakomny kasek, nowy elektorat.

Moim zdaniem jesteśmy w dość unikatowym momencie historycznym, w którym zmagamy się z nagromadzeniem kilku kryzysów jednocześnie, powiązanych ze sobą i nawzajem się napędzających. Globalny kryzys zdrowia publicznego w pandemii ledwo się zakończył, a wybuchła wojna w Ukrainie, która jest przecież dla Europy fundamentalnym kryzysem bezpieczeństwa. W następstwie ich obu, od razu i płynnie przechodząc jeden w drugi, przyszły kryzysy natury gospodarczej – inflacyjny i energetyczny. A wszystko się spleta z gigantyczną rewolucją technologiczną mediów społecznościowych i sztucznej inteligencji.

Te procesy razem wzięte zmieniają rzecz jasną społeczeństwa i polityki, ale w krótkiej, doraźnej perspektywie po prostu pozwalają na prowadzenie szybkich, skutecznych kampanii.

W jakim sensie? Nowych narzędzi manipulacji?

– Nawet nie. Po prostu takie nagromadzenie kryzysów ma potężny potencjał mobilizacyj-

ny. Już wcześniej się zdarzało, że po przełomie technologicznym następował wzrost ekstremizmu – gdyby nie telewizja, obsesja antykomunistyczna, choć uzasadniona zimną wojną i realnymi zakusami Stalina, nie rozlałyby się tak po Ameryce, a globalizacja lat 90., nowe nośniki wideo, upowszechnienie się telewizji satelitarnej i telefonów komórkowych umożliwiły rozpowszechnienie terroryzmu islamskiego właściwie na cały świat.

Teraz to się dzieje na większą skalę, bo jesteśmy bardziej połączeni, przekazujemy sobie błyskawicznie informacje, nie bardzo mając czas się zastanowić nad ich treścią.

Profiluje pani też postaci, które kiedyś były w środku politycznego spektrum, a potem przesunęły się nagle ku ekstremum. I lewicowemu, i prawicowemu. Co sprawia, że pojedynczy obywatel staje się radykałem?

– Dziesiątki razy sama sobie zadawałam to pytanie, bo zjawisko dzieje się w wielu miejscach jednocześnie. Weźmy północ Francji, region tradycyjnie socjalistyczny, gdzie sporo osób miało poglądy otwarcie komunistyczne, a teraz cała masa ludzi, często tych samych, głośnie na Marine Le Pen. Niemcy mają ten sam problem, duża część lewicowego elektoratu popiera AfD.

Jedną z kluczowych przyczyn jest brak zaufania do instytucji, zwłaszcza do mediów. On zawsze istniał wśród radykałów lewicowych i prawicowych, ale nigdy nie był tak silny. Wszędzie słyszę to samo od ludzi – tradycyjne media, instytucje finansowe, bliżej nieokreślone globalne elity są winne moich nieszczęść.

Znowu wrócę do pandemii, bo wtedy te nastroje się bardzo wzmocniły.

Dlaczego właśnie wtedy?

– Bo za pośrednictwem mediów społecznościowych pandemia wywlokła do przestrzeni publicznej lub spotęgowała tematy, które gdzieś po cichu już wybrzmiewały. Na lewicy istniały nurty krytyki czy sceptycyzmu wobec firm farmaceutycznych, a teorie spiskowe o szczepionkach nadały im powagę, legitymizację. W podobny sposób ludzie zrzucali na beneficjentów globalizacji winę za ich niepowodzenia, a dzięki teoriom spiskowym to nabrało ekstremalnych form.

To, co często ucieka w dyskursie publicznym, to pytanie, kto jest adresatem tych opowieści.

Intuicyjnie powiem, że szeroko rozumiani wykluczeni. Materialnie, tożsamościowo, technologicznie zapomniani wyborcy.

– Niekoniecznie. Jest całe mnóstwo grup w tej publiczności, do których trafiają teorie spiskowe. To samo może się okazać prawdą dla antyszczepionkowców, zwolenników alter-

• **Czerwiec 2023, wyznawcy Qanon na wiecu poparcia dla Trumpa w Miami** FOT. STEPHANIE KEITH/GETTY IMAGES



natywnej medycyny i ludzi, którzy uprawiają bardzo dużo jogi na zaawansowanym poziomie. Taka narracja będzie oparta na tych samych filarach: wróć do korzeni, miej kontakt tylko z tym, co naturalne, wsłuchaj się w siebie. Na podstawowym poziomie to niegroźne, ale jeśli **jakakolwiek skrajna grupa** zacznie to uzbrajać, dodawać elementy antydemokratyczne, tak jak w pandemii – robi się niebezpiecznie.

Na początku szuka się najmniejszego wspólnego mianownika, na przykład w QAnon opowiada się o jakichś tragediach dzieci, walce z dewiacjami – to atrakcyjne i zrozumiałe dla ludzi nawet z politycznego centrum. **Następnie dodaje się antysemickie echo, a potem...**

Wychodzi na to, że dziś w procesie radykalizacji kluczowe jest tworzenie lub odwołanie się do tożsamości.

– Najciekawsze jest to, że w wielu przypadkach tożsamość nadana czy też wynikająca z bycia w grupie ekstremistów zastępuje pierwotną, z którą ktoś do tej grupy wchodzi. To, kim jesteś, staje się tożsame z tym, do jakiej zbiorowości przynależysz. W psychologii to się nazywa fuzją tożsamości, bardzo często występuje zwłaszcza w grupach, które normalizują przemoc, **albo w sektach**. Potem prowadzi często do poświęcenia fizycznego, zamachów samobójczych.

Kim muszę być w punkcie wyjścia, żeby skończyć jako jedność z moją radykalną grupą? Starczy, że wejdę na 4Chana czy Reddita, znajdę ludzi mówiących językiem moich frustracji?

– W pewnym sensie tak, ale badania pokazują, że fuzję tożsamości często wywołuje wspólnota negatywnych doświadczeń wśród członków grupy. To może być cokolwiek, co ktoś uzna za złe. Trauma, pogorszenie się statusu materialnego, nawet jeśli tylko relatywne, utrata bezpieczeństwa, ale też strach przed czymś, co jeszcze się nie stało: przed dyskryminacją, utratą pracy, przed czymś trudnym, co nas czeka.

Przy powszechności mediów społecznościowych potencjał na radykalizację takich ludzi jest ogromny. Oczywiście, ktoś po-



wie, że to wspaniale, że istnieje przestrzeń, gdzie można się podzielić lękami, ale niestety znacznie częściej ma to negatywne skutki, bo rozwija się toksyczna dynamika w grupie.

To niech mnie pani przeprowadzi przez taki proces krok po kroku. Najpierw jestem sfrustrowanym chłopakiem bez dziewczyny, który wchodzi na forum, a potem morduję kilkanaście osób w synagodze. Co dzieje się pomiędzy?

– Są strategiczne działania prowadzone przez grupy ekstremistów, szeroko zakrojone, mają na celu zmanipulowanie poglądów przeciętnego internauty – na przykład przed ważnymi wyborami w danym kraju. Ale równolegle toczy się cała masa procesów, które radykalizują ludzi organicznie. Coraz więcej osób dołącza do ruchów ekstremistycznych za pośrednictwem mniejszych, mniej znanych platform społecznościowych, na przykład Telegrama. To miejsca, które się reklamują jako przestrzeń prawdziwej wolności słowa, ale radykałom pozwala się tam na szerzenie ich przekazu, w tym mowy nienawiści.

No i kłania się stara prawda, że żyjemy w coraz bardziej zindywidualizowanych, zatomizowanych społecznościach. A że mamy potrzebę przynależności, szukamy jakichś zbiorowych tożsamości, coraz częściej w sieci. A tam grupy ekstremistyczne taką tożsamość szybko są w stanie zaorować.

To weźmy kolejny mit, z którym się pani rozprawia – że do takich ruchów dołączają tylko ludzie niezamożni i słabo wykształceni. Kilka lat temu socjologzy z PAN analizowali uczestników Marszu Niepodległości. Wyszło, że mediana ich zarobków jest wyższa od średniej krajowej, a 62 proc. miało wyższe wykształcenie. Klasa średnia też się teraz radykalizuje?

– Oczywiście! Bo nie chodzi o to, ile kto ma, tylko jak bardzo się boi, że straci. Dlatego słowo „relatywny” jest kluczowe. Kiedy spotykałam się z ludźmi o całkiem wysokim statusie majątkowym, którzy potem się radykalizowali, słyszałam obawy, że stracą to, co mają

– ale rzadko mówili, o co dokładnie im chodzi. To może być cokolwiek. Pieniądze, przywilej finansowy, perspektywa znalezienia pracy w przyszłości, a nawet szansa na znalezienie partnera czy partnerki.

Ja się już w tym chyba gubię. Z tego, co pani mówi, wynika, że sprzeczne frustracje czy problemy nakładają się na siebie, a nawet ewoluują w coś całkowicie odrębnego. Oczywiście wyobraźni widzę radykałów wywodzących się z fundamentalizmu katolickiego, którzy idą pod rękę z najbardziej wojowniczymi, zaangażowanymi gejami i lesbijkami przeciwko establishmentowi albo przeciwko „nowym” Europejczykom, tym o korzeniach afrykańskich czy bliskowschodnich. Jesteśmy świadkami powstawania nowych ideologii?

– Jeszcze za wcześnie, żeby oceniać, ale dobrą metaforą jest bar salatkowy. Dziś ludzie – i tak, wiem, że to teoretycznie kłóci się z potrzebą przynależności do jakiejś grupy – wybierają sobie elementy poszczególnych idei, w zależności od momentu czy tego, co im pasuje. A ten mechanizm wzmacnia aplikacje i komunikatory, w których użytkownik sam dokonuje selekcji treści. Swojego Instagrama czy Telegrama możesz tak ustawić, żeby zaspokoilił twoje potrzeby ideologiczne.

Ale faktycznie, coraz częściej dochodzi do fuzji, które niedawno wydawały się niemożliwe lub absurdalne. Mizogini, incele zbliżają się do nacjonalistów, a nacjonaści do sceptyków klimatycznych. Więc jeśli nie-

nawidzisz kobiet, są spore szanse, że przy okazji nie wierzysz w ocieplenie klimatu i nienawidzisz muzułmańskich imigrantów. Inna zbitka, która rośnie w siłę, to związek antyszczepionkowców z ludźmi powielającymi propagandę Putina.

To reakcja łańcuchowa. Zaczynasz od jednej z tych rzeczy, potem dodajesz sobie kolejne. I Trump, i niektóre skrajnie prawicowe partie w Europie doskonale wykorzystują te fuzje, nawet jeśli na początku występują w nich sprzeczności. Taka AfD to partia, która po prostu chce być w opozycji do wszystkiego. Niemcy nagle popierają Ukrainę – AfD mówi językiem Putina. Wszystkie partie zgadzają się co do zasad lockdownu – AfD krzyczy, żeby się nie szczepić. To samo z migracją, prawami osób transseksualnych, każdym tematem, który ma potencjał polaryzacyjny. I oni świetnie sobie radzą w jednoczeniu tych pozornie różnych grup elektoratu, które czują się poszkodowane w pojedynczych obszarach.

Czy to już zostanie na stałe? Będziemy mieli teraz poważne – w sensie: liczące się – partie polityczne, które po prostu przedstawiają alternatywną, nieprawdziwą rzeczywistość?

– Oczywiście. Już przecież mamy. USA to klasyczny przykład, do pewnego stopnia w Polsce było podobnie, widzę to zjawisko w Wielkiej Brytanii. W większości państw europejskich partie konserwatywne przesuwają się coraz bardziej na prawo, żeby zagospodarować elektorat ekstremistyczny. To ma bardzo

konkretny skutek – normalizację takich poglądów. Jeśli poważne ugrupowanie zaczyna mówić językiem ekstremistów, to ten język zyskuje legitymizację. Przestaje być głosem marginesu, staje się zwykłą częścią debaty.

Wasz PiS czy Konfederacja, torysi na Wyspach, Republikanie w USA – kształtuje się międzynarodówka odwrótu od praw człowieka.

Jaka jest w tym rola religii? Wśród amerykańskich badaczy dość powszechny jest pogląd, że radykalny zwrot Republikańców był możliwy dzięki upolitycznieniu Kościołów protestanckich na Południu. Putin wykorzystuje cerkiew, w Polsce PiS korzystał z biskupów jak z marionetek.

– To jest ważne tylko w bardzo religijnych częściach społeczeństwa. Przy czym akurat skrajna prawica pod względem religii jest podzielona. Z jednej strony istnieją środowiska ultra-sekularne, libertarianie, które z wiarą nie mają nic wspólnego, z drugiej – fundamentaliści, paleokonserwatyści, grupy oparte na strukturach kościelnych.

Problem w tym, że mimo różnic oni coraz częściej potrafią się dogadać. To sojusze taktyczne, ale obie strony widzą w nich wartość strategiczną, więc je pielęgnują. Co wskazuje, że ten ich fundamentalizm nie jest taki serio, skoro przechodzą do porządku dziennego nad grzechami partnerów.

A mężczyźni? Nie mogę o to nie zapytać. Pani ma syna, ja jestem mężczyzną, żyjemy w świecie, w którym Trump wychodzi na mównicę i mówi, że „dzisiaj bardzo trudno być mężczyzną” – i trochę racji ma. Jednocześnie pani dość głęboko weszła w społeczność inceli, opisała przerażającą nienawiść w ogóle do progresu społecznego, nie tylko do kobiet. Czy ten ruch ma potencjał przerodzić się w siłę pełną przemocy wobec całego społeczeństwa?

– Na pewno. Tym łatwiej, że w radykalnej manosferze nienawiść nie dotyczy tylko kobiet. Oni nienawidzą też atrakcyjnych mężczyzn, co ułatwia przeniesienie nienawiści na całe szeroko rozumiane środowisko liberalne. Dobrym przykładem jest Elliot Rodger, który w 2014 r. zabił sześć osób w Isla Vista w Kalifornii. Jeśli przeanalizuje się jego aktywność w internecie, nagrania wideo, teksty, widać, że on zasadniczo nienawidził całej ludzkości. Chciał wziąć odwet, na kimkolwiek.

Już połowa brytyjskich mężczyzn pomiędzy 16. a 24. rokiem życia uważa, że feminizm posunął się za daleko. Skąd u facetów tak negatywny odbiór feminizmu? To tylko strach o utratę przywileju czy jednak argumenty Jordana Petersona o męskim wykluczeniu mają w sobie trochę prawdy?

– To bardzo ciekawe zjawisko nie tylko w kontekście mężczyzn. Nawet w moim najbliższym otoczeniu, również wśród przyjaciółek, sporo kobiet nie nazwałoby się feministkami. Są liberalne lub lewicowe, mają progresywne poglądy, ale nie użyją słowa „feminizm”, przynajmniej publicznie, bo dzisiaj to słowo o bardzo negatywnych konotacjach, kojarzące się z zacietrzewieniem, uproszczonymi diagnozami, wręcz nienawiścią wobec mężczyzn. Rzecz jasna feminizm to walka o równość szans, a nie o przewagę jednej z płci, lecz prawdziwe znaczenie tego pojęcia zgubiło się w wojnie kulturowej.

A jednocześnie liczni mężczyźni i bez feminizmu czują się niepotrzebni, bo redukują się obszary, za które ponosili odpowiedzialność, a więc czerpali stamtąd dumę, spełnienie, satysfakcję. Jako społeczeństwo nie znaleźliśmy sposobu, żeby pokazać mężczyznom, gdzie i jak mogą się poczuć komfortowo ani jak mają to robić – a tempo zmian jest potężne. Nigdy wcześniej w dziejach nie doszliśmy do momentu, w którym na masową, światową skalę można powiedzieć: nie musisz być głównym żywicielem rodziny. No to co dzisiaj definiuje męskość? Albo – z czego dzisiaj mężczyzna może być

Problem w tym, że libertarianie, chrześcijańscy fundamentaliści i paleokonserwatyści nauczyli się dogadywać

1 RP

Adam Michnik poleca Polska w polityce historycznej Litwy

Całkiem dobre to polskie jedzenie

Jak Litwini przekonali się, że Warszawa nie jest tylko stacją benzynową w drodze z Wilna do Berlina

Alvydas Nikžentaitis

Dwudziestego szóstego kwietnia Litwa i Polska obchodziły 30. rocznicę podpisania traktatu o przyjaźni i dobrosąsiedzkiej współpracy. Warto przyjrzeć się jego wpływowi na stosunki między oboma krajami przez pryzmat polityki historycznej.

Powszechnie wiadomo, że polityka historyczna jest jednym z miękkich instrumentów polityki zagranicznej, takim, który często wywiera silniejszy wpływ niż tradycyjne instrumenty dyplomacji.

Według teoretyków musi uwzględniać przeważające w społeczeństwie postawy w danej kwestii. Podejście to zakłada, że decyzje polityczne dotyczące przeszłości muszą najpierw zostać przedyskutowane w społeczeństwie, a potem podjęte w świetle dominujących postaw.

Z drugiej strony odważna polityka nie może się obawiać decyzji, które łamią pewne stereotypy dominujące w społeczeństwie, jeśli są one anachroniczne i utrudniają postęp.

Przeanalizujmy z tego punktu widzenia politykę historyczną Litwy wobec Polski w latach 1991-2024.

Jeśli spojrzymy na dominujące w odrodzonym po proklamowaniu Aktu niepodległości w 1990 r. państwie litewskim stereotypy Polaków i Polski, możemy zaobserwować zdecydowanie negatywne nastawienie dużej części społeczeństwa do Polaków, także do polskiej mniejszości na Litwie.

Podobnie jak w międzywojniu w społeczeństwie litewskim występował wręcz świadomy brak zainteresowania Polską. Dla wielu Litwinów Polska była jak stacja benzynowa – postój na niej był przykrą koniecznością w drodze do Berlina. Polskie towary były postrzegane jako synonim niskiej jakości, zwłaszcza polska żywność.

Oprócz tych negatywnych codziennych stereotypów rozpoznawany był obraz agresywnego państwa polskiego marzącego o odebraniu Litwie Wilna. Działania tych Polaków na Litwie, którzy dążyli do autonomii politycznej na Wileńszczyźnie, były postrzegane jako potwierdzenie takich postaw. Przeciwnie takim dążeniom wypowiedzi przedstawicieli demokratycznych władz polskich były albo ignorowane, albo traktowane jako zwykła demagogia.

Takie postawy społeczne miały bezpośredni wpływ na litewską politykę zagraniczną. Jej twórcy uważali, że w stosunkach z Polską Litwa nigdy nie będzie w stanie przezwyciężyć traum z pierwszej połowy XX wieku, dlatego też

jej strategicznym partnerem w regionie powinna być Białoruś.

Stąd też wziął się minimalistyczny cel – neutralizacja „polskiego imperializmu” przez dążenie do uznania okupacji Wilna [zajęcia go przez Polskę w 1920 r.]. Zarazem celem było dążenie do zapewnienia sobie jeśli nie poparcia państwa polskiego, to przynajmniej jego neutralności w konflikcie między litewskimi strukturami państwowymi a mniejszością polską. Takie nadzieje wiązano przede wszystkim z planowanym traktatem między Litwą a Polską.

Wiadomość o przygotowaniu traktatu dała również impuls do nowej publicznej debaty na temat przeszłości. Koncentrowała się ona wokół działalności Armii Krajowej na Litwie i jej konfliktów z Litwinami. Te wydarzenia historyczne były również postrzegane przez pryzmat prób przyłączenia Wilna do Polski po zakończeniu II wojny światowej. Władze litewskie nie starały się wpływać na takie debaty, a nawet w pewien sposób je wspierały – dowodem takie-

skich nazwisk? Choć oficjalnie twierdzi się, że taki zapis mógłby być sprzeczny z ustawą o języku litewskim, w rzeczywistości stały za nim stereotypy historyczne. Zdaniem wielu pozwolenie litewskim Polakom na zapisywanie nazwisk w oryginalnej formie byłoby pierwszym ustępstwem, a potem stałaby na porządku dziennym kwestia autonomii politycznej polskiej Wileńszczyzny.

Zatem można stwierdzić, że po podpisaniu umowy z 1994 r. strona litewska mogła nie być przygotowana do realizacji wszystkich jej postanowień. Zarazem społeczeństwo nie było gotowe do rozwiązania problemu nazwisk. Tę pracę na Litwie udało się wykonać w ramach polityki historycznej.

Lata 1991-2004 to czas biernej polityki historycznej. Co prawda strona polska zainicjowała utworzenie dwustronnej komisji ds. podręczników historii (1998). Na uwagę zasługują też znakomite, choć przed-

ocen Polski. Nie przypadkiem po podpisaniu traktatu (w 1997 r.) coraz głośniej zaczęto mówić o strategicznym partnerstwie. Ten kontekst polityczny wpłynął na politykę historyczną Litwy.

Oto kilka przykładów inicjatyw podejmowanych w ramach owej polityki od 2004 r.

- Pojednanie weteranów AK i Litewskiego Korpusu Lokalnego Povilasa Plechavičiusa w 2004 r., zainicjowane przez prezydenta Adamkusa; doszło do niego w Pałacu Prezydenckim Republiki Litewskiej. (Litewski Korpus Lokalny – paramilitarna organizacja założona we współpracy z III Rzeszą przez gen. Povilasa Plechavičiusa 16 lutego 1944 r.; celem było przywrócenie państwowości litewskiej i obrona jej granic).

- 3 maja 2008 r. z inicjatywy posłów Sejmu Republiki Litewskiej rozpoczęła się najdłuższa historyczna debata polityczna od czasu odzyskania niepodległości. Dzień upamiętnienia Konstytucji 3 ma-

Prezydent Adamkus w 2009 r.: Być może unia lubelska nie była zła, jak nas uczono w szkole

go wsparcia jest wydana w imieniu państwa litewskiego decyzja uznająca AK za organizację przestępczą.

W 1994 r. debatę zakończyło podpisanie traktatu między Litwą a Polską. Dzięki salomonowej i niekonwencjonalnej decyzji o uznaniu Wilna za stolicę Republiki Litewskiej, a Warszawy za stolicę Rzeczypospolitej Polskiej, strona litewska mogła być usatysfakcjonowana. Choć nie doszło do polskich przeprosin za rok 1920, Polska uznała, choć pośrednio, że Wilno jest integralną częścią państwa litewskiego. Stronie litewskiej wyraźnie nie podobał się zapis odsyłający kwestię pisowni polskich nazwisk do uregulowania w osobnej umowie między obu krajami, ale zapis ten dawał politykom czas.

Trzeba zwrócić uwagę na jeszcze jeden pośredni skutek traktatu. Politycy, zwłaszcza na Litwie, w przededniu jego podpisania zdawali się wyraźnie dostrzegać, że negatywne stereotypy Litwinów mogą stanowić poważny problem w polityce zagranicznej i wewnętrznej. Z tego powodu publicznie zadeklarowano pozostawienie debaty historycznej historykom. Stanowisko to przez dłuższy czas rzeczywiście obowiązywało.

W jaki sposób na Litwie inter-

ambasadora RP na Litwie prof. Jana Widackiego dotyczące upamiętnienia ofiar zbrodni Litwinów i Polaków w Gliniszczach (Gliūškės) i Dubinkach (Dubingiai). (Chodzi o mord na polskiej ludności cywilnej 20 czerwca 1944 r. we wsi Gliniszki, którego dokonali policjanci z 258. Litewskiego Batalionu Policji Samoobrony – zginęło co najmniej 27 cywilów – oraz o mord na litewskich cywilach dokonany 23 czerwca 1944 r. przez AK w odwecie za Gliniszki – zginęło od 20 do 27 osób z okolic wsi Dubinki).

Należy też wymienić wspólną inicjatywę prezydentów Valdas Adamkusa i Aleksandra Kwaśniewskiego, by upamiętnić najważniejsze święta narodowe na Litwie i w Polsce. Inicjatywa ta, niestety, nie została nagłośniona w mediach, choć symbolizowała szacunek, jakim litewscy i polscy przywódcy darzyli wzajemne tradycje, mimo że to właśnie po przywróceniu nowoczesnego państwa litewskiego i polskiego wybuchło najwięcej konfliktów w stosunkach dwustronnych.

W przezwyciężeniu stereotypów wyraźnie pomogły życziwa pomoc Polski, kiedy nasz kraj starał się o przystąpienie do Unii Europejskiej i NATO, oraz pogłębiające się konflikty z Rosją, zwłaszcza po pomarańczowej rewolucji na Ukrainie. Te okoliczności zmusiły stronę litewską do zrewidowania

ja i aktu Zaręczenia Wzajemnego Obojga Narodów został dodany do listy dni obchodzonych na Litwie i stał się ważną datą w kalendarzu świąt państwowych.

- W 2009 r. odbyły się pierwsze wspólne obchody rocznicy zawarcia unii lubelskiej z udziałem prezydentów Litwy i Polski w Lublinie; podczas nich prezydent Adamkus nieformalnie wyraził pogląd, że „być może unia nie była tak naprawdę zła, wbrew temu, czego uczono nas w szkole”. Te rewizje historyczne w znacznym stopniu przyczyniły się do rozbicia mitu „imperialistycznej Polski”, a jednocześnie w pełni zrehabilitowały Rzeczpospolitą Obojga Narodów w oczach litewskiego społeczeństwa.

- Wydarzenia z 2017 r., upamiętniające rocznicę urodzin Józefa Piłsudskiego, można uznać za czas, kiedy Litwinom udało się ostatecznie przezwyciężyć historyczne stereotypy związane z Polakami.

Po 2017 r. Litwa i Polska stały się drugim po Niemczech i Francji przykładem krajów, które przezwyciężyły pozornie niemożliwe do przezwyciężenia historyczne stereotypy i krzywdy z przeszłości.

Warto również wspomnieć o ustawie przyjętej przez litewski Sejm w 2022 r. Częściowo rozwiązała ona kwestię pisowni polskich nazwisk w oficjalnych dokumentach.

- Przezwyciężenie historycznych stereotypów zbiegło się z radykalną zmianą nastawienia opinii publicznej do Polski. Wystarczy wspomnieć, że ledwie dekadę temu Polska stała się krajem, który Litwini chętnie zaczęli odwiedzać, a polska żywność, wcześniej ciesząca się złą opinią, stała się towarem pożądanym. Na takie zmiany należy spojrzeć z szerszej perspektywy.

W szczególności uderzające są zmiany w sposobie, w jaki Litwini postrzegają Holokaust na Litwie. Była to kolejna historyczna plaga, której społeczeństwo zdawało się nie być w stanie przezwyciężyć. Jednak debata na temat książki Rūty Vanagaitė* o litewskim udziale w Holokauście, a w szczególności Marsz Życia w Malatach (Molėtai) w 2016 r., zainicjowany przez dramaturga Mariusa Ivaškevičiusa, pokazały, że również to tabu należy już do przeszłości. Zatem zmiana postaw wobec Polaków była też konsekwencją szerszej transformacji litewskiego społeczeństwa.

Można postawić hipotezę, że litewskie postawy wobec Polaków i Polski, a także wobec Żydów i Izraela po raz pierwszy po przywróceniu stosunków między państwowych zmieniały się niezależnie od stosunków międzypaństwowych. Stwarza to warunki dla pomyślnego rozwiązania nierozstrzygniętych kwestii, w szczególności tych dotyczących mniejszości polskiej. Te zmiany mentalne powinny zachęcić polityków do odważniejszych wyborów i usuwania ostatnich problemów w stosunkach z Polską. Jednocześnie stanowią podstawę do świętowania traktatu między Litwą i Polską jako wydarzenia, które przyczyniło się do transformacji litewskiego społeczeństwa w bardziej otwarte i skierowane ku przyszłości, a nie ku przeszłości.

przeł. Nikodem Szczygłowski

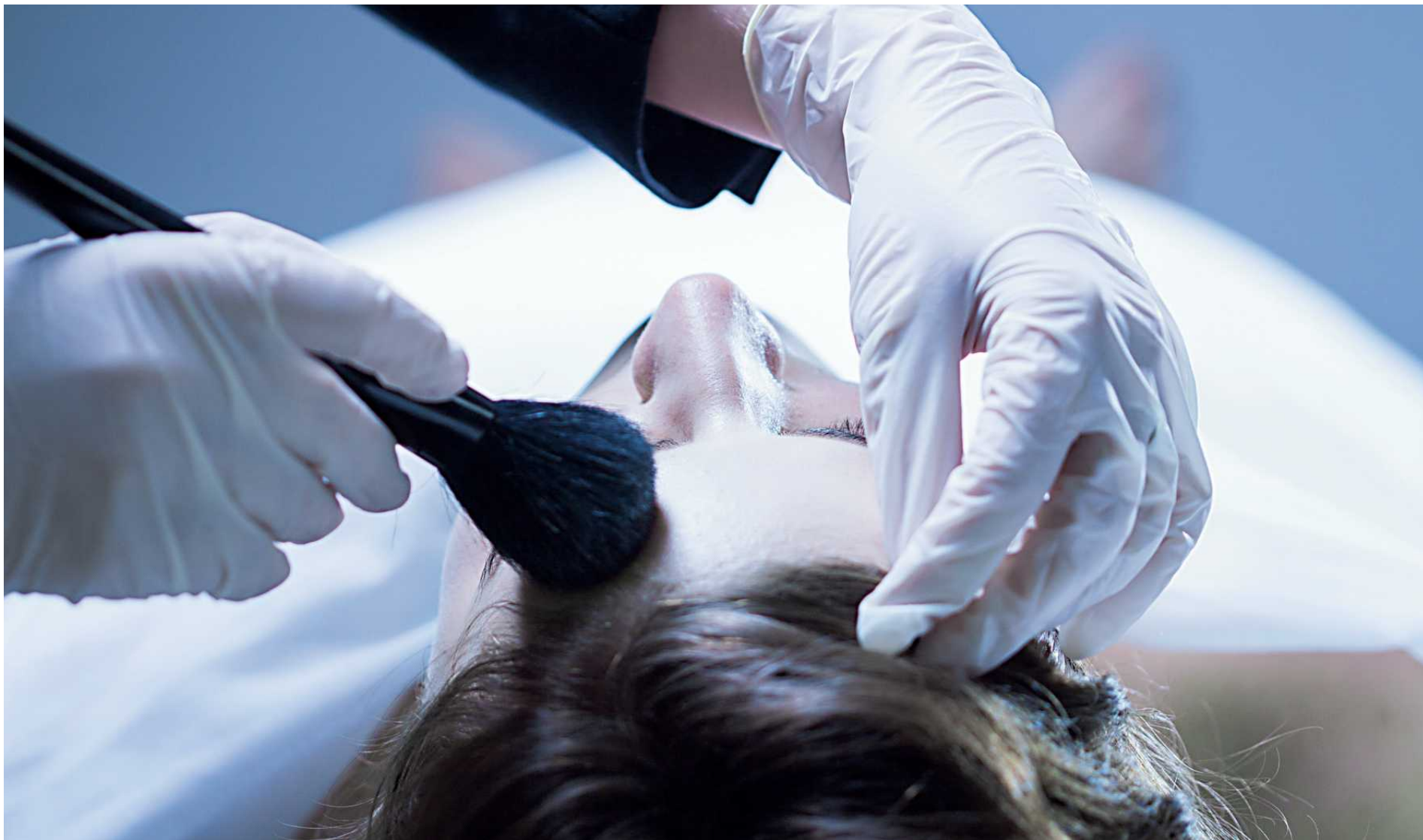
* Teatroložka, działaczka kulturalna, pisarka. W 2015 r. odbyła podróż z historykiem Efraimem Zuroffem śladami miejsc kaźni litewskich Żydów w czasie Holokaustu. Relację zawarła w książce „Mūsiškiai”, „Nasi”.



FOT. PIOTR MOLECKI/EAST NEWS

Alvydas Nikžentaitis

- ur. w 1961 r., znany litewski historyk. W latach 1993-98 kierował katedrą historii Uniwersytetu w Kłajpedzie, w latach 2000-08 był dyrektorem Instytutu Historii Litwy. Współtwórca i przewodniczący Polsko-Litewskiego Forum Dialogu i Współpracy im. Jerzego Giedroycia.



FOT. GETTY IMAGES



Z **MAŁGORZATĄ WĘGLARZ***,
AUTORKĄ KSIĄŻEK O BRANŻY
POGRZEBOWEJ ROZMAWIA **AGA KOZAK**

Wydawało mi się, że po „Sześciu stopach pod ziemią” nauczyliśmy się, czym jest przedsiębiorstwo pogrzebowe i czego można od niego wymagać, ale z twojej książki „Wszystko, co powinienś wiedzieć, zanim umrzesz. Tajemnice branży pogrzebowej” wynika, że nie bardzo
– Polskie realia są inne niż te z Hollywood, które lubi pokazywać, że za drzwiami zakładów pogrzebowych siedzą samotnicy, ludzie z sekretami, zaburzeni. Podobnie jest z przedstawianiem śmierci w filmach. Nawet „CSI” czy „Kości” przedstawiają zwłoki w mocno ode-rwany od rzeczywistości sposób.

To znaczy?

– Weźmy za przykład ciało wyłowione z wody po wielu dniach. Chyba każdy może sobie wyobrazić, że to nie będzie przyjemne. W filmach detektyw kuca nad nim, ogląda je, rozmawia ze współpracownikami, czasami delikatnie się wzdygnie. Policjanci mają wprawdzie metody, żeby móc znieść zapach: np. smarują się pod nosem silnym, pachnącym olejkami. To widać w „Milczeniu owiec”. Można jednak mnożyć sytuacje w filmach, w których ciało w pełnym rozkładzie nie wzbudza w śledczych obrzydzenia.

Boli mnie, jak widzę w filmach, że ktoś sobie wcina bulkę nad trupem.

Chodzi ci o to, że nie mamy do śmierci realistycznego podejścia?

– Pokazujemy albo lekką śmierć, gdzie heroína przepięknie umiera, z zamkniętymi oczami, ustami, jej ciało jest idealne, nawet po kilku dniach od zgonu. Albo brutalne lub nierealne sceny: trup sobie leży od tygodnia w upale, a jego matka czule głaszcze go po czoło – to tak nie wygląda. Nie chcemy pokazywać praw-

WESOŁO BĘDZIE NA MOIM POGRZEBIE

Z chwilą, kiedy odrzuciliśmy opiekowanie się umierającymi, uzbroiliśmy nasz strach

dy, bo to konfrontuje ze śmiertelnością i nie generuje... hm... oglądalności.

Czyli mało wiemy, co się dzieje z ciałem po śmierci?

– Są książki o tym, nie chciałam powielać tej wiedzy. Nie wiemy, co się dzieje za drzwiami zakładów pogrzebowych. Nie wiemy, co wchodzi w skład dobrej usługi pogrzebowej. Nie mamy pojęcia, że istnieją takie zawody jak balsamista, tanatokosmetolog, mylimy te pojęcia. Nie wiemy, że istnieje mistrz ceremonii świeckiej – wierzymy, że tylko ksiądz może pochować człowieka, co jest bzdurą, pogrzeb nie jest sakramentem. Ludzie nie pytają o rzeczy związane ze śmiercią. Wolą wypierać.

A zakłady pogrzebowe średnio zdradzają swoje tajemnice.

– Te etycznie działające nie powinny mieć problemu z odpowiedziami na pytania. I zadawanie ich powinno być dla nas normalne: bo kiedy wybieramy samochód, komputer, ro-

bimy rozeznanie rynku, patrzymy, co ile kosztuje, porównujemy. A jak przychodzi do usługi pośmiertnej – wierzymy na słowo pierwszej lepszej osobie. To sprawia, że jesteśmy łatwym łupem dla tych, którzy będą chcieli to wykorzystać.

A mogą tacy być, bo w Polsce zakład pogrzebowy może otworzyć każdy.

– Krzysztof Woliński, prezes Polskiego Stowarzyszenia Pogrzebowego, zapytał mnie, czy mam dowód osobisty i profil zaufany. Bardzo się zdziwiłam, kiedy się okazało, że to wystarczy, żebym stała się właścicielką zakładu pogrzebowego. „PKD pani sobie wpisuje i może działać. Nie ma pani chłodni, bieżącej wody, nie ma pracowników, ale ma firmę”.

A właściciel restauracji...

– ...potrzebuje cudów od sanepidu. To, że nie potrzeba sanepidu do założenia zakładu pogrzebowego, jest szokujące. Tak powstaje szara strefa, np. zakłady bez chłodni. Przecież cia-

ła trzymane pod chmurką to bezczeszczenie zwłok. Nie powinno się ich trzymać również w szpitalach, kościołach. Ale tak się dzieje, bo tak się zarabia: generuje się zyski ze znikomych kosztami. Robią to ludzie, którzy nie dość, że nie mają odpowiedniego wyposażenia, to nie są też wyszkoleni w rozmawianiu z ludźmi, którzy przechodzą żałobę.

W Polsce zarabia się na produktach, a powinno na obsłudze, na opiece. Za granicami możemy wynająć towarzysza w żałobie, dba się o żywego.

A my w Polsce przerażeni...

– Jak widzimy gdzieś trumnę, to się 13 razy przeżegnamy, żeby nie przyciągnąć śmierci. Nigdy jej nie wspominając, zapomnieliśmy, wyprzeć. Ale na jak długo? A wystarczy zrozumieć, że nie wiedzieć to często oznacza zapłacić więcej, skazać się na większy stres. Powinniśmy egzekwować swoje prawa konsumenckie. I etyczny zakład pogrzebowy nam pomoże, im zależy, żeby człowiek nie był w tym opuszczony. To podejście do człowieka jest ważne, a nie chłodne: akt zgonu, trumna, proszę, fakturka.

Poznałaś pasjonatów tego zawodu, którzy uważają się notabene za osoby pogodzone. „Gdyby ktoś spotkał nas na wyjeździe integracyjnym, nigdy by nie powiedział, że się tym zajmujemy”.

– Tak, to wspaniali ludzie. Na przykład pani Ania to niezwykle ciepła osoba. Kiedy się z nią rozmawia, można się poczuć, jakby otulała cię kocykiem. Inni to po prostu ludzie, którzy chcą wykonywać dobrze swoją pracę, cenią sobie zawód i chcą, żeby było ładnie. Często słyszałam: – Bo my chcemy, żeby było ładnie.

Tak dobrze to usłyszeć, kiedy się wie, że są i tacy, którzy zamiast ciało zabezpieczyć przed wyciekami, zakładają pieluchę albo owijają workami czy klepią nos i powieki klejem. Przerażające. Gdyby rodziny o tym wiedziały, nigdy by na to nie pozwoliły. Ale „po co o tym gadać!”, więc zataczamy koło.

Zobaczyłaś, że twoja babcia w trumnie miała koszulę założoną nie na tę stronę.

– Pierwszy raz zmarł mi ktoś bliski, miałam 18 lat i wszystko na pogrzebie mnie denerwowało, chciałam, żeby było idealnie. Moja babcia była bardzo elegancka, a tu ta koszula... Dobrze, że mama zauważyła tę pomyłkę. Teraz wiem, że każdy pogrzeb to wielka presja dla organizatorów. Ludzie dostają

szalu, jak różaniec jest „złe” położony, kwiaty są nie takie. Jeden z rozmówców powiedział mi, że to branża, w której nie ma prób generalnych, musi być od razu idealnie. Tego ma prawo wymagać rodzina. Przez to bywa ciężko. Więc naprawdę trzeba lubić ten zawód, żeby go wykonywać. Trzeba chcieć pomagać żywym.

Jakie są predyspozycje do tej pracy?

– Pani Ania, o której mówiłyśmy – jej tato miał zakład pogrzebowy, więc nigdy jej to nie odrzucało. Balsamiści wspominali, że ta praca ich nie odstrasza, więc odporność na różne widoki to istotna predyspozycja.

Jednak przekazanie rodzinnego interesu nie jest takie proste: dzieci właścicieli zakładów pogrzebowych często nie chcą się tym zajmować.

Może to jak z dziećmi lekarzy: widzieli rodziców będących do dyspozycji 24/7?

– Właściciel zakładu pogrzebowego ma zawsze włączony telefon. Ludzie umierają przecież również w nocy, w weekendy. Podobnie w przypadku firm sprzątających po zwłokach: ich właściciele śpią z telefonem przy głowie.

Są dwa główne zabobony à propos nieboszczyków: że jak ciało przeleży przez niedzielę, to „zabierze następnego”. I że jak się ubiera kogoś do trumny, to trzeba połamać kości.

– Zabobony z kategorii „mściwy nieboszczyk” to między innymi ten o niedzieli. Nadal króluje na forach internetowych. Przez to w branży koniec tygodnia to bardzo intensywny czas. Zabobonów jest więcej: wyprowadzamy ciało z domu nogami do przodu.

Nawet łóżka w domu tak stawiamy – nogami do drzwi. Ludzie naprawdę wierzą, że osoba, która była częścią rodziny, kochała ich i szanowała, chce zabrać ze sobą jak najwięcej bliskich. No i mity o śmierci – kolega wujka, ciotki, stryjenki – widział. To jest szczególnie żywe przy stwierdzeniu „oni łamią kości”.

Ale gdy ubiera się ciało, czasem słychać taki charakterystyczny dźwięk...

– To kwestia rozruszania zastanej krwi. Ludzie uważają, że nie da się ubrać ciała bez owego łamania lub rozcinania ubrań. Pani Ania mnie zapytała: „Ja bym miała kość złamać, kruszynka? Ja kości kurczaka złamać nie mogę!”.

Oczywiście trudniej się ubiera ciało, kiedy jest niewładne, bo to tak, jakby próbować ubrać kogoś, kto zemdlął. Ale nie się nie łamie, mam nadzieję, że ten mit padł po mojej książce. Każdy, kogo pytałam, wzruszał ramionami i dodawał ironicznie – tak, tak, łamiemy i jeszcze wybijamy złote zęby...

A to się nie bierze z tego, że my z tym ciałem po śmierci mamy coraz mniej do czynienia? Że nie ubieramy, odprowadzamy, nie oplakujemy. Że teraz pogrzeby to się załatwia rachuciach, nie ma na nie nawet urlopu...

– Wyprowadził mi śmierć z domu do szpitala. Śmierć jest paskudna, straszna, „nie chcę na to patrzeć”. Kiedyś przy odchodzącej osobie się czuwało, teraz większość umiera w szpitalu, więc jakie czuwanie? Zwłaszcza że osoby starsze oddaje się do szpitala, żeby nie przeszkadzały. Inna sprawa, że nikt nie dostanie urlopu na to, żeby być przy swojej umierającej matce.

Obserwowanie schyłku życia, tego, jak wygląda starość, samo umieranie, pozwalało nam się z tym oswoić. To było normalne, tak wygląda życie. A teraz widzimy kogoś od razu w trumnie – lepiej bądź gorzej przygotowanego. To jak mamy sobie z tym poradzić?

Zwłaszcza że pamięć krótkotrwała płata figle. Śmierć jest zaskoczeniem dla naszego systemu, więc codziennie przez jakiś czas przeżywamy tę śmierć od nowa, bo pamięć krótkotrwała musi dotrzeć do tego, co pamięć długotrwała już wie. Traumatyczne.

Z chwilą, kiedy odrzuciliśmy opiekowanie się umierającymi, uzbroidliśmy nasz strach.

Kapitalizm nie poczeka, żyje się szybciej.

– Zdecydowanie. Od kiedy zmienił się model rodziny, nie mieszkamy w wielopokoleniowych domach – nie umiemy przeżywać żałoby. Co więcej, często nam się nie pozwala. Bo żałoba to nie jest ubranie się na czarno, płkanie trzy dni – to są lata. Godzenie się z tym.

A ludzie się niecierpliwią: „Dlaczego on jeszcze płacze? Dlaczego ona nie zacznie żyć? Urodzisz sobie drugie dziecko. Wyrzucić już jego ciuchy, znajdziesz sobie nowego faceta”. A to sprawia ogromny ból. Mówmy „Ja tu jestem, jeśli mnie potrzebujesz”. I nie pospieszajmy. Żadnego „Bóg tak chciał” czy „tak miało być”. Nie rozumiem, jak to ma pomóc.

Opowiedzmy o pogrzebach świeckich, które stają się coraz popularniejsze. To często szalenie wzruszające pochówki. Opowiadałaś o takim, na którym „Pszczółką Mają” i muzyką z „Flintstonów” żegnano 40-letniego mężczyznę z niepełnosprawnością umysłową. To były jego ulubione piosenki.

– Świeckie ceremonie są podsumowaniem i uhonorowaniem życia, a nie oklepanymi formułkami. Mistrzowie ceremonii przygotowują prezentację multimedialną, są zdjęcia, jest muzyka, którą zmarły lubił. Opowiada się anegdoty, wspomina.

Przyznam się, że mam przygotowany od dawna scenariusz swojego pogrzebu.

A przygotowałam go, bo podczas pisanie książki byłam na pierwszym świeckim pogrzebie z Anną i Jackiem Borowikami. Wszyscy stali z pluszowymi tygryskami. Pomyslałam: O Boże czy to jest pogrzeb dziecka? A to była ceremonia dla pana Jacka Czyża, aktora i lektora, który dubbingował Tygryską w „Kubusiu Puchatku”.

Na pogrzebie przywitał nas jego własny głos! Opowiadano o nim: mistrzyni ceremonii, rodzina, przyjaciele. Ludzie się śmiali i płakali jednocześnie. Czuło się obecność tego człowieka. Czuło się, że on był kochany. I że było tak, jak on chciał.

Jak się przygotowuje takie ceremonie?

– Mistrzowie kontaktują się z rodziną, dowiadują jak najwięcej o zmarłym. To bywa trudne, bo dowiadują się również niepochlebnych rzeczy, których nie można jednak ominąć. Należy umiejętnie operować słowem i nie oceniać. Ale nie przeinaczać faktów.

Przygotowują mowę, repertuar muzyczny – wysyłają rodzinie do akceptacji. Często przygotowują pogrzeby osób różnych wyznań i muszą się znać na danym obrządku. Zdarza się, że chowają osoby wierzące, które pokłócili się z instytucją Kościoła.

Zanim do pogrzebu dojdzie, ciało trzeba przygotować. Chcemy, żeby ta osoba wyglądała w trumnie jak najpiękniej, albo nie chcemy widzieć jej wcale...

– Bo to nas konfrontuje z własną śmiertelnością.

Trzeba powiedzieć wyraźnie: jest bardzo źle, jeżeli przygotowuje zwłoki ktoś, kto się na tym nie zna, robi to byle jak. Oczywiście trzeba też wiedzieć, że np. można poprosić o balsamację. Ona nie spowoduje, że do zakładu nie dojdzie, ale go opóźni, np. kiedy pogrzeb z różnych przyczyn będzie musiał zostać odłożony w czasie.

Dobra balsamacja spowoduje, że żółty kolor ciała stanie się bardziej naturalny. Ta cała konserwacja, wszystkie te przygotowania robimy przecież dla żywych – żeby mogli się pożegnać, zapamiętać tego człowieka.

My już nie przygotowujemy ciał bliskich, choć mnie akurat podoba się taka perspektywa, myśl, że mogłabym w ten sposób zaopiekować się kimś bliskim. Ta osoba żyła ze mną i była ważna, to byłby ostatni hold. Bywa jednak, że niektórzy nie chcą oglądać zmarłego i od razu zlecają kremację czy pogrzeb z zamkniętą trumną. Wtedy z etyką traktowania takiego ciała bywa różnie...

Balsamista i tanatokosmetolog – ludzie myślą te zawody. Specjaliści z obydwu



Balsamista i tanatokosmetolog są szczególnie potrzebni w przypadku śmierci gwałtownych i nieprzyjemnych. Profesjoniści potrafią zdziałać cuda

dziedzin są szczególnie potrzebni w przypadku gwałtownych śmierci.

– Balsamista w dużym skrócie zajmuje się bardziej inwazyjnymi zabiegami nad zmarłym. Tanatokosmetolog zajmuje się kosmetyką pośmiertną oraz drobnymi rekonstrukcjami. Profesjoniści potrafią zdziałać cuda. Podłożyć pod oczy nakładki, które zapobiegają zsunięciu się powiek. Można delikatnie zszyc usta, żeby się zamknęły, nie kleić! Nie twierdzą, że taka opcja jest konieczna i każdemu się spodoba. Powinno się jednak mówić o niej jak o opcji. Świetnym specjalistą w swoim fachu jest Piotr Bartczak, który chętnie opowiedział mi o swojej pracy.

Ile kosztuje taka usługa?

– Ceny zależą od zdolności balsamisty/tanatokosmetologa, od regionu Polski. Ta usługa jest zawsze powiększona o marżę zakładu pogrzebowego. Ceny balsamowania zaczynają się od około 300 zł do nawet 1500 zł. Makiż pośmiertny od około 100 zł, według zdjęcia lub opisu rodziny od 200. Rekonstrukcje są wykonywane zawsze indywidualnie w zależności od stanu ciała.

Jest coś, czego pracownik domu pogrzebowego nie umie unieść?

– Nie chcę generalizować, ale często słyszałam, że śmierć dziecka to jedna z trudniejszych sytuacji. Niektórzy z tego powodu potrafią odejść od zawodu.

Teraz zajęłaś się tematem jeszcze mocniejszym niż pogrzeby codzienne: w lipcu wychodzi twój reportaż o sprzątaniu po zgonach. Dlaczego uznałaś, że to ważny temat?

– Ponieważ jest dużo bardziej złożony, niż może się wydawać. Dotyczy bowiem samotności i starości. Coraz częściej słyszymy, że ktoś „przeleży” po swojej śmierci. W domu, na łóżku, na podłodze.

Nie interesują nas nasi sąsiedzi, a przecież społeczeństwo się starzeje, zwiększa się liczba osób starszych, schorowanych, samotnych. Sąsiedzi zauważają, dopiero kiedy przecieka im sufit albo kratkami wentylacyjnymi przedostają się owady.

I nagle okazuje się, że ten miły starszy pan nie był widziany od dwóch lat. Jak to możliwe? Dwa lata? Czy naprawdę nikomu nie przyszło do głowy, żeby zapukać, sprawdzić, czy wszystko w porządku? A co z jego rodziną? Dlaczego nikt nie zadzwonił?

Sprzątanie po zgonach będzie zyskiwało na popularności właśnie ze względu na naszą znieczulicę.

– W „Wujku” chciałam też pokazać, że po rozkładzie nie wystarczy posprzątać zwykłymi środkami chemicznymi. Internauci na forach dzielą się „babcinymi” sposobami, zapominając, że plamy usunięte z zewnątrz nie zapobiegają dalszemu rozkładowi, który wnika w niemal każdą powierzchnię. I postępuje. A to już zagrożenie dla naszego zdrowia: to nie tylko brzydkie zapach, którego nie da się niczym zamaskować.

Co było dla ciebie największym zaskoczeniem podczas pisania „Jak usunąć wujka z podłogi?”

– Temat zbieraczy. To osoby dotknięte syllogomanią, zwaną również patologicznym zbieractwem, które zmusza do obsesyjnego gromadzenia przedmiotów, często zepsutych i bez-

wartościowych. Pokoje takich osób bywają wypełnione po sufit, poruszanie się po nich graniczy z cudem i niestety zdarza się, że ze względu na smród wydobywający się z mieszkania zgon takiej osoby bywa niezauważony.

Jednak to właśnie znieczulica na to, co dzieje się z osobami starszymi, wstrząsnęła mną najmocniej. Podczas pracy nad moim drugim reportażem „Starzy ludzie nie istnieją” poznałam ten porażający obraz polskiej starości, tak często dopełniany przez samotność.

Po prostu nie mieści mi się w głowie, jak to możliwe, aby przez kilka lat czyjeś zaginięcie nie wzbudziło pytań. Szokowało mnie również to, że często ten szłowiek, który umarł samotnie, był praktycznie pomijany. Sąsiedzi skarżyli się na zapachy i owady, jakby ktoś im to zrobił na złość. O tragedii samotnej śmierci jakoś nikt nie wspominał.

A takie odejście wydaje się coraz bardziej prawdopodobnym scenariuszem w szybko starzejącym się społeczeństwie.

Tymczasem ty – młoda – masz już zaplanowany swój pogrzeb...

– Tak, w zasadzie od dawna. Chcę mieć pewność, że moi najbliżsi będą dokładnie wiedzieć, do kogo się zgłosić i co wybrać. Wierzę, że w ten sposób zaoszczędzę im bólu i dodatkowego stresu. Jedna z rozmówczyń powiedziała: „Wszystko planujemy, śluby, uroczyny, komunie, ale pogrzebu nie. A przecież to równie ważne wydarzenie”.

Chciałam zapytać, skąd w tobie zainteresowanie tym tematem?

– Już jako dziecko fascynował mnie zakład pogrzebowy w moim mieście – po drodze do sklepu zoologicznego. Miałam papugi fałiste, więc często, aby kupić proso, przechodziłam koło tego zakładu. Zauważyłam, że ludzie omijają to miejsce, a mnie wydawało się piękne, na parapecie urna, sztuczne kwiaty, nazwa zakładu napisana kursywą.

Jako trudna nastolatka lubiałam spacerować po cmentarzach, bo było tam spokojnie, przecież cmentarze to czasem najlepiej zadbane parki w mieście. Lubiałam cizę, kunsztownie wykonane nagrobki, ale nie zaprzątałam sobie głowy własną śmiertelnością.

Dopiero w 2007 roku stojąc nad brzegiem jeziora, dotarło do mnie, że ja też umrę. Tak jak miliony ludzi przede mną. Zaczęłam więc pisać o tym, co dla mnie ciekawe i ważne, zafascynowałam się rytuałami pogrzebowymi starożytnego Egiptu. Każda informacja była na wagę złota.

Pomogło mi odkrycie kanału „Ask a Mortician” Caitlin Doughty, która pracowała w krematorium, a teraz prowadzi ekologiczny zakład pogrzebowy i po prostu mówi, jak jest, jak wygląda śmierć.

Zaczęłam zgłębiać temat rozkładu, śmierci, zabobonów, ale też zwyczajów pogrzebowych w różnych kulturach. W końcu postanowiłam obalać mity dotyczące śmierci. Moi bliscy, chcąc nie chcąc, słuchali moich odkryć i zauważyłam, że chociaż nikt nie przyznał wprost, to jest w umieraniu coś, co nas przyciąga, interesuje. ●

Małgorzata Węglarz

• pisarka. Wydała pierwszy w Polsce reportaż o branży pogrzebowej **„Wszystko, co powinienś wiedzieć, zanim umrzesz. Tajemnice branży pogrzebowej”**, potem **„Starzy ludzie nie istnieją”**. W 2024 rok pojawia się jej kolejne książki, między innymi „Jak usunąć wujka z podłogi? Zawód: sprzątanie po zgonach”.



Adam Michnik poleca Antysemityzm na uczelniach Europy Środkowej (3)

NIECH ŻYJE MEDYCYNA BEZ ŻYDÓW

To hasło polskich studentów wyrażało nastroje w większości krajów regionu

Anna Wolff-Powęska*

Przemoc narastająca w międzywojniu w środowisku akademickim związana była z faszyzacją w Europie. Prym wiodła Austria, w której wpływy NSDAP, zwłaszcza po dojściu Hitlera do władzy, były największe. Funkcjonująca jako twór przejściowy w latach 1918-19 Republika Niemieckiej Austrii była przykładem mobilizacyjnych możliwości niemieckich Austriaków.

Na terenie Uniwersytetu Wiedeńskiego niemiecko-volkistowska młodzież kontynuowała po I wojnie antysemicki kurs. [Vol-kizm – skrajna ideologia, rasistowska i skłaniająca się ku neopogańskiej mistyce „krwi i ziemi”]. Równieśnicy nazistowskiego ruchu, zwani „Hakenkreuzler” [„swastykowcy”], traktowali uczelnię jako pole bitwy. Zamieszki i bijatyki, które wylewały się na ulice stolicy, stały się codziennością, a wiedeńska NSDAP stała się partią akademicką.

Wśród 1286 członków wiedeńskiej partii nazistowskiej w latach 1933-38 znalazło miejsce 173 studentów (13,5 proc.), a studentów i absolwentów uniwersytetu razem 344 (26,8 proc.). To oni tworzyli klimat pogromowy, atakując brutalnie i broniąc dostępu żydowskiej oraz socjalistycznej młodzieży do budynków uniwersyteckich, bibliotek, stołówek.

Uniwersytecki antysemityzm w Austrii wyróżniała zorganizowana „kliką” profesorów, nazywana „jaskinią niedźwiedzi”, zaniepokojona konkurencją ze strony „obcych rasowo elementów”. W letnim semestrze 1918 r. wykładał na Uniwersytecie Wiedeńskim Max Weber. Rok później ukazał się jego tekst „Nauka jako zawód i powołanie”. Snując rozważania o charakterze nauki, pisał:

„Życie akademickie jest jak dzięki hazard. Kiedy młodzi uczeni przychodzą pytać o radę w sprawie habilitacji, ciężar odpowiedzialności jest nie do zniesienia”. Słowa te często były cytowane, rzadziej następujące po nich zdanie: „Jeśli student jest Żydem, mówi mu się naturalnie: lasciate ogni speranza [porzućcie wszelką nadzieję]”.

Opinie tę potwierdzają publikacje-biografie członków „klik”, późniejszych działaczy NSDAP w Wiedniu. 18 profesorów odbywało regularnie konspiracyjne posiedzenia. Ich celem była walka przeciw „zażydzeniu Uniwersytetu”. Już w 1923 r. paleontolog, prof. Othenio Abel, stwierdzał: „To, że naszą antysemicką grupę na Uniwersytecie usilnie integrowałem, tak, że tworzyliśmy zwartą falangę, traktuję jako zasługę i chociaż tracę przy tym wiele czasu i siły, to podtrzymuje mnie przeświadczenie, że ta praca jest równie ważna jak pisanie książek”.

Sukcesem „klik” był wybór Karla Dienera na rektora w roku akademickim 1922/23.



• **Międzywojnie, antysemickie zamieszki na Uniwersytecie Wiedeńskim**

FOT. CORBIS/GETTY IMAGES

Ten geolog i paleontolog wystawił w auli uniwersytetu pomnik „Siegfriedskopf” dla upamiętnienia poległych w czasie I wojny nauczycieli i studentów narodowo-katolickich. Stał się on miejscem spotkań ugrupowań narodowo-katolickich i nazistowskich.

To rektor Diener ostrzegał w 1922 r. przed „inwazją” Żydów ze Wschodu, uznając, że odrzucenie ich musi stać się w programie każdego rektora niemieckiej uczelni priorytetem. Tajne interwencje okazały się skuteczne przy hamowaniu habilitacji żydowskich profesorów.

Antysemicka polityka personalna doprowadziła do utraty jakości wielu dyscyplin naukowych – nie tylko ścisłych, przyrodniczych, ale przede wszystkim humanistycznych i społecznych. Ofiarą prześladowań stali się wybitni badacze. Obiektem nagonki stał się wybrany na dziekana profesor nauk prawnych Josef Hupka. Przedstawiciele nacjonalistycznej prawicy w organizacjach studenckich uznali za niedopuszczalne, aby „niemieccy studenci w naszej niemieckiej ojczyźnie zdawali egzaminy przed komisją, której przewodzi jakiś Żyd”.

Zmuszony do emigracji został światowej sławy profesor prawa publicznego i administracyjnego Hans Kelsen. Studenckie pisma uzasadniały antysemityzm jako obronę przed żydowskimi profesorami, którzy zagrażają moralnie aryjskości uniwersytetu, chcą go zarazić trucizną bolszewizmu; Kelsen chciał „duchowo uwieść studentów przez propagowanie bezsensownej demokracji”.

***W całej Europie studenci
byli awangardą
ruchów faszystowskich
i antysemickich***

Kiedy Kelsen stanął w obronie zniesławianego przez „klikę” profesorów kolegi po fachu, Robert Koerber, kierujący w Wyższej Szkole Handlu Światowego Instytutem ds. Pielęgnacji Niemieckości, w artykule „Azjatyckość na Alma Mater” zaliczył Kelsena do najbardziej „niebezpiecznych” Żydów na wydziale. Ostrzegł władzę i zażądał, by usunięto z uczelni „zbrodniczych synów pustyni”.

Ulotka „akademickiej młodzieży Wiednia” wzywała w listopadzie 1926 r. studentów stolicy do demonstracji o uwolnienie od „obcej hańby”. W grudniu emocje wywołał tekst studentów „Kulturowa hańba na Uniwersytecie”:

„Żydzi są mało wartościową rasą kundli, która grasuje na świecie. Są wstrętną rasą bękartów, niosącą wszędzie lenistwo i bagno. Nie pozwalają na przeprowadzenie sekcji swoich zwłok, bo wyszłoby na światło dzienne, że ich ciało to siedlisko anomalii, a ich mózg ma inne niż nieżydowskie zwoje. Dlatego właśnie bezsensowny pacyfizm tylko w żydowskim umyśle mógł się zrodzić”.

Kryteria naukowe zeszły na dalszy plan, awanse kontrolowała „kliką” uniwersyteckiej oligarchii. Nowe zaostreżenia wymagały przy habilitacji dotyczyły jednego punktu: pochodzenia. Personalne związki profesorów „jaskini niedźwiedzi” z ministerstwem nauki pomagały przy selekcji kandydatów do kolejnych stopni naukowych pod hasłem przeciwstawienia się „żydowskiej mafii”.

Emmerich Czermak, chrześcijańsko-społeczny polityk, na przełomie lat 20. i 30. minister nauki, oświadczył podczas szkolenia młodych adeptów, że jego grupa katolickich studentów jest czysta od Żydów. „U nas obowiązuje paragraf aryjski. Dla nas było zawsze oczywiste, że pół-Żydzi i żydowsko obciążeni nie mieszczą się w naszych szeregach. Punkt rasowy realizujemy w praktyce”.

Nie brakowało w dyskusji słów krytyki wobec antyżydowskiej polityki Alma Mater Rudolphina. Uczeń stojący po stronie suwerenności uniwersytetu piętnowali zmonopolizowanie go przez kartel klerykałów i „Ha-

kenkreuzler”. Wyrażali przekonanie, że pomijanie kryteriów naukowych przy ocenie kandydatów pograży uczelnię i zniży do poziomu prowincjonalnego uniwersytetu, który zaprzepaścił wielkie kulturowe dziedzictwo kraju.

Nowy etap antysemickiej nagonki na uczelni wiedeńskiej zapoczątkowało zamordowanie 22 czerwca 1936 r. w głównym budynku uniwersyteckim wybitnego filozofa Moritza Schlicka przez jego byłego doktora. Wiele prac historycznych oceniało ten fakt jako efekt zatrucia klimatu przez rasizm. Ponieważ w genealogii Schlicka nie było żydowskich przodków, a on sam był protestantem, jako argument usprawiedliwiający wskazywano na zatrudnianie przez zamordowanego „bożyszczy żydowskiego Wiedeńskiego Kręgu”, trzech asystentów żydowskich.

Antysemici przypominali, że „to my, chrześcijanie”, żyjemy w chrześcijańskim państwie i my rozstrzygamy, która filozofia jest właściwa. Żydzi powinni zatrudniać w swoim Instytucie Kultury żydowskich filozofów! Ale do filozoficznej katedry Uniwersytetu Wiedeńskiego w niemiecko-chrześcijańskiej Austrii przynależą chrześcijańscy filozofowie! Trzeba mieć nadzieję, że ten straszny przypadek mordu przyczyni się do rozwiązania kwestii żydowskiej.

Przemoc i systematyczne wykluczanie żydowskich studentów i nauczycieli wymuszały emigrację. Stała się dla nich wybawieniem - ci, którzy pozostali po anshlusie Austrii, stali się ofiarami terrorku i ludobójstwa.

Mimo że czechosłowacka polityka utrzymywała do 1938 r. kurs broniący równouprawnienia, nie zabrakło inicjatyw studentów i konformistycznie nastawionych elit uczelni przeciw Żydom. W listopadzie 1929 r. studenci medycyny w Pradze, reprezentowani w organizacji Związku Medyków Czechosłowackich, przygotowali rezolucję wzywającą do zakazu wykonywania zawodu przez [żydowskich] absolwentów. Przerwano na kilka dni zajęcia w związku z okupowaniem budynków przez nacjonalistycznie zorientowanych studentów.

Szczegółowość relacji społecznych w Czechosłowacji polegała na tym, że społeczność żydowska stała kulturowo bliżej Niemców niż Czechów. Zamieszki, które wybuchły na fali sprzeciwu wobec projekcji niemieckich filmów w 1930 r., motywowane były również względami antysemickimi. Splatały się tu nacjonalistyczne i antysemickie elementy.

Rozsadnikiem faszystowskiej nagonki na społeczność żydowską była radykalna „Velká Praha”, która „żydowsko-galicyskich emigrantów” winiła za „straszną zarazę lichwy” i demoralizację czeskiego narodu. W obronie „słowiańskiej Pragi”, jej rasowej czystości występowały w latach 30. młodzieżowe bojówki. Demolowały pomieszczenia Instytutu Słowiańskiego z hasłem „Precz z Żydami”. Ulicznym demonstracjom towarzyszyły wezwania: „Niemcy precz z Karolinum”, „Na Żydom czeka Palestyna”.

Przyrost studentów żydowskiego pochodzenia w Pradze po powołaniu do życia Pierwszej Republiki Czechosłowackiej wynikał m.in. z napływu węgierskich i słowackich studentów, którzy nie kryli nadziei, że po złych doświadczeniach w antysemic-

ko nastawionych krajach pochodzenia będą mogli w Pradze oddychać spokojniej.

Na niemieckim uniwersytecie w stolicy Czechosłowacji radykalnych studentów wspierała część profesorów, żądających usunięcia żydowskich kolegów. Pierwszy antysemitki skandal miał miejsce w lutym 1922 r. na fakultecie medycznym. Obok volkistowsko-nacjonalistycznych niemieckich grup na „kwestię żydowską” wskazywały środowiska i korporacje katolickie.

Pogromowy klimat wprowadzały hasła typu „Praga dla Czechów, Palestyna dla Żydów”. Listopadowym demonstracjom w 1929 r. towarzyszyło demolowanie sklepów, kawiarni, kin i teatrów. Mimo potępienia ze strony władz państwa, zdominowany przez Czeskich Narodowych Socjalistów ratusz ustami burmistrza powitał „godną manifestację w obronie słowiańskiej Pragi”.

Władze Republiki stworzyły podstawy prawne gwarantujące równouprawnienie grup narodowych i religijnych, lecz nie były w stanie przeszkodzić rozszerzaniu się tendencji antysemitki. Najwięcej ucierpeli niemieckojęzyczni Żydzi, których nacjonałści postrzegali jako „element germanizacji”.

W Pierwszej Republice Czechosłowackiej, podobnie jak na obszarze Czech, tak i Słowacji antysemityzm był utrzymywany w cuglach. Bratysława wyróżniała się na tle innych regionów tolerancją religijną. Podobnie jak w Pradze sporo zamieszek wywołanych było na tle sporów wokół filmów.

Taką rolę odegrał tu „Golem” Juliana Duviviera. Akcja toczy się na przełomie XVI i XVII w. w żydowskiej dzielnicy Pragi. Projekcja w Bratysławie w 1936 r. wywołała zamieszki antyżydowskie, organizowane przez studentów. Film wycofano z obiegu.

Pismo uniwersyteckiego środowiska chrześcijańskiego „Svoradov” uzasadniało protesty tym, że film przedstawiał cierpienia Żydów za króla Rudolfa II. Dopatrzone się w nim zniewagi dla kultury chrześcijańskiej. Kierowany przez Andreja Hlinkę dziennik „Slovák” uznał treść filmu za propagowanie wątków sadystyczno-pornograficznych, co miało demoralizować szerokie warstwy społeczne. Słowacka Partia Ludowa Hlinki określała film jako „żydofilski” i „żydo-masoński”.

Wszędzie w regionie najskuteczniejszą platformę antysemityzmu praktycznego stanowiły wydziały medyczne, instytuty anatomii i prosektoria. Były najczęściej ogniskiem etnicznych, kulturowych, religijnych i politycznych konfliktów; stały się też spektakularnym polem walki państw narodowych o przyszłość środowiska lekarskiego i ekonomiczny sukces inteligencji. To tu dokonywały się najbardziej brutalne ekscesy antyżydowskie. „Niech żyje medycyna bez Żydów” – to hasło polskich studentów wyrażało nastroje w większości krajów regionu. Pretekstem były konflikty wokół sprawy zwłok w prosektoriach. Powszechny był zarzut, że Żydzi nie dostarczają zwłok, bo chcą się uczyć „na trupach chrześcijańskich”.

Propaganda trafiała na podatny grunt wśród studentów najdroższych studiów. Prowokacje, wypędzanie studentów żydowskich z prosektoriów wychodziły poza uczelnie, rozlewały się w przestrzeni miejskiej, skupiając uwagę opinii publicznej.

Związki lekarzy chrześcijańskich, stowarzyszenia studenckie, prawnicowa prasa wywierały nacisk na władze uczelni. W obliczu agresywnego lobbingu i zakłóceń w salach wykładowych wprowadzano system kwoty na wydziałach lekarskich kolejnych uniwersytetów. Pod koniec lat 30. mówiono wprost o obronie „zdrowego organizmu narodowego” przed inwazją obcych.

W 1937 r. podczas zebrania biura przyjęć Uniwersytetu Warszawskiego jeden z pracowników odparł na pytanie o możliwość podjęcia studiów na wydziale lekarskim przez Żydów: „Cóż, Żydzi są tu mile widziani, ale jako obiekty ćwiczeń w prosektorium”.

Naukowa refleksja nad uniwersyteckim antysemityzmem to integralny element ba-

dań skupionych wokół uniwersalnych pytań, czy racjonalna analiza wyposażonych w warsztat naukowy badaczy daje gwarancję zabezpieczenia przed instrumentalizowaniem uzyskanych rezultatów. Kiedy następuje przekraczanie granic, a nauka staje się ideologicznym substytutem państwa? Czy w ogóle nauka może być moralna?

Doświadczenie międzywojnia w Europie pokazuje, jak łatwo można zarzucić respektowanie praw człowieka. Naukowy rasizm znalazł zbyt łatwo adeptów w nauce, a liberalne zasady demokracji okazały się w kielkujących demokracjach zbyt słabe. Wszędzie odbywały się akcje protestu profesorów, już to w formie petycji, już to indywidualnych głosów w prasie. Siły liberalne na uczelniach okazały się jednak zbyt słabe, a w miarę narastania tendencji faszystowskich zdolności adaptacyjne profesury i intelektualistów zbyt duże.

W całej Europie studenci byli awangardą ruchów faszystowskich i antysemitki. Przyczyny były podobne. W krajach kielkującej demokracji w Europie Środkowej antysemityzm był źródłem integracji społecznej opartej na wrogości. Siły antydemokratyczne, które w budujących tożsamość państwach narodowych zdominowały klimat ideowy, odrzuciły liberalny model państwa. Skutki tego odczuwamy w regionie do dziś.

Wewnętrzne konflikty, wyniesienie narodu, lekceważenie praw człowieka, odrzucenie uchodźców w krajach Europy Środkowej w XXI wieku zmusza do namysłu, czy odczytaliśmy właściwie wypowiedź Jakoba Wassermanna, jednego z najpoczytniejszych pisarzy niemieckich pochodzenia żydowskiego, z 1921 r.:

„Po raz pierwszy spotkałem zagłębioną w organizmie ludu tępą, upartą, jakby niemą nienawiść, której nazwa antysemityzm niemal w ogóle w niczym nie wyraża. Nie pozwala bowiem rozpoznać ani rodzaju, ani źródła, ani głębi, ani jej celu.

Ta nienawiść ma rysy zabobonu w takim samym stopniu, jak i dobrowolnego oślepienia, lęku przed demonami, jak i zapamiętałości kleru oraz przebiegłości oszukanych, ma znamiona niewiedzy, kłamstwa i braku sumienia, w równym stopniu uzasadnienia obrony, małpiej złośliwości, jak i religijnego fanatyzmu. Są w niej żądza i ciekawość, lęk przed uwiedzeniem, chęć wtajemniczenia oraz brak poczucia własnej wartości”.

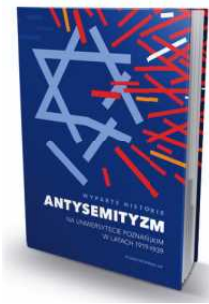
• Więcej ► Wyborcza.pl/magazyn



FOT. LUKASZ CYNALOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

*prof. Anna Wolff-Powęska

• historyk idei, politolog, emerytowany pracownik UAM w Poznaniu. Jej tekst (tytuł oryginalny: „Uniwersytety Europy Środkowej w cieniu antysemityzmu”) pochodzi z pracy zbiorowej pod red. Macieja Michalskiego i Krzysztofa Podemskiego „Wyparte historie. Antysemityzm na Uniwersytecie Poznańskim w latach 1919-1939”, Wydawnictwo Naukowe UAM, Poznań 2022.



FOT. DOMENA PUBLICZNA

*Tadeusz Hollender – 1910–43, poeta, satyryk, tłumacz związany z lewicą społeczną. Autor m.in. antysanacyjnych i antyklerykalnych satyr oraz przekładów z literatury niemieckiej i ukraińskiej. Podczas II wojny światowej uczestniczył w podziemnym życiu kulturalnym. Aresztowany przez gestapo, rozstrzelany w ruinach warszawskiego getta w maju 1943 r. Utwór za: Hollender, „Wiersze wybrane”, wybór, opracowanie i wstęp Paweł Bem, Ośrodek „Brama Grodzka - Teatr NN”, seria Biblioteka Zapomnianych Poetów pod red. Piotra Mitzne-
ra, tom 21, Lublin 2022

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Tadeusz Hollender*

Oświadczenie skierowane do endeków

Od nich świętość bije jak luna,
oni – wielcy, czyści, wspaniali,
piers wypięta, noga jak struna,
w sercu czystem – krew czysta wali,
– a ja jezdem – „żydokomuna”...
Oni – honor noszą w swem godle,
oni – cnota, męstwo i sława,
oni – naprzód, równo, na odlew!
– lewa – prawa! lewa i prawa!
– a ja jezdem zdrajca i podlec.
Z nich nikt nie wie, co zysk i business,
nikt z nich nie wie, co to jest draństwo,
oni tylko – honor i blizny,
rubież, sztandar – tak, moi państwo,
to ja jezdem zdrajca ojczyzny.
Bo ja szyb nie tłukę, jak oni,
bo nikomu w zęby nie dałem,
bo nie umiem ojczyzny bronić
pięścią, pałą, w ogóle – ciałem,
ja – rab Żydów i parszykonik.
Bo mnie fiume, proszę mi wierzyć,
czy był z ariów Adam lub Ewa,
bo mnie na tem nic nie zależy,
bo mnie mózgu krew nie zalewa,
bo ja jezdem bydlak i zwierzę.
Bo mnie mierzi zawsze na mieście
ludzkie stado ryczące w tłumie,
w manifestacyjnym proteście,
bo ja wyć ani ryczeć nie umiem,
bo ja inny, niż wy jeżdżecie.
Ani słabszych nigdy nie biłem,
ani wierzyć – w nic nie wierzyłem,
ani nigdy w stadzie nie żyłem,
a natomiast będę i byłem
rzadko frontem, przeważnie tyłem.
I gdy tyle serc się dziś zrywa,
mnie się wciąż na rzyganie zbierało,
gdy słyszałem: – Hoch! Heil! Evviva! –
mnie za dużo tego i mało,
bo ja jezdem owca parszywa.
Choć nietknięty przykrym obrzędem
z ariów jezdem i krew mam „czystą”,
choć nie byłem pod żadnym względem
bolszewikiem ni komunistą,
„żydokomuną” jednak będę
z chęcią jawną i oczywistą
z poważaniem –

Tadzio Hollender



– Myślałem, że najważniejszą cechą dobrego muzyka jest to, że zawsze dopasuje się do sytuacji. Jak w ogłoszeniu, które wisiało u mnie w szkole: „Za stówę zagram każdego joba”. Stańko pokazał mi, że chodzi o coś dokładnie odwrotnego – mówi Tomasz Dąbrowski, jeden z najlepszych europejskich trębaczy.

Z **TOMASZEM DĄBROWSKIM**, MUZYKIEM I KOMPOZYTOREM, ROZMAWIA **JĘDRZEJ SŁODKOWSKI**

JĘDRZEJ SŁODKOWSKI: Co poczułeś, kiedy amerykański magazyn „Downbeat”, najsłynniejsze jazzowe pismo świata, nazwało twoją płytę arcydziełem i umieściło na liście ośmiu najlepszych albumów roku?

TOMASZ DĄBROWSKI: Pewnie każdy artysta ma jakąś listę marzeń. To właśnie takie spełnione marzenie.

Zwłaszcza że już parę miesięcy wcześniej „Downbeat” wydrukował recenzję tej płyty — „Tomasz Dąbrowski & The Individual Beings” — przyznając jej maksymalną notę. Wiesz, patrzę na „Downbeat” przez pryzmat historii jazzu, której częścią jest ten magazyn. Przecież w takich zestawieniach lądo-

wali najwięksi w historii, z Davisem i Coltrane’em włącznie.

Czy takie entuzjastyczne recenzje dziś na cokolwiek się jeszcze przekładają?

– Wciąż jest grono ludzi, którzy uważają ten magazyn za opiniotwórczy. Ale nie oszukujmy się, świat zmienił się od lat 60., kiedy „Downbeat” był wyrocznią.

Latem 2022 r. grałem w Stanach. Wtedy właśnie ukazał się numer z tą pięciogwiazdkową recenzją. Zapytałem flecistkę Jamie Baum, gdzie mogę kupić „Downbeat”. W końcu to Ameryka, Nowy Jork, Manhattan — na pewno jest sporo miejsc z ambitniejszą prasą. Odpowiedziała, że na Manhattanie jest jedno miejsce, gdzie mogę dostać „Downbeat”. Poszedłem tam — oczywiście go nie było.

Potem napisałem więc do nich bezpośrednio. Przysłali mi 15 numerów. Nie wiem, co mam z nimi zrobić. Może chcesz jeden egzemplarz?

Mieszkasz w Szwecji, pracujesz w Danii. Gdzie w tej twojej osobistej układance jest Polska?

– Mieszkam za granicą od 16 lat i mam poczucie, że ani w Polsce, ani w Szwecji, ani w Danii, gdzie także studiowałem, nie czuję się do końca u siebie. Do tego moja partnerka jest Islandką i rozmawiamy ze sobą po angielsku. Nasze dzieci — syn ma cztery lata, a pod koniec 2023 r. urodziła nam się córka — w naturalny sposób będą czterojęzyczne: islandzko-polsko-angielsko-szwedzkie. Bardzo mi się to podoba — to taka prawdziwie europejska historia. Na „Better”, drugiej płycie mojego składu Istnienia Poszczególne, jest utwór

„F jak samolot”. To słowa mojego syna, który przechodził przez fazę rozkminiania tego, że mama i tata mówią do niego w różnych językach. Czasami się w tym uroczo gubił — bo samolot po islandzku to „flugvél”. A Polska? Tu mieszka moja rodzina. Tutaj często koncertuję, bo dużo się dzieje na polskiej scenie jazzowej. Zawsze mi zależało, by pozostać jej częścią. Także dlatego, że mentalnie czuję się Polakiem. Tego mentalu, podejścia do życia, poczucia humoru brakuje mi w Skandynawii.

Wszyscy są ponurzy?

– Nie wszyscy i wycucie sarkazmu jest trochę lepsze niż w Niemczech, ale tylko trochę. Moim zdaniem poczucie humoru i umiejętność posługiwania się humorem, szczególnie czarnym, są wypadkowymi historii danego kraju. W tych państwach, które nie miały jakichś wielkich problemów, które nie były dziesiątkowane przez wojny, których obywatele nie doświadczali ekstremalnych sytuacji, łatwo jest żyć komfortowo. Twoje życie skalkulowane jest pod wygodę. I humor też staje się wygodny.

A dlaczego mieszkasz w Malmö, skoro pracujesz w środkowej Danii?

– Jestem wykładowcą na Duńskiej Narodowej Akademii Muzycznej w Odense, ale zająć mam tam tylko przez jeden dzień w tygodniu. A mieszkam w Szwecji, bo jest tam świetny szpital. Moja partnerka jest lekarką. Islandzcy lekarze mają problem: żeby się specjalizować, muszą wyjechać z kraju. A szpital w Malmö stwarza właśnie takie możliwości. Przeniosłem się do Malmö jednak wcześniej z innych powodów. Po pierwsze, życie w Szwecji jest mniej więcej o jedną trzecią tańsze niż

w Danii. Po drugie, w Kopenhadze jest świetne lotnisko — z mojego domu w Malmö jadę tam 35 minut — z którego niemal wszędzie w Europie doleć w dwie, trzy godziny, co przy moim zawodzie jest wielkim ułatwieniem.

Wiem już, że czujesz się i Europejczykiem, i Polakiem, ale jak zgaduję, czujesz się też „Istnieniem Poszczególnym”, tak jak twój zmarły w 2018 r. mistrz Tomasz Stańko. „Bardzo mi odpowiada to określenie Witkacego — mówił. — Żaden związek, ani grupa, ani też patriotyzm, tylko IP. Jestem Polakiem, tu się urodziłem, takim mówię językiem, jestem głęboko związany z tą ziemią, ale generalnie najbardziej czuję, że jestem Tomasz Stańko. Istnienie Poszczególne. Jestem niepowtarzalnym zbiorem atomów, nie ma takiego drugiego na świecie, w kosmosie”. Na jego nagrobku znajduje się inskrypcja: „ISTNIENIE POSZCZEGÓLNE IP”.

– Cytat, który przytoczyłeś, to motto przedsięwzięcia, jakim jest mój septet Istnienia Poszczególne. Zaczęło się w 2020 r. od zamówienia festiwalu Letnia Akademia Jazzu w Łodzi. Miał to być koncert w holdzie Stańki. Tylko że dla mnie granie muzyki Stańki bez Stańki jest mocno problematyczne.

Dlaczego?

– Ponieważ w jego muzyce nie chodziło tylko o melodie; równie ważnymi czynnikami były jego sound, sposób frazowania, te wszystkie zwolnienia, pauzy. Kiedy grałem z nim na próbach, potrafił objaśniać sens jednej pauzy przez pół godziny. I to są takie niuanse, których nie da się odtworzyć. Stwierdziłem więc, że jeśli mam przygotować jakiś program na festi-

wal, to nie będzie to muzyka Stańczaka, jak na niego mówiliśmy, tylko moja. I tu pojawiło się kolejne wyzwanie: musiałem napisać muzykę, która nie wymagałaby od członków zespołu długich przygotowań. Zamarzył mi się bowiem skład złożony z siedmiu muzyków, spośród których wszyscy są bardzo zajęci, w dodatku oprócz Polaków jest też Norweg i Duńczyk, a wszystko działa się w pandemii, w koronawirusowym reżimie. Nie mogliśmy więc sobie pozwolić np. na tydzień prób. To musiały być takie kompozycje, które położysz świetnemu muzykowi przed nosem, a on od razu je rozgryzie. To było zresztą zgodne z filozofią Stańki, który podkreślał, że kompozycje to tylko preteksty służące temu, żeby robić muzykę.

Chodziło mu o to, że kompozycja jest tylko punktem wyjścia do improwizacji, czy o coś innego?

– O to, że muzyka ma być na tyle klarowna i oparta na melodiach, żeby od razu było wiadomo, o co w niej chodzi. Często we wspólnym jazzie dostajesz do zagrania mnóstwo materiału, który wymaga czegoś, czego żaden muzyk jazzowy nie posiada: czasu na próby! (*śmiech*)

A co to były za warsztaty, na których poznałeś Tomasza Stańkę?

– W Danii od lat prowadzi się warsztaty dla muzyków profesjonalnych. Spotykamy się w wakacje na tydzień w szkole, zazwyczaj pięknie położonej w jakimś starym domu albo pałacu. Stańko od głębokich lat 70. nie prowadził żadnych warsztatów, ale w 2015 r. namówił go na nie współpracujący z nim basista Anders „AC” Christensen. Tomasz przyjechał z Anią — on, żeby uczyć, ona na wakacje. Podczas tego tygodnia był wieczór, który szczególnie utkwił mi w pamięci. Po całym dniu grania odbywały się jam sessions oraz koncert profesorów, najlepszych jazzmanów na świecie. Stańko wyszedł i zagrał standard „Stella by Starlight”. Nie mogłem uwierzyć w to, co słyszę. To przecież jeden z najbardziej ogranych kawalków w historii, a on grał go tak bardzo po swojemu, tak inaczej i do tego tak fenomenalnie... I wiem, co się we mnie zmieniło dzięki temu? Wcześniej myślałem, że najważniejszą cechą dobrego muzyka jest to, że zawsze dopasuje się do sytuacji: jakikolwiek dostałbyś angaż, będziesz umiał się odnaleźć i — to kluczowe słowo — stylowo zagrać. Jak w ogłoszeniu jakiegoś ucznia, które wisiało u mnie w szkole muzycznej przy Bednarskiej w Warszawie: „Ja stówę zagram każdego joba”. Stańko pokazał mi wtedy, że chodzi o coś dokładnie odwrotnego: to, co robisz, powinno być tak spójne i silne, że to dzięki tej własnej sile odnajdziesz się w każdej sytuacji.

To ty narzucasz siebie światu, a nie dopasowujesz się do niego.

– Otóż to. Przez ten tydzień zrobiliśmy chyba ze 30 numerów, w tym jakieś jego też, bo udało się nam go przekonać. Zgraliśmy się tak, że on sam zasugerował, żeby coś z tym dalej zrobić. I parę miesięcy później zgraliśmy z tym warsztatowym zespołem trzy koncerty w Danii. Wykorzystałem okazję i zaczęliśmy gadać o najróżniejszych, także pozamuzycznych sprawach. Łączyło nas też zamięłowanie do kapeluszy i butów, tylko że Stańczak miał na nie znacznie większy budżet (*śmiech*).

Kiedy byłem w Nowym Jorku, zaprosił mnie do swojego mieszkania na Manhattanie. Był dla mnie ważnym muzykiem, a stał się też ważnym człowiekiem. Pozwolił mi też poproćbować gry na jego trąbce. Pomijając, że to instrument Tomasza Stańki, to jest to też po prostu świetna rura. Marka Monette to taka Tesla wśród trąbek.

Ostatni raz widziałem go w Warszawie. Gramy koncert. W przerwie właściciel klubu przychodzi do nas i oświadcza: „Panie, przygotujcie się, maestro idzie”. „Jaki maestro?”. Z dumą, drżącym głosem wyjaśnia: „Tomasz Stańko...”. Okazało się, że Stańczak właśnie przyleciał z Nowego Jorku i nie może spać, bo ma jet lag, więc wjechał do tego klubu, by posłuchać muzyki. Opowiadał nam wtedy o tym, że kupił laptopa i chciałby pograć freejazzowo z elektroniką. To jest postawa, którą chciałbym w sobie pielęgnować:

żeby w jego wieku chciało mi się iść do klubu posłuchać jakichś młodziaków, chciało mi się eksperymentować, próbować nowych rzeczy. Albo zmieniać skład zespołu, jeśli poczuję, że rozwój daje mi jakaś inna konfiguracja — to przecież też robił. Bo jak spojrzysz na muzyków w ósmej dekadzie życia, to wielu zalicza raczej artystyczny regres. Grają w kółko to samo albo wracają do swoich najpopularniejszych nagrań sprzed lat.

A jak to się stało, że na trąbce Stańki nagrałeś całą pierwszą płytę Istnień Poszczególnych?

– Ania Stańko zaprosiła mnie do zagrania na Toaście Urodzinowym dla Tomasza Stańki. To koncerty organizowane w okolicach rocznicy jego urodzin w Rzeszowie, skąd pochodził, i w Warszawie. Grałem w Rzeszowie, a Ania wzięła z mieszkania ojca przy ul. Rozbrat w Warszawie, które od jego śmierci właściwie się nie zmieniło, jedną z jego trąbek. Także marki Monette, ale najnowszą z pięciu czy sześciu jego instrumentów, praktycznie nieużywaną. Zaofiarowałem się, że wpadnę na Rozbrat naoliwić pozostałe trąbki, przedmuchać je — instrumenty nie powinny zbyt długo leżeć nieużywane. Przy okazji miałem możliwość przejrzenia jego archiwów. Przeczytałem też jego pracę magisterską z 1969 r., w której Stańko za pomocą rysunków analizuje frazy różnych słynnych trębaczy, w tym solówkę Milesa Davisa z jego wersji „Stella by Starlight”!

Widziałem ten rysunek — wygląda jak notowanie akcji na giełdzie. A fraza Dona Cherry’ego — jak trzy dżdżownice.

– Wspaniale, prawda? I kiedy tak naoliwiałem te trąbki, przypomniało mi się, że chłopaki z tria Marcina Wasilewskiego, mówili mi wcześniej, bym zwrócił uwagę na srebrną trąbkę w czarnym futerale z zielonym obiciem. Wyjaśnili, że Stańko grał na niej na przełomie lat 80. i 90., nagrywał na niej płytę „Bluish” – z Norwegami, bo w Polsce nikt nie chciał z nim wtedy grać. Był spalony.

Dlaczego?

– W latach 80. był nieprzewidywalny, bo chodził przez cały czas urobiony.

No tak, słynna anegdota o tym, jak wychodząc na miasto, wkładał do kieszeni płaszcza tasaki.

– Wtedy zaczął z tego wychodzić. Od „Bluish” zaczęła się też już na poważnie wieloletnia współpraca Stańki ze Skandynawami. Płyta okazała się sukcesem, to zresztą mój ulubiony okres Stańki. Jego kreatywność jest tam wręcz potworna, muzyka mieni się kolorami, a trąbka — ta trąbka z futerału z zielonym obiciem! — odpala w każdym takcie. Ten instrument ma bardzo szeroki, chropowaty dół...

Tego właśnie nie cierpiał mój profesor od trąbki, kiedy krótko uczyłem się na niej grać. Pohukiwał na mnie: „Prześni grać jak Stańko, co to za piach?!”.

– No tak, piach w dolnych rejestrach! A na drugim krańcu — świetlista góra.

Ostra jak brzytwa!

– Akurat byłem na Rozbrat w przeddzień sesji nagraniowej Istnień Poszczególnych. Zebrałem się na odwagę i spytałem Ani, czy pozwoliłaby mi nagrać na tym instrumencie jeden utwór. A Ania pozwoliła nagrać na nim całą płytę. I od tego czasu, kiedy tylko jest możliwość, pożyczam mi trąbkę swojego taty na koncerty. 19 czerwca w Warszawie też będę na niej grał.

A tak właściwie to skąd we wsi pod Ilawą wziął się taki talent muzyczny? W Ilawie od dekad odbywa się festiwal jazzu tradycyjnego Złota Tarka — czy on ma z tym jakiś związek?

– No jasne! Najpierw grałem na pianinie. Potem powiedzieli mi, że mam już 13 lat i to ostatni moment, jeśli chcę zdawać do szkoły muzycznej. Zdałem. I dostałem przykaz, by grać na trąbce.

A podobno chciałeś grać na saksofonie jak Robert Chojnacki w „Prawie do nieba”?

– Tak, katowałem album „Sax & Sex”! Cóż, byłem rozzczarowany, ale jakoś to przelknąłem. W pewnym momencie zacząłem grać w orkiestrze dętej w Ilawie — graliśmy medleye Abbey, marsze, kompletny misz-masz. Prowadzący orkiestrę wypuszczał mnie, żebym mógł parę taktów poimprovizować, popisać się. Wiodocznie uznał, że mam talent. Aż pewnego razu do kanciapy, w której graliśmy z orkiestrą, przyszedł mnie posłuchać trębacz Henryk Majewski. Trwała Złota Tarka, a pan Majewski był przecież jednym z nestorów jazzu tradycyjnego w Polsce, współtwórcą grupy Old Timers. Pan Henryk usiadł za pianinem i zaczął grać akordy, licząc na to, że pokażę, co potrafię. Stałem jak kolek, nie miałem zielonego pojęcia, czego ode mnie oczekuje. Po paru minutach zawyrokował: „Nic z niego nie będzie”. Rok później poszedłem na studia do Olsztyna, na edukację artystyczną, czyli kierunek, na

którym spotykają się ludzie, którym nie udało się dostać nigdzie indziej. Poziom spożycia

różnego rodzaju substancji był więcej niż zatrwajający. Wytrzymałam tam rok. I zdałem do Warszawy na Bednarską, gdzie była wówczas jedyna średnia szkoła jazzowa w Polsce.

Zaraz, zaraz. Byłeś na studiach i zdałeś do liceum?

– Tak! Rzuciłem te studia w cholerę. Uznałem, że wolę zająć się muzyką, choćby i z opóźnieniem, niż schodzić na drogę edukacji artystycznej, która wtedy często była postrzegana jako kara za niespełnioną karierę wykonawczą. O Bednarskiej wiedziałem stąd, że Robert Majewski, syn Henryka, także znany trębacz, był dyrektorem wydziału jazzu w tej szkole. A cała ekipa z Bednarskiej przyjeżdżała na czas Złotej Tarki na wakacje nad Jeziorak. Skoro grałeś na trąbce, to wiesz, jak trudny i wymagający to instrument.

Jedyny, z którego na półrocze nie ma egzaminu, bo nie jesteś w stanie nic zagrać poza kocią muzyką.

– No właśnie. Dlatego zawsze brakuje trębaczy. I miałem farta, bo zdawało nas na tę Bednarską trzech. Byłem drugi najgorszy i się dostałem.

Ale byłeś też drugi najlepszy.

– Grunt, że dostaliśmy się wszyscy trzej. Przez lata borykałem się z kompleksem, że za muzykę zabrałem się na poważnie tak późno. Na studia do akademii w Odense, gdzie dziś sam uczę, zdałem w wieku 24 lat. Mój kolega z roku, pianista Artur Tużnik, miał wtedy 18 lat. Czuliem się przy nim strasznie staro. Dziś wiem, że wszystko ma swój czas. I nie ma co zaczynać za szybko, a przy instrumentacie wymagającym takiego treningu i żelaznej systematyczności jak trąbka, dojrzałość tylko pomaga.

Czego takiego uczą w Danii, czego nie uczą w Polsce, że tylu młodych polskich jazzmanów wyjeżdża tam na studia?

– W polskiej szkole nas uczą, że jak będziemy ćwiczyć dziesięć tysięcy godzin, to będziemy

najlepsi. Gdyby tak było, to Polacy byłiby najlepszymi muzykami na świecie. Dzięki studio-waniu w Danii wiem, że Polacy, owszem, mają kapitalny warsztat, ale za to polska szkoła zabija w nich kreatywność, niszczy twórczego, wolnego ducha. W duńskich konserwatoriach panuje dużo większa samowolka. I to połączenie stoi za sukcesem wielu polskich jazzmanów — od braci Maćka i Marka Kądziałów, przez Tomka Licaka, Grzeska Tarwida, po Kubę Więcka, Kamila Piotrowicza i Szymona „Pimpona” Gąsiorka. W Polsce nauczycieli techniki, w Danii pozwolono im być artystami. Dla Duńczyków ta polska fala jest korzystna, bo podnosi poziom nauczania. W pewnym momencie było jednak nas tylu, że interweniowało nawet duńskie Ministerstwo Kultury.

Niedawno skończyłeś 40 lat. 30. urodziny postanowiłeś obejść, grając 30 koncertów w 30 różnych miejscach świata. Co wymyśliłeś tym razem?

– Nic! Wtedy trochę przesadziłem, obchody trwały półtora roku, dobrze, że nie wpadłem w nałogi albo długi. Wszystko organizowałem sam, wszędzie jeździłem sam, a już po paru pierwszych koncertach ciężko zrobiło mi się bez innych. Zwłaszcza gdy swoje awangardowe wywijasy prezentowałem np. na transylwańskiej prowincji w miejscu, gdzie nigdy wcześniej nikt nie grał jazzu i przychodziła mnie słuchać cała elita miasteczka w wieku 15-90 lat. A teraz? Nie chce mi się. Bycie czterdziestolatkiem to taki luz! Poczulem, jakby ba-

last ode mnie odpadł. Zeszło ze mnie wielolet-

nie napięcie.

Skąd się ono brało?

– Odkąd zacząłem grać na trąbce, moją siłą napędową był kompleks, że za późno zacząłem i że muszę nadrabiać, nadganiać. Zdałem sobie sprawę, że nie wszystko zależy ode mnie.

To od czego jeszcze zależy?

– Podam banalny przykład: niedawno strasznie mi z jakiegoś powodu spuchła gęba. Wystarczy taka bzdura – sypie się zdrowie i reszta przestaje mieć znaczenie. Drugą płytę zespołu Istnienia Poszczególne zatytułowałem „Better”. Wiesz dlaczego? Bo w kółko słyszę od kolegów, że coś jest nie tak, ciągle inaczej niż by się chciało.

A ty poczułeś, że jesteś w miejscu, w którym chcesz być i że jest OK?

– Tak! Mam 40 lat, jestem zdrowy. Mam dwoje zdrowych dzieci. Gram od 15 lat muzykę, która mi się podoba. Nie jestem do niczego zmuszany. Udaje mi się prowadzić międzynarodowy septet i nawet z nim całkiem sporo koncertować. Jak mówimy w Danii, jestem bardzo uprzywilejowany. To jest standardowa reakcja na to, gdy ktoś gratuluje, np. że dostałeś grant. „O, tak, jestem bardzo uprzywilejowany” – odpowiadasz. OK, ale ja naprawdę uważam, że to ogromny przywilej, żeby prowadzić życie na swoich warunkach. Cieszę się też, że mimo silnego związku z postacią Tomasza Stańki, ten hołd dla niego, jakim są Istnienia Poszczególne, też jest na własnych warunkach. Że nie jest przesadzony. A największą frajdę mam wtedy, kiedy słuchają nas ludzie, którzy nie znają Stańki, i chcąc się dowiedzieć, skąd się wzięliśmy, zaczynają go odkrywać. I tak łączą się nasze światy. ●

Koncertowa premiera płyty „Better”:

- 18 czerwca – Lublin, Centrum Spotkań Kultur, g. 19, bilety: 70 zł
- 19 czerwca – Warszawa, Pardon, To Tu, g. 20.30, bilety: 89/99 zł



Zaczęło się! Wczoraj, w Monachium reprezentacje gospodarzy, Niemiec oraz Szkocji otworzyły piłkarskie Euro. To pierwszy z zaplanowanych w ramach turnieju 51 meczów, którymi przez najbliższy miesiąc będą się ekscytować kibice.

Nas rzecz jasna najbardziej interesują trzy spotkania (oby tylko na razie!) – jutrzejsze z Holandią, 21 czerwca z Austrią oraz 25 czerwca z Francją. Ale dziś, w przeddzień premierowego meczu Białe-Czerwonych w Hamburgu, przypomnijmy sobie inne legendarne starcie polskich piłkarzy. Sprzed równo pół wieku.

15 czerwca, 1974 roku, Neckarstadion w Stuttgarcie.

„– Panie Kostek, wygramy z tą Argentyną?
– Daj pan spokój, panie Heniu, nie mamy żadnych szans. Przerżniemy”.

Taki dialog toczą ze sobą Kostek Bawolik (Stefan Szmidt) i Henio Lermaszewski (Zbigniew Buczkowski) w serialu „Dom”. Reprezentacja Polski mecz z Argentyną właśnie zaczyna mundial w RFN. Kiedy dozorca Prokop (Jerzy Bończak) przekonuje, że nasi ich wyszlagają bez mydła, Kostek Bawolik ripostuje, że dozorca się na piłce nie zna.

Henio Lermaszewski wylicza, wcześniej przyrównując Prokopa do dzwona jeśli idzie o futbolową wiedzę: A Kempes, a Carnevali, a Ayala?

„A Deyna, a Szarmach, a Lato? Palcem robieni” – grzmi Prokop między jednym kieliszkiem a drugim.

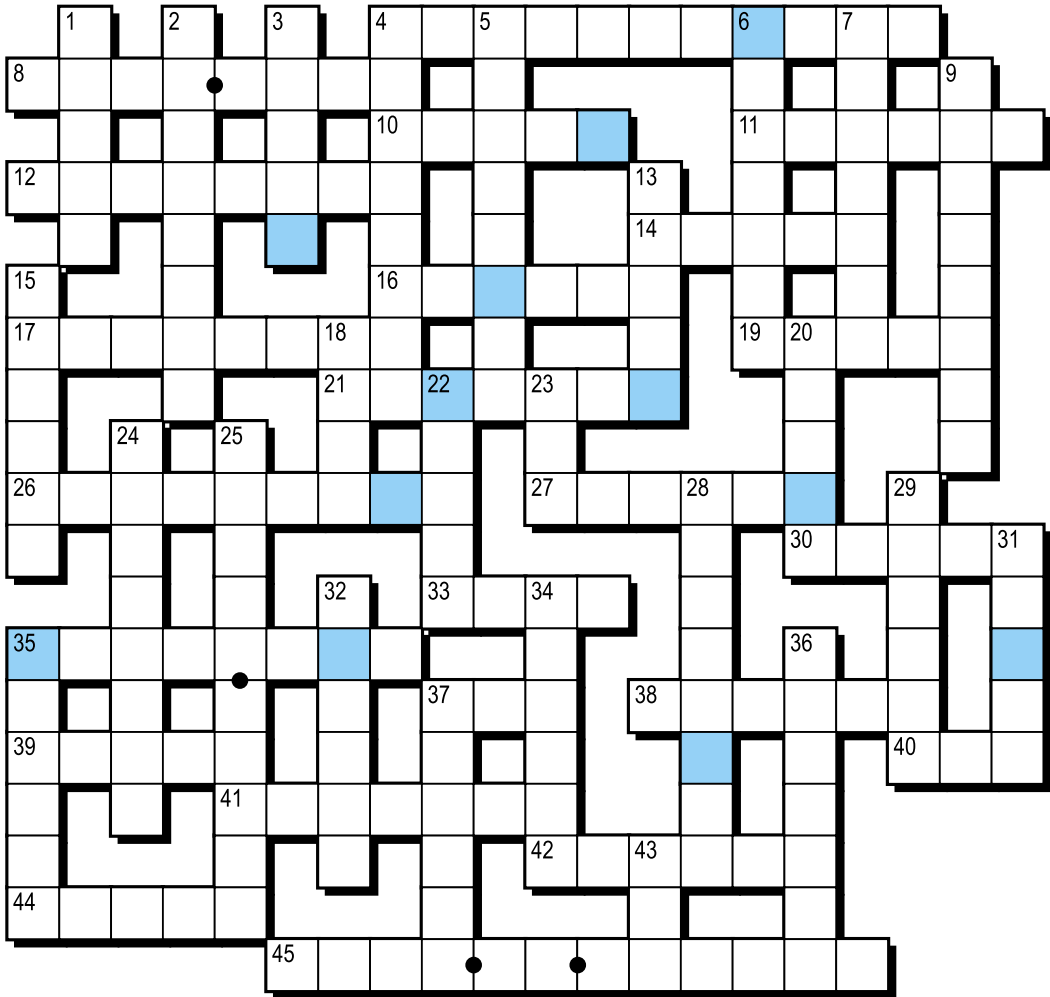
Bawolik niewzruszony dobija oponenta, że jak nasi mają wygrać, skoro Górskiemu coś odbiło i wstawił Gorgonia jako libero. I wyrokuje: Argentyńczycy są lepsi technicznie, będzie dwa do jaja. Od słowa do słowa mężczyźni zakładają się o wynik: Prokop stawia syrenkę szwagra, Bawolik nowego kolorowego Rubina, na którym właśnie oglądają mecz.

Jak było – wiemy (i dlatego na Argentynę nie tylko Rubina, ale i złamanego grosza byśmy nie postawili). Polacy, po golach Szarmacha i Laty (dwóch) wygrywa 3:2, Prokop wygrywa telewizor, którego nie jest w stanie dotaszczyć do mieszkania i rozbija go na schodach.

Tamten mecz przeszedł do legendy, podobnie jak tamte mistrzostwa, na które Polacy jechali może nie w roli chłopców do bicia, ale absolutnie też nie faworytów. Niewiele w nas wierzyło, a w powszechnej opinii nasi piłkarze mieli po prostu wstydu nie przynieść. Czego też się obawiano, zwłaszcza, że w grupie los skojarzył nas nie tylko ze świetną Argentyną, ale też wicemistrzami świata Włochami. Tymczasem Polacy zatrzymali się dopiero na wodzie – w pamiętnym starciu z gospodarzami, a ostatecznie zajęli trzecie miejsce, wygrywając ostatni pojedynek z Brazylią.

Przypominamy więc dziś w „Weekendówce” pamiętne momenty mundialu, z wielką nadzieją, że nasi piłkarze, podobnie jak zawodnicy Kazimierza Górskiego równo pół wieku temu, zadziwią kibiców. Kraj gospodarza też się zresztą zgadza...

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie,
„Weekendówki”, nr. 106,
z 8.06:

Poziomo:
2) Adams, 7) Policja,
10) jezioro, 12) aktor, 13) klon,
15) Nunayut, 16) Wawrzyniec,
17) traper, 19) Avonlea,
21) Grand, Prix, 25) Trudeau,
26) hokej, na, łodzie, 27) dolar,
29) Anita, 31) Mackenzie,
34) Titanic, 36) Oliwa,
37) Oilers, 38) Johnson,
39) Toronto, 40) Wyspa,
41) Cygan

Pionowo:
1) wiersze, 3) Dion,
4) Manitoba, 5) Leonard,
Cohen, 6) Winnipeg,
8) Ottawa, 9) Jukon, 11) River,
12) Atwood, 14) ocean,
18) Fiedler, 20) łód, 22) rzeka,
23) Polacy, 24) Munro,
25) tenisistka, 28) Lavigne,
30) Twain, 32) bizony,
33) bobry, 34) tajga, 35) Perry,
37) owca

HASŁO:
MONTREAL CANADIENS

POWΤÓRKA Z MUNDIALI

Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 4)** turniej dla debesiaków
- 8)** gol Maradony w meczu Argentyna – Anglia (Meksyk 1986)
- 10)** Jules, ufundował pierwszy puchar świata
- 11)** zatrzymana przez Jana Tomaszewskiego
- 12)** imię króla strzelców na mundialu w RFN (1974)
- 14)** najlepsi z najlepszych
- 16)** a na końcu wygrywają ...
- 17)** Juanito, Pique, Ciao, Fuleco...
- 19)** hop! w górę tabeli
- 21)** duża zmiana, np. systemu rozgrywek
- 26)** noszona podczas meczu np. przez chłopca do podawania piłek
- 27)** Kazimierz, Trener Stulecia PZPN

- 30)** gospodarz mundialu w 2022 roku
- 33)** Dino, włoski bramkarz (rekord mundialu: 1143 minuty bez straconego gola)
- 35)** Canarinhos
- 37)** obszar poza boiskiem
- 38)** ktoś schodzi, ktoś wchodzi
- 39)** korupcyjna lub dopingowa
- 40)** niejednemu popłyną, gdy ukochana drużyna żegna się z turniejem
- 41)** CR7
- 42)** imię Matthäusa, niemieckiego piłkarza, uczestnika 5 mundialu
- 44)** składne, zespołowe – mile widziane!
- 45)** spotkanie Polska – RFN (3 lipca 1974 r.) przeszło do historii jako ...

Pionowo:

- 1)** na olimpiadzie w 1972 r. pokonane 2:1 dzięki bramkom piłkarza z określenia 13 pionowo

- 2)** Stefan, strzelił bramkę w meczu z Francją o 3. miejsce na mundialu w Hiszpanii (1982 r.)
- 3)** mecz o ..., czyli o pietruszkę
- 4)** zdobyście mistrzostwa świata – ... każdego piłkarza
- 5)** na głowie Juanita – maskotki mundialu w Meksyku
- 6)** zaśpiewała „Waka Waka” – oficjalną piosenkę mundialu w RPA
- 7)** wiktoria, zwycięstwo, triumf
- 9)** pozostaje, gdy ukochana drużyna odpada z turnieju
- 13)** Kaka, czyli Kazimierz ...
- 15)** kiwka, zwód
- 18)** Pele, ... futbolu
- 20)** nieważny styl gry, najważniejszy jest ...
- 22)** ... Beckenbauer
- 23)** kornier
- 24)** Włodzimierz z trzeciej drużyny świata na mundialu w 1982 r.
- 25)** zadecydują, gdy dogrywka nie przyniosła rozstrzygnięcia

- 28)** Andrzej, uczestnik obu najlepszych dla Polski mundialu
- 29)** może być kąśliwy
- 31)** ... Martin, nagrał piosenkę „Vida” promującą mundial w Brazylii
- 32)** Zinédine, autor najstynniejszej główki na mistrzostwach świata w Niemczech („nagrodzonej” czerwoną kartką)
- 34)** mundialowa piosenka Maryli Rodowicz do słów Jonasza Kofty
- 35)** bywa, że padnie w doliczonym czasie gry
- 36)** ptaki kojarzące się z reprezentacją Brazylii
- 37)** huragan braw, np. po голу
- 43)** niestety, nasza reprezentacja znów stanowiła tylko ... dla świetnie grających rywali

Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34310976

WSPRZEDAŻY

wysokie obcasy extra

DUŻO DOBREGO CZYTANIA

TEMAT NUMERU:
Wiek to tylko liczba?

EDYTA BARTOSIEWICZ: Mam 59 lat i chciałabym żyć tak, jak mi się podoba